

**LEONARD CARPENTER**

# **CONAN RENEGAT**

**(PRZEŁOŻYŁ: MAREK MASTALERZ)**

**SCAN-DAL**

*Dla Cheryl*

# I

## PRÓBA STALI

- Kto idzie?

Ostry głos wartownika sprawił, że kary rumak bojowy zmylił krok. Zirytowany jeździec wbił pięty w boki konia, zawrócił go wokół strażnika i zatrzymał się na wprost niego.

- Nazywam się Conan, pochodzę z Cymmerii. Jestem najemnikiem tak jak ty. Którędy do obozu Hundolfa?

Jeździec mówił po kotyjsku z barbarzyńskim akcentem. Był okazałym mężczyzną u progu dorosłości. Jego czarne jak smoła, równo przycięte włosy wyglądały równie wspaniale jak grzywa rumaka. Twarz i ramiona najemnika pokrywała głęboka, równa opalenizna - zapewne dzieło blasku słońca odbitego od północnych pól lodowych. Wzrost przybysza i ciężar bojowego rynsztunku tłumaczyły wybór tak krzepkiego wierzchowca. Cymmerianin był wysoki i szeroki w barach, a jego kolczuga ciasno opinała imponujące mięśnie. Do końskiego siodła przytroczone były miecz i topór oraz tarcza, hełm i włócznia; przy jukach zwisały zrolowane futra.

Wartownik, Koryntianin z rozwidloną brodą, siedzący w końskim siodle, przerzuconym przez naprędcę skleconą zaporę, tarasującą błotnistą drogę, zmierzył Conana uważnym spojrzeniem. Nie spieszył się z odpowiedzią. Chociaż żołnierz przybrał swobodną, pozbawioną karności pozę, jego ręka wspierała się na zakrzywionym łuku przełożonym przez kolana ze znamionującą doświadczonego wojownika pewnością. U jego boku wisiał kolczan pełen strzał.

- Skoro jesteś człowiekiem Hundolfa, gdzie podziałeś płaszcz?

- Nie należę do jego kompanii. - Koń Conana prychnął nie- spokojnie. - Przynajmniej na razie.

- Rozumiem. - Wartownik nie spuszczał z przybysza wzroku. - Jeszcze jeden wygłodniały sęp zjawił się na polu bitwy. No dobrze, wjeżdżaj. - Wzruszył ramionami. - Obóz Hundolfa jest na piątym tarasie. Jedź na wprost, później skrećisz w lewo. - Najemnik poprawił się na niewygodnym siedzeniu. - Jeżeli wolałbyś zaciągnąć się do pewniejszej kompanii, spróbuj pogadać z Bragiem, prosto przed tobą. Jego ludzie zawsze zdobywają więcej łupów.

Cymmerianin kiwnął niezobowiązująco głową i zawrócił konia.

- Znam Hundolfa z dawnych czasów - rzucił i szybko ruszył w głąb obozowiska.

Obóz Wolnych Kompanii znajdował się na tarasach winnic u murów Tantuzjum, prowincjonalnego miasta we wschodnim Koth. Conan, który dopiero co powrócił z odludnych krain, był zdumiony gigantycznymi rozmiarami rozpościerającego się na skalistym zboczu zbiorowiska namiotów. Pasma siwego dymu wzbijały się z dziesiątków ognisk pod bladobłękitne niebo nad poznaczonymi polami i pastwiskami wzgórzami na horyzoncie.

Obóz rozbito bez żadnego planu. Od dołu ograniczały go najniższe tarasy i przecinający je płytki wąwóz. Conan dostrzegł jednak, że naturalne otoczenie obozowiska - niskie wały, usypane ze stert kamieni i gruzu - zapewniały mu jaką taką obronę.

Wydawało się, że nawet Tantuzjum liczyło na swe naturalnie obronne położenie na skalnej grzędzie, nie zaś na dzieła rąk ludzkich. Nad namiotami i pnącymi się w górę pędami winorośli widać było skraj miasta: biały mur, znad którego wystawała zębata linia krytych dachówkami i łupkiem domostw. Z tej odległości można było dostrzec, że mury miejskie zbudowano z obrzuconych zaprawą nierównych głazów. Nie były zbyt wysokie czy strome, lecz miały na szczycie wąski parapet dla straży. Jedynym solidnym umocnieniem w polu widzenia był krzepki szaniec z równo ociosanych szarych bloków skalnych. Znajdował się on w najbardziej stromej części urwiska; pozostałą część murów miejskich dobudowano do jego boków. Był od nich znacznie wyższy, a jego szczyt zaopatrzony był w zębate blanki. Najprawdopodobniej była to zewnętrzna ściana prastarej cytadeli lub dzielnicy pałaców.

Conan kontynuował taktyczną ocenę okolicy w miarę, jak jego koń wspinał się po brukowanym podejździe. Wierzcholec minął pawilon z dekoracjami w krzykliwych barwach i sztandarem z podobizną smoka - siedzibę Braga. Po obydwóch stronach zrobiło się gęsto od namiotów. Tarasy z winoroślami, obramowane niskimi, skośnymi skarpami z polnych głazów ustąpiły miejsca bałaganowi nędznego obozowiska, pełnego prowizorycznych ludzkich siedzib. Parę stratowanych, odgradzonych sznurami placyków służyło za zagrody dla koni, lecz wszędzie indziej panowała odstręczająca ciasnota. Można było odnieść wrażenie, że z jej powodu większość mieszkańców obozu spędza beczynn timer na drodze.

W obozowisku najemników panował bród, hałas i całkowity brak dyscypliny. Wszędzie dookoła czyniono użytek z plonów winnicy: z rąk do rąk krążyły chlupoczące dzbanki i kamionkowe garnce z naprędce pędzonym napitkiem. Z namiotów dobiegały przekleństwa, grzechot kości w drewnianych kubkach pospołu z piskami i gardłowymi śmiechami markietanek. Mężczyźni w oszałamiająco różnorodnych strojach - kompletnych lub w rozmaitym stopniu wybrakowanych - rozmawiali, spierali się i mocowali pośród

kamieni i rachitycznej trawy.

Conanowi przyszło wyminąć parę piegowatych Gundarczyków, odzianych wyłącznie w sandały i krótkie spódniczki - kilty, okładających się zręcznie owiniętymi w futra kijami. Najemnicy uskakiwali przed ciosami, nie zważając na zagrzewające ich do walki kółko gapiów. Nieco dalej, na prostym odcinku grupka szemickich młodzików w kaftanach z owczych skór rzucała włóczniami w ledwie trzymającą się kupy belę słomy. Niechętnie rozstąpili się przed Cymmerianinem i wrócili do swojej rozrywki natychmiast, gdy koński ogon znalazł się poza celem.

Ci, którym nie odpowiadało pałętanie się po drodze, siedzieli przed namiotami, rozmawiając, polerując rynsztunek lub ostrząc broń. Większość obrzucała przejeżdżającego Conana wulgarnymi komentarzami; inni siedzieli w bezruchu i wpatrywali się przed siebie. Cymmerianin przyglądał się uważnie właśnie tym ostatnim, gdyż dobrze znał kapryśne, niebezpieczne charaktery niektórych ludzi, zaciągających się w najemnicze szeregi. Barbarzyńca rozglądał się w tłumie za znajomymi twarzami na poły z nadzieją, na poły zaś z obawą.

Sępy, zlatujące się nad świeżą ofiarę, pomyślał Cymmerianin. Uwaga wartownika trafnie oddawała naturę tego zgromadzenia. Sam Conan czuł pragnienie działania po niedawnej wizycie u kuzynów i dawnych towarzyszy w Cymmerii. Odludne wzgórza i dzikie urwiska rodzinnej krainy wydały się mu dziwnie ciasne. Na zwiezione do ojczyzny przez kupców wieści o buncie i zamieszkach w Koth zareagował jak na woń kuszącego, egzotycznego pachnidła. Gdy tylko śnieg stajał na przełęczach, barbarzyńca zabrał broń, zapasy oraz z trudem zdobytą kiesę ze srebrem i ruszył na południe.

Powtarzał sobie, że nie zamierza wieść żywota takiego jak większość zgromadzonych w obozie uciekinierów przed prawem i wygłodzonych wieśniaków, dla których szansa łatwego zdobycia bogactwa przeważała nad o wiele większym ryzykiem krwawej śmierci. Nie przybył tutaj również w czczym poszukiwaniu daremnej chwały czy za sprawą mirażu odrażających rozrywek, przywabiających do miejsc bitew zdeprawowane dusze.

Conan przeczuwał niejasno, że jest stworzony do większych rzeczy. Pragnął sprawdzić swe siły, chciał poddać próbie zdobyte w pocie czoła umiejętności. Zamierzał dowiedzieć się, czy zapewnianiu przetrwania i powodzenia w tym surowym świecie.

Z nagłej zadumy wytrącił go rozlegający się na wysokości kolan głos:

- Conan, stary, podstępny złodziejaszku! Przyjechałeś przyłączyć się do nas? Zaiste, roztaczają się przed nami wspaniałe widoki!

- No proszę! Bilhoat, nie myślę się? - Conan pochylił się w siodle i uśmiechnął do

chudego mężczyzny o pomarszczonej twarzy, unoszącego ku niemu głowę. - Po Arenjunu zająłeś się uczciwą pracą, tak jak ja, co?

- Owszem! Są tu też inni znajomkowie z Mordowni: Pavlo i Tranos! - Na skórzastym obliczu starszego mężczyzny pojawił się uśmiech. - Musimy znowu urządzić sobie wspólną popijawę!

- Na pewno, i to wkrótce, na wypchaną sakiewkę Bel! Też wstąpiliście do kompanii Hundolfa?

- Nie, Conanie. - Bilhoat pokręcił głową. - Zaciągnęliśmy się do Vilezzy. Żle zrobiliśmy, bo to zatwardziały zingarański łotr o wrednym charakterze. Ten szubrawiec o czarnym sercu winien mi jest jednak za dużo żołdu, żebym go teraz porzucił. Żałuję, że nie jestem z Hundolfem.

- O co w ogóle chodzi w tej kampanii? Powiedziano mi, że popieramy buntujące się książątko z Koth.

- Tak, księcia Ivora. - Bilhoat potarł nozdrza wierzchowca Conana. - To ulubieniec mieszkańców tych stron. Ma mnóstwo nowomodnych idei i jest śmiertelnym wrogiem swojego wuja, Strabonusa.

- Tak, znam tego żądnego krwi łotra, który mieni się królem. - Cymmerianin zmarszczył brwi. - Powiadasz, że Ivor pragnie zmian? Z radością będę służyć mu z mieczem w walce z przeklętym Strabonusem. A Wolne Kompanie - wskazał gestem kręcących się dookoła zapijaczonych najemników - stanęły po jego stronie, ponieważ też pragną sprawiedliwych rządów?

- Skądże! - Bilhoat roześmiał się i pogładził czarną grzywę konia. - Niektórzy z naszych kamratów nie mogą już usiedzieć w miejscu. Powiadają, że brakuje im walki, a jeszcze bardziej łupów. - Mrugnął porozumiewawczo. - Mnie nie zależy na chwale, a widoki na przyszłość wydają się niezłe. Krąży pogłoska, że po zwycięstwie buntowników każdy chętny najemnik otrzyma ziemię lub rangę w regularnej armii. Myślę, że to smakowity kąsek.

Klepnął konia po karku. Conan ściągnął wodze i odparł:

- Smakowity czy nie, chcę się zaciągnąć. Jadę do Hundolfa. Miło znów cię ujrzeć, Bilhoat. - Spiął konia ostrogami i zawołał jeszcze przez ramię. - Poszukaj mnie, kiedy będziesz miał wolną chwilę!

Cymmerianin ruszył w dalszą drogę, licząc tarasy. Na piątym skręcił między dwa rzędy namiotów. Przed sobą ujrzał spiczasty pawilon o kwadratowej podstawie, udekorowany sztandarem ze złotym toporem na szarym tle. Conan wiedział, że od wielu lat było to godło Hundolfa, lecz nie znał trzech mężczyzn, którzy kręcili się przed wejściem do namiotu. Mimo

doświadczenia w najemnych szeregach nie wiedział, jak ma się wobec nich zachować; mieli nieprzeniknione twarze, sprawiali wrażenie bezwzględnych i okrutnych. Rozebrani do pasa, z bronią w ręku wygrzewali się pod popołudniowym słońcem.

Trzej mężczyźni obojętnie przyglądali się, jak Conan zsiada z konia i wiąże go do sięgającego ramienia kołka podpierającego winorośl. Wczesne lato sprawiło, że roślina wypuściła imponującą liczbę zielonych pędów. Cymmerianin zdjął pas z mieczem z siodła i przerzucił go sobie przez ramię. Ruszył w stronę pawilonu, ciesząc się, że znów ma twardą ziemię pod stopami.

- Widzę, że to namiot Hundolfa. Czy on jest w środku? - Conan celowo podniósł głos, by bez względu na reakcję najemników usłyszano go we wnętrzu pawilonu. Zapadło długie milczenie, nim najbardziej masywny z mężczyzn, szczerbaty osiłek o kołyszącym się brzuszysku, podszedł do niego i powiedział:

- Nie ma go. Jestem Stengar, zarządzam jego obozem. - Rzucił swoim towarzyszom surowe spojrzenie i wrócił wzrokiem do Conana. - Jesteś... skąd właściwie? Pewnie z Północy, nie? - Przyjrzał się uważnie barbarzyńcy. - Hyperborejczyk, jak sądzę?

- Cymmerianin - poprawił go Conan, ściągając brwi.

- Och, odludek ze wzgórz. No dobrze, mów, czego chcesz od naszego kapitana?

- Słyszałem, że Hundolf przyjmuje ludzi do swojej kompanii.

- Możliwe. - Stengar zmarszczył brwi i dorzucił po chwili. - Co z tego?

- A jak myślisz, człowieku? - Oczy Cymmerianina zwężyły się z irytacji. - Chcę się zaciągnąć.

Stengar obejrzał się na swoich towarzyszy i popatrzył ponownie na Conana.

- Uważasz, że się do nas nadajesz, co?

Conan powiódł wzrokiem po trzech mężczyznach.

- Myślałem, że Hundolf przyjmuje tylko dobrych ludzi. - Wzruszył ramionami. - Może się myliłem.

Po tej uwadze bruzdy na czole Stengara pogłębiły się. Wypiął brzuch i zapytał podniesionym głosem, w którym brzmiała nuta zaczepki:

- Powiedz mi, cudzoziemcze, dlaczego wybrałeś właśnie tę kompanię? Po co jechałeś aż tutaj, zamiast przyłączyć się do zbieraniny na dole?

Conan obrzucił najemnika baczny spojrzeniem i postanowił nie silić się na szczegółowe tłumaczenia.

- Oddział Hundolfa cieszy się dobrą opinią.

- To prawda, cudzoziemcze, nasza kompania ma dobrą markę. - Stengar uśmiechnął

się z udawaną zachętą. - By to ująć inaczej, my, służący pod Hundolfem, jesteśmy najlepsi. - Uśmiechnął się ironicznie do swoich towarzyszy.-Jak myślisz, dlaczego tak jest? Ponieważ, jak sądzę, zdobyłeś wielkie doświadczenie w odległych, niecywilizowanych zakątkach tego świata, możesz mi chyba odpowiedzieć na to pytanie?

Tłusty najemnik wysiłał się na ironicznie kwiecistą mowę, ponieważ z pobliskich namiotów poczęli wyłaniać się zaciekawieni sprzeczką żołnierze. Conan nawet nie drgnął.

- Sam mi powiedz.

- Doskonale, cudzoziemcze, powiem ci. Jesteśmy najlepsi, a zaciąg do kompanii Hundolfa jest marzeniem nawet wśród takich włóczęgów jak ty, ponieważ ze wszystkich chętnych przyjmujemy tylko co drugiego.

Stengar skrzyżował ramiona na piersi i rozejrzał się po zebranych ludziach z zadowoloną miną, jak gdyby jego wyjaśnienia miały jeszcze jakiś tajemniczy, głębszy sens. Czując pułapkę, Conan nie odpowiadał. Przesunął pas pod ramieniem tak, by mieć miecz w zasięgu dłoni.

- Połowę? - spytał.

- Tak jest, barbarzyńco. Tych, którzy zostają przy życiu! - Stengar uniósł dłoń i teatralnym gestem przywołał kogoś spoza kręgu gapiów. - Chodź tu, Lallo! Wreszcie znalazł się ktoś równy ci siłą!

Conan odwrócił się na pięcie, słysząc ciężkie kroki i niski, nieartykułowany pomruk. W jego stronę biegł zwałisty młodzieniec gotując się do przepołowienia Cymmerianina wzniesionym nad głowę dwuręcznym mieczem.

Atak był tak szybki, iż Conan musiał zastawić się swoją bronią, nim zdołał do końca wyciągnąć jaz pochwy. Ostrza zderzyły się z przeszywającym szczękiem. Najemnicy przywitani początek walki radosnymi okrzykami. Nim pas od miecza Conana wylądował w błocie, atakujący młodzieniec wyprowadził jeszcze dwa podstępne cięcia w tułów przeciwnika. Dopiero wtedy Conan zdołał zmusić osiłka do cofnięcia się zdecydowanymi pchnięciami.

- Patrzcie, wojownicy! - zawołał z boku Stengar. - Który z nich zostanie naszym nowym towarzyszem? Krzepki drwal Lallo, dziecię naszych kotyjskich wzgórz, czy barbarzyńca z Północy? Stawiam na Lalla i przyjmę zakład od każdego, kto sądzi, że będzie inaczej!

Po przemowie Stengara rozległy się głośno głosy najemników, obstawiających wynik pojedynku. Równocześnie Conan gorączkowo parował ciosy i robił uniki. Drwal był szybki, czego dowodził jego początkowy atak. Wzrostem i zasięgiem ramion dorównywał



Cymmerianinowi, lecz beztronski zapał do walki sprawiał, że często ryzykował wystawieniem się na cios barbarzyńcy.

- Hej, ty! Lallo! Dajmy sobie spokój z tą głupotą! - wykrzyczał Conan pomiędzy ciosami. - Nie ma potrzeby, byśmy zarabiali się dla rozrywki tych szakali!

Lallo sprawiał jednak wrażenie, jak gdyby nie pojmował ludzkiej mowy. Z półotwartymi ustami podążał mechanicznie wzrokiem za przeciwnikiem. Wreszcie wymierzył zamaszysty cios w głowę Cymmerianina. Conan uskoczył i powstrzymał się przed ciosem na odlew, którym pewnie odrąbałby chłopakowi ramię.

- Oho, barbarzyńca ma dosyć! - zawołał jeden z widzów. - Brak mu hartu ducha! Podwajam stawkę na Lalla!

- Ja też! - dołączył się do niego drugi najemnik. - Wszyscy wiedzą, że dzikusy ze wzgórz to marni wojownicy!

Lallo wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że gapie szczująco do walki. Zamachnął się wielkim płaskim mieczem jak siekierą - jak gdyby Cymmerianin należał jedynie do osobliwego gatunku leśnych drzew. Conan odtrącił ostrze przeciwnika i spróbował rąbnąć go w głowę potężną pięścią. Nie trafił jednak i niebezpiecznie wychylił się do przodu. Tylko dzięki karkołomnemu wygięciu tułowia, zdołał zastawić się mieczem i uchronić się przed ciosem na odlew. Cymmerianin energicznie wysunął przed siebie nogę, chcąc podciąć przeciwnika, lecz w nagrodę za swoje wysiłki poczuł tylko, jak ostrze miecza osiłka goli mu gładko włosy na bocznej stronie uda.

Wątpliwe było, by młodzieniec miał wszystkie klepki na swoim miejscu. Conan zdał sobie jednak sprawę, że Lallo jest szybki - zbyt szybki, by można go było wyłączyć z walki bez rozlewu krwi. Raz po raz Cymmerianin musiał powstrzymać się przed morderczym ciosem.

Wreszcie uchyliwszy się przed jednym z zamaszystych ciosów drwała skoczył z kocią zręcznością do przodu tak, iż znalazł się za jego plecami. Lallo zdołał odwrócić głowę, lecz nie miał szans użyć miecza. Conan napiął swe mocarne mięśnie, gotując się do ciosu, zdolnego rozplatać zaślinioną głowę przerażonego przeciwnika.

W tym momencie silna dłoń odepchnęła Cymmerianina w bok. Potężny cios przeciął nieszkodliwie powietrze ponad głową padającego w rozpaczliwym uniku Lallo.

Barbarzyńca warknął z wściekłości i zacisnął pięść, by zmieść z drogi intruza, lecz w ostatniej chwili poznał jego beczkowatą pierś i pokrytą siwą szczecina twarz.

- Hundolf!

- No proszę! Conan z Cymmerii! - Okolone nie dogolonym zarostem usta dowódcy

najemników wygięły się w uśmiechu. - Jak zwykle, w gąszczu walki! Powstrzymaj się od rzezi, lepiej porozmawiajmy. - Hundolf odwrócił się i zaczął wydawać komendy swoim podwładnym chrapliwym, surowym głosem: - Chłopcze, zostań tutaj! Zeno, Stengar, rozbróćcie tego pętaka! Nie mam pojęcia, co to za wygłupy, ale mają się natychmiast skończyć! - Kapitan powiódł groźnym wzrokiem po kręgu najemników; wielu z nich doszło nagle do wniosku, że gdzie indziej czekają na nich nie cierpiące zwłoki zajęcia. - No? Kto za to odpowiada?!

Większość gapiów unikała wzroku dowódcy, lecz stojący obok Lalla Stengar stwierdził:

- To zwykłe nieporozumienie między dwoma rekrutami, kapitanie. Nie miałem dość wysokiej rangi, by im przeszkodzić.

- Cóż, brzmi to prawdopodobnie - Hundolf skinął głową- tylko dla ślepego i głupiego niemowlęcia! Znam Conana i wiem, że Lallo w jednej chwili stałby się krótszy o głowę, gdyby Cymmeriani- nowi na tym zależało. - Łukowatym gestem dłoni objął zbieraninę gapiów. - Wszyscy dostajecie po pięć miedziaków grzywny. Na razie wsadźcie tego młodego barana do paki - może to mu wbije trochę rozumu do łba! Conanie, chodź do mojego namiotu. Adiutant zajmie się twoim koniem.

## II

### LEWA RĘKA HUNDOLFA

- Wciąż parasz się najemnictwem, Conanie? - Rozparty na wyszywanej narzucie w kącie namiotu Hundolf nachylił inkrustowany klejnotami puchar ku wargom. Kapitan najemników był teraz tylko w kaftanie z gładkiej bawełny i spodniach. Pod prześwietlonym blaskiem słońca płótnem namiotu było ciasno, a w powietrzu czuło się wilgoć, lecz przez wejście wpadały do środka odświeżające powiewy popołudniowego wiatru. Stary wojownik przyjrzał się Cymmerianinowi zmrużonymi oczyma. - Myślałem, że do tej pory jakaś pulchna szlachcianka zdążyła już zrobić z ciebie posłusznego dowódcę straży pałacowej, że znalazłeś dla siebie stałe miejsce w świecie.

- Chytre domysły, Hundolfie. Niejedna próbowała - mruknął siedzący na środku namiotu ze skrzyżowanymi nogami Conan i upił duży łyk z wysadzanego drogocennymi klejnotami kubka. - Nigdy nie zamierzałem zostać rozpieszczonym pieskiem pokojowym, bez względu na to, na jak pociągających kolanach miałbym siedzieć.

Obydwaj mężczyźni roześmiali się, po czym Hundolf rzekł:

- W twoim wieku mnie również robiono sporo takich propozycji. Uciekałem przed nimi, jak gdyby mnie diabły goniły. - Uśmiechnął się smętnie. - Żałuję, że nie skorzystałem z którejś z nich.

- Mimo to najwyraźniej nieźle ci się wiedzie od czasu, gdy zaciągnęliśmy się razem w Koryntii - roześmiał się Conan, trąc swędzącym nagle karkiem o maszt namiotu. - Prowadzisz wielki oddział najemników, cieszysz się świetną opinią wśród niezależnych szermierzy. Piję twoje zdrowie.

- Wzniósł kubek w geście toastu na cześć starszego mężczyzny. Dowódca najemników wzruszył ramionami.

- Dobrą opinią? Może, ale przez nią ciągnie do mnie nieprzeliczona banda obwiesiów w rodzaju tych, których widziałeś wcześniej. Mało mam takich ludzi jak ty. - Potrząsnął szpakowatą głową. - Wciąż nie mogę skończyć z wojaczką, Conanie. Nadal szukam dla siebie miejsca na stałe i zaczynam wątpić, czy znajdę je, zadając się z tymi buntownikami i angażując się w przepychanki między prowincjonalnymi władcami. Mam ochotę osiąść gdzieś na stałe, jeżeli nie tutaj, to pośród pól w mojej rodzinnej Brythunii, kiedy tylko zgarnę dość grosza, by dać sobie spokój z najemnictwem.

- Spodziewasz się tutaj nieźle obłowić? - Conan pochylił się do przodu i oparł łokcie

na masywnych kolanach. - Nie bardzo wiem, co tu się właściwie dzieje - tyle tylko, że Ivor buntuje się przeciw władcy Koth. - Ściągnął brwi. - Ryzykowne przedsięwzięcie, lecz w tym zatraconym zakątku królestwa może udać się.

- Och, istotnie. Książę Ivor występuje przeciwko swojemu wujowi z dość silnymi atutami. - Hundolf wyszczerzył drapieżnie zęby. - Strabonusowi brakuje sił do utrzymywania ładu w tak wielkim państwie, poza tym w Koth nigdy nie ma spokoju. Król, chociaż jest skąpy, wysyła kosztowne ekspedycje, by stłumić rozruchy. Musiał przez to narzucić gnębiące tutejszych wieśniaków i pasterzy podatki.

- To znaczy, że mógłby wysłać legion czy dwa, by zgnieść rebelię Ivora jako przykład dla innych? - Conan potarł z zadumą podbródek.

- Nie sędzę. - Hundolf usiadł prosto. - O wiele bliżej stolicy leżą inne buntownicze prowincje. Strabonus nie może ryzykować, że jego wojska zostaną odcięte z dala od Korszemisz. Nie odważy się wysłać sił na tyle dużych, by nas doszczętnie rozgromić.

- Czy w takim razie nie mógłby złożyć oferty pokoju? Wtedy skończyłaby się nasza robota.

- To groziłoby roznieceniem nadziei w sercach innych buntowników. - Hundolf wypił resztki wina z kielicha. - Nie, Conanie, zapowiada się długa kampania. Nasze psy będą kąsać tu i tam, ale nie licz na regularne bitwy. - Popatrzył na gościa spod krzaczastych brwi. - Książę Ivor może potrzebować naszych usług na stałe, byśmy strzegli jego młodego królestwa.

- W takim razie nie ma szans na zakończenie tego konfliktu jednym, zdecydowanym posunięciem. Nawet mi się to podoba; mogłoby dojść do kolejnej wojenki...

Conanowi przerwał narastający zgiełk, na który składały się okrzyki, tętent kopyt i skrzypienie drewnianego pojazdu.

- Ktoś przyjechał - może to karawana z żołdem?

Hundolf odstawił kielich, przeciągnął się i dźwignął na równe nogi z przewlekłym, niechętnym westchnieniem. Conan wstał bezszelestnie.

- Karawana? Skąd właściwie bierze się nasz żołąd?

- Z Cesarstwa Wschodu - Turanu. Dokładniej, od twojego byłego pracodawcy, cesarza Yildiza. - Hundolf zdjął z narożnego kołka namiotu pas z mieczem, hełm i lekką kolczugę, po czym nałożył je na siebie. - To kolejny powód, dla którego Strabonus na pewno nie zawrze pokoju z Ivorem. Książę dobił targu z Turańczykami, by stać się cierniem w boku króla Kothu.

- Cesarstwo Turańskie zawsze gorliwie szukało sprzymierzeńców i państw, zdanych

na jego łaskę, a jeszcze chętniej starało się uszczknąć ziem swoich sąsiadów. - Cymmerianin ruszył za Hundolfem do wyjścia z namiotu. - Czy możemy jednak liczyć na pieniądze od Yildiza?

- Niech Ivora boli głowa, skąd wziąć złoto, nie nas. - Hundolf zatrzymał się tuż przed wyjściem. - Na biednego nie popadło; księżę miałby kłopoty z wymiganiem się z zapłatą, skoro u bram jego miasta obozują trzy tysiące ludzi z Wolnych Kompanii. - Dowódca wyszedł wprost w tłumek zebranych przed namiotem podwładnych. - No i?. Jakie wiadomości?

- Na Wschodnim Trakcie dostrzeżono karawanę z liczną eskortą, kapitanie.

Meldunek złożył krępy najemnik imieniem Zeno. Jego twarz okalały rude kędziory, uzbrojony był w przypasany do pasa kiltu pałasz. Wyraźnie miał ochotę towarzyszyć swojemu dowódcy.

- Jak myślałem. - Hundolf skinął głową. - Muszę iść do cytadeli. Przy okazji, Zeno - jako że mianowałem cię swoim zastępcą, będziesz musiał zostać tutaj. - Odwrócił się, powiódł wzrokiem po swoim podwładnym i poklepał go po ramieniu. - Potrzebuję dobrego szermierza i jeszcze lepszego słuchacza, gdy zadaję się ze szlachcicami i innymi kapitanami, ale twoje miejsce zajmie od tej chwili Conan. Po dzisiejszej burdzie - popatrzył surowo na trzymającego się na uboczu Stengara - potrzebuję w obozie zdecydowanego człowieka. Zrozumiałeś?

- Tak jest, kapitanie. - Zeno skinął niechętnie głową, rzucając Conanowi nienawistne spojrzenie.

- Bardzo dobrze. - Hundolf odwrócił się. - Pojedziemy konno. Conanie, trzymaj się z mojej lewej strony, nieco z tyłu.

Podszedł do nich żołnierz, prowadzący dwa osiodłane wierzchowce. Z tylnych łęków zwisały czarno-żółte proporce kompanii Hundolfa. Conan wskoczył na grzbiet ogiera i skierował go pylistą ścieżką między namiotami. Nim odjechał dostrzegł jeszcze, że zdradliwy porucznik Stengar, szepcze coś z ponurą miną do Zenona.

Wkrótce uwaga Cymmerianina skupiła się na przedzie, gdzie przecinającą winnice główną drogą posuwał się orszak konnych i obładowanych mułów. Zdyszane zwierzęta uginały się pod ciężarem bezkształtnych, pozawijanych w tkaniny tobołów i głębokich koszy. Osły o opadających z wyczerpania długich uszach były poganiane przez ubranych w wełniane kurty Turańczyków na spienionych koniach. Drogę obstąpili najemnicy, jak zwykle prześcigający się w gwizdaniu i krzykach, wywołanych nowym wydarzeniem. Wydawało się jednak, iż tym razem żołnierze są bardziej podnieceni niż zwykle.

Minęło parę chwil, nim Conan poznał przyczynę ich ekscytacji. Wywołał ją widok uzbrojonych strażników, jadących na zwinnych hyrkańskich konikach z boku orszaku. Jeźdźcy byli tak szczelnie zakutani w futra i pokryte grubą warstwą pyłu stroje, że trudno było przyjrzeć się im dokładnie, jednak na drugi rzut oka sylwetki i lekkość ruchów pozwalały wszelako zorientować się, kim są.

- Kobiety! - dobiegły do uszu Conana hałaśliwe krzyki.

- Cesarz Turanu wysłał swe zbrojne dziewczki, by pilnowały naszego żołdu!

- Chrzanię żołą! Wolę płatniczkę!

Gwizdy i krzyki żołdaków wyrażały równocześnie zachwyt i oburzenie. Młodzieniec o rumianej twarzy - jeden z wielu mężczyzn, posuwających się za karawaną - zerwał się do biegu i w okamgnieniu wskoczył na siodło ostatniej strażniczki. Usiłował złapać się kobiety dla równowagi, lecz ta natychmiast dźgnęła go w brzuch obleczonego w skórę łokciem. Po ciosie strażniczka błyskawicznie odwiodła ramię i wymierzyła młodzikowi siarczysty policzek. Najemnik zwałił się w pył. Jego towarzysze powitali to szyderczymi wrzaskami.

Hundolf i Conan włączyli się do orszaku za zaprzężonym w dwa osły, rozklekotanym wozem z czarną plandeką. Wysoki, kanciasty pojazd miał dwa szprychowe koła, okute pogiętymi od długiej podróży spiżowymi taśmami, przez co kołysał się nierytmicznie z boku na bok nawet na rzadkich równych odcinkach drogi.

Woźnicę skrywało czarne płótno, rozciągnięte na pałkach nad platformą. Conan usiłował przyjrzeć się mężczyźnie na ostrym zakręcie, lecz jego uwagę odwrócił kolejny spragniony zabawy wojak, usiłujący wyrwać wodze konia jednej ze strażniczek. Jej doskonale wyćwiczony wierzchowiec skręcił w bok i obalił natręta na ziemię. Najemnik potoczył się przez zaścielający drogę koński nawóz, wyjąc z bólu i ściskając zgniecioną stopę. Conan i Hundolf starannie go ominęli.

Od czoła orszaku nadjechała kolejna strażniczka.

- Równaj szyk! Do broni! - wykrzykiwała rozkazy po szemicku mocnym, ochrypniętym głosem. Na jej napierśniku z pozieleniałego, wytartego brązu sterczały wykute na kształt bliźniaczych kocich łbów kryjące piersi stożki. Podniesiona przyłbica pozwoliła Conanowi dostrzec przez moment jej wyrazistą, przystojną twarz i krótko przycięte jasne włosy. Strażniczka jechała z przełożonym przez ramię obnażonym, krótkim mieczem. Na jej rozkaz pozostałe kobiety również dobiły broni.

- To Drusandra - powiedział Hundolf. - Widziałem, jak biła się w Flidei. Była wtedy ledwie samotną, zrozpaczoną dziewczką, lecz teraz jest dowódczynią, co się zowie! - Pokręcił na znak oszołomienia głową. - Zaiste, dziwne czasy nastały!

Widok obnażonej stali miał na najemników uśmierający wpływ. Dalsza droga karawany do bram Tantuzjum przebiegła znacznie spokojniej. Żołnierze nie rezygnowali ze sprośnych docinków, lecz wstrzymywali się od bezpośrednich napaści.

Jeźdźcy dotarli do głównej bramy miasta. Jej nabijane metalowymi ćwiekami wrota z długich bali i masywne, okrągłe wieże po bokach wywierały imponujące wrażenie. Conan zauważył jednak, że nad samą bramą nie było obronnych konstrukcji; rozpościerał się nad nią tylko przestwór nieba. Jedynym obronnym dodatkiem był kamienny kopiec na środku drogi, uniemożliwiający użycie taranu i zmuszający wjeżdżających do skręcania pod wieże strażnicze.

- Książę Ivor nie boi się widocznie ryzyka - zauważył Cymmerianin. - Jego gród nie jest zbyt twardym orzechem do zgryzienia.

- Dlatego polega na Wolnych Kompaniach. Tym lepiej dla nas.

Hundolf zsalutował falandze strażników miejskich, zebranych na niskiej rampie za bramą. Oficer warty odpowiedział skinieniem głowy.

Za wjazdem do miasta znajdował się niewielki plac, otoczony sklepami i oberżami. Wolną powierzchnię uszczuplały wystawione na zewnątrz budynków ławy szynkowe i stragany. Paru poganiaczy skierowało osły na bok, by rozładować swe towary pod okiem kupców i urzędników celnych, lecz większość wjechała w prowadzącą w głąb miasta wąską uliczkę. Ci z najemników, którzy zdołali przedostać się z obozu do miasta, kręcili się po placu dając zarobić handlarzom trunkami i odświeżającymi napojami.

Hundolf i Conan zdążali za orszakiem osłów i wozów krętą, pnącą się w górę uliczką, tak wąską, iż mieściło się na niej obok siebie najwyżej dwóch jeźdźców. Pokrywały ją nierówne brukowce, ustępujące na najbardziej stromych odcinkach miejsca schodom. Na skrzyżowaniach z przyległymi ulicami i zaułkami karawanie przyglądali się nieźle odziani mieszkańcy miasta: ludek o bladej cerze, okrągłych twarzach i brązowych lub jasnych włosach. Większość mężczyzn nosiła fartuchy rozmaitych cechów, kobiety zaś - jaskrawe, wyszywane kaftany i suknie.

- Ludzie księcia pilnują, byśmy nie narozrabiali po drodze - stwierdził Hundolf, gdy na rozwidleniu ulic minęli drugi kordon straży. Mężczyźni w szarych płaszczach zawracali wszystkich najemników z wyjątkiem konnych wędrowców. - Wpuszczają naszych ludzi na obrzeże miasta tylko po to, by trwonili swoje pieniądze, lecz strzegą przed nami reszty Tantuzjum.

Uliczka zakręcała i rozwidlała się wystarczająco często, by pozbawić orientacji nawet wychowanego w dziczy Cymmerianina. Conan jechał między nieprzerwanymi rzędami

budynków pokrytych spękanym tynkiem. Z rzadko rozmieszczonych okien i drzwi domostw wyglądali ciekawscy mieszkańcy. Wysokie, wysunięte nad ulicę górne piętra ograniczały widoczność na bokach; jedynie od czasu do czasu można było dojrzeć miejskie umocnienia na tle ciemniejącego nieba.

Dopiero, gdy przejechał pod łukiem z surowo ciosanych kamieni na obszerny, brukowany dziedziniec Conan zdał sobie sprawę, że znalazł się w cytadeli.



### III

## CZARODZIEJSKI PREZENT

Karawana zatrzymała się na obszernym dziedzińcu przed wyłożoną przez słońce fasadą pałacu opatrzoną na wysokości trzeciej kondygnacji arkadami i strzelnicami. Sklepienie pałacu wspinało się łagodnie ku środkowej kopule i wieżom ze spiczastymi dachami. Rezydencja z obu boków łączyła się z murami cytadeli.

Przed otwartą, otoczoną przez gwardzistów wielką pałacową bramą zebrali się dworzanie i słudzy, by powitać przybyłych. Na dziedzińcu tłoczyli się mieszkańcy Tantuzjum, którzy wyszli witać karawanę na ulicach. Od pałacowych murów odbijały się echa okrzyków, łoskotu kopyt i rżenia koni.

Conan podążył za Hundolfem w kierunku poręczy do wiązania wierzchowców znajdującej się z boku dziedzińca, gdzie chłopcy stajenni rozstawiali wiadra z wodą dla koni i mułów. Najemnicy zsiadli z rumaków i podeszli do stojących obok dwóch uzbrojonych mężczyzn. Starszy z nich, o poznaczonej bliznami, spalonej słońcem twarzy i związanych w kucyk włosach wysunął się przed swego towarzysza, krępego, chmurnego młodzieńca, którego oblicze wymagało pierwszego w życiu golenia.

- Conanie, pozwolisz, że przedstawię ci najzdolniejszego z moich kompanów - i najbardziej zaciętego rywala - stwierdził Hundolf, wskazując na jasnowłosego mężczyznę. - Brago, oto Conan - nowy rekrut, ale stary przyjaciel. Na pewno słyszał o czynach twoich i twojego oddziały.

- Oczywiście - jesteś pogromcą Scyldy. - Cymmerianin spojrział wojownikowi prosto w oczy, bez cienia emocji. - To było sławetne zwycięstwo.

- W mieście było mnóstwo godnych zainteresowania łupów, a sprzeciwiając się naszej woli, mieszkańcy wykazali nadmiar głupoty i pewności siebie. - Brago uśmiechnął się, ukazując wielkie, pożółkłe zęby. Uścisnął wyciągnięte ręce Hundolfa i jego zastępcy na sposób legionistów, za nadgarstki, lecz nie pofatygował się przedstawić swojego towarzysza. - Jeżeli chciałbyś brać udział w tak wspaniałych bitwach, przyłącz się do mojej kompanii - rzekł do Conana i mrugnął okiem do Hundolfa. - Ty także, stary druhu, jeżeli zacnie ci kiedyś ciążyć chorągiew z toporem.

- Możesz o tym tylko pomarzyć, Brago. - Hundolf powiódł spojrzeniem po dziedzińcu. - Wygląda na to, że zebrała się tu większość dowódców. Widzę Vilezzę - wskazał krępego Zingarańczyka przy studni na środku podwórca - a właśnie zjawił się Aki Wadsai.

Drugi z wymienionych, szczupły, czarnoskóry mężczyzna, wjechał na wykładany kamiennymi płytami dziedziniec na pustynnym ogierze o smukłych pęcinach. Brago popatrzył na dowódców najemników i pokiwał głową, ściągając brwi.

- Na pewno chcą położyć łapy na złocie równie bardzo jak ja. - Poglądził sterczące wąsy kciukiem i palcem wskazującym. - W tym zaścianku trudno o łup. Pewnie jeszcze długo przyjdzie nam czekać, nim ujrzymy obiecane przez Ivora bogactwa.

- Dobrze, że będziemy świadkami rozładunku. Przynajmniej nasz mocodawca nie zdoła niczego przed nami ukryć.

Hundolf ruszył w stronę pałacowej bramy. Conan zajął miejsce po jego lewej stronie, a Brago z towarzyszem ruszyli za nimi.

Przy pałacowej werandzie służba zdejmowała siodła z jukami z grzbietów mułów i odprowadzała je do stajni. Grupa gwardzistów odpierała napór miejskiej ciżby. Poganiacze i kwatermistrzowie krążyli między stosami koszy i worków.

Prócz nich kręcił się po placu mężczyzna w szarym płaszczu w asyście czterech lekko zbrojnych dworzan, co sugerowało, że jest szlachetnego urodzenia. Był niski, zażywny, obdarzony krótką szyją i dostojnym, gładko wygolonym obliczem. Z władczą miną nadzorował rozładunek. Nie był o wiele starszy od Conana, mógł mieć najwyżej trzydzieści lat. Jego gołą głowę wieńczyła niesforna strzecha brązowych włosów. Pod płaszczem nosił narzuconą na luźną lnianą koszulę kolczugę z doskonale wykutych ogniwi, aksamitne pantalone i buty do konnej jazdy. Nie widać było, by miał ze sobą jakąkolwiek broń.

- Oto księżę Ivor - stwierdził Hundolf, zatrzymując się po kilku krokach. - Musimy zaczekać, aż nas przywoła.

Księżę rozwiązywał właśnie rzemienie jednego z koszy. Zajrzał do środka i po chwili wyciągnął długi przedmiot, zawinięty w naoliwione płótno. Jeden ze strażników rozwinął je; w środku znajdował się miecz w pochwie. Gdy księżę wy dobył broń, Conan dostrzegł, że spiczaste, jednostronne ostrze jest lekko zakrzywione. Oręż cechowała prostota wykonania i brak ozdób; spiżowa rękojeść w kształcie pierścienia owinięta była w skórę rekina. Miecz ten nie wymagał dogłębnej znajomości szermierczej sztuki, lecz stanowił skuteczne narzędzie, idealne w opinii Conana dla amatorów. W koszu znajdowało się co najmniej dwadzieścia sztuk broni - a koszy było wiele tuzinów.

Księżę przymierzył rękojeść do dłoni i na próbę zamachnął się przed sobą, po czym z namysłem rozejrzał się po zgromadzonym na dziedzińcu tłumie. Po chwili zdecydowanie ruszył po kamiennych płytach, zostawiając asystę kilka kroków za sobą. Zatrzymał się przy studni, wskoczył na cembrowinę i wsparł dłoń na drewnianym żurawiu. W tym momencie

sprawiał wrażenie o połowę wyższego od pozostałych, górując stąd nad tłumem.

- Ludu Tantuzjum! - zawołał rażno; jego głos odbił się echem od pałacowych murów, zmuszając ciżbę do przycichnięcia. Wieleśet głów zwróciło się w jego stronę, podczas gdy zbrojna asysta pospiesznie zajmowała miejsca wokół swego pana. - Mieszkańcy mojego miasta, słuchajcie! Przyjaciele, rodacy! - Wzniósł miecz nad głowę. - Bracia w niedoli, ofiary tyranii podłego Strabonusa, przychylcie mi swych uszu!

Tantuzjanie słuchali jak zaczarowani. Na placu zapanowała niemal zupełna cisza, zakłócana jedynie grzebaniem kopyt i rżeniem jucznych zwierząt.

- Przez długi czas znosiliśmy niewymowne katusze, przyjaciele. Teraz wspólnie przystąpiliśmy do śmiałego dzieła. Zdołaliśmy utoczyć krwi z zachłannej pięści królewskiego ucisku. - Wzniósł wolną dłoń z rozpostartymi jak szpony palcami nad głowę i wykonał gest, jak gdyby odrzucał od siebie wielki ciężar. - Zamknęliśmy nasze granice i zyskaliśmy wsparcie wielu dzielnych sprzymierzeńców. - Jego spojrzenie padło na dowódców najemników zgromadzonych na uboczu dziedzińca. - Nie z lekkomyślności podjęliśmy dzieło zdobycia dla siebie wolności i suwerenności. Wzorem mądrości i cierpliwości jest dla nas sama ziemia. Jak rolnicy, wytyczyliśmy pole, które ma nas żywić i bogacić. Wiemy, że to kamienista gleba, że przy zasianiu tego gruntu towarzyszyć nam będzie mnóstwo niebezpieczeństw. - Niecierpliwie wrzucił ramionami, jak gdyby zrzucił z barków wielkie brzemię. - Mimo to w porównaniu z tysięcznymi plagami panowania Strabonusa - brutalnie wymuszanymi, przytłaczającymi podatkami, występkami jego wojsk przeciwko naszym mężczyznom i kobietom, prześladowaniem mojego ojca i ciągłym szarganiu suwerenności i honoru naszej ojczyzny - w porównaniu z nimi pole buntu zda się łatwe w oraniu, jak żyzny rzeczny namuł pod ostrym lemieszem pługa. Chociaż przyszłość wydawała się beznadziejna, śmiało wstąpiliśmy na drogę słusznego buntu i chociaż przyszło nam stawić czoło przeciwnościom na niej, nie oderwiemy oczu od roztaczającej się przed nami wizji wolności dla naszej ojczyzny! Teraz, przyjaciele, nasze marzenia są bliższe spełnienia niż kiedykolwiek! Otrzymaliśmy dzisiaj nie tylko narzędzie realizacji naszych zamierzeń, lecz dane nam zostało również proroctwo, niezbita gwarancja naszego triumfu! Wiedźcie bowiem, że władca najpotężniejszego królestwa świata i nasz wschodni sąsiad, cesarz Turanu Yildiz użył nam pomocy i wsparcia w naszych trudach. Zrozumiał, że sukces fali rebelii wznoszącej się przeciw kotyjskiemu okrucieństwu jest nieunikniony. Już kilka miesięcy temu dostojny monarcha oświadczył naszym posłom, że nas wesprze, i przysłał pisemne, opatrzone własną pieczęcią gwarancje uznające nasz młody naród. Od dawna zastanawialiśmy się, jaką postać przyjmie jego pomoc. Myśleliśmy, że przyśle nam złoto, oddziały wspierające nas

w wyzwolenczej walce lub mądrych doradców o wielkim wojskowym doświadczeniu. Wiemy wszak wszyscy, że wielkie jest turańskie bogactwo, a jeszcze większa jego zbrojna i polityczna potęga. Dziś, przyjaciele, wiemy, o jakim wsparciu myślał łaskawy władca. Nie przysłał armii ani uczonych taktyków, lecz coś trwalszego od kruchego ludzkiego ciała - i to nie złoto! Jakież jest jego dar?

Zapadłej ciszy nie przerwał ani jeden głos. Ivor kilkakrotnie ciął mieczem przed sobą i kontynuował:

- To stal! Yildiz przysłał nam stalowy oręż! - Triumfalne woła- nie księcia odbiło się echem od ścian dziedzińca. - Dzięki swojej przenikliwości nasz sprzymierzeniec zdaje sobie sprawę, że tylko ostrą jak brzytwa stalą można zaorać i użyźnić glebę wojny przeciw tyranowi! Tylko dzięki niej - zdecydowanym ciosem odłupał spory klin bladego drewna z tyczki żurawia-możemy zebrać czerwone żniwo krwi złoczyńców, którzy stoją na drodze do wielkości i godności naszego narodu! Yildiz, i ja wraz z nim, wzywamy was do broni! Do broni, przyjaciele, by walczyć o to, co nam najdroższe! Niech każdy zdolny do jej noszenia człowiek będzie gotów do obrony ukochanej ojczyzny, gdy królewscy pacholkiwie o krwawych rękach znów spróbują założyć na nasze szyje obrozę niewoli! Mało tego, niech walka rozgorzeje we wrogich obozowiskach, w twierdzach obmierzłego Strabonusa! W tym celu zarządzam utworzenie straży włościńskiej...

Conan rozejrzał się po tłumie. Posiadacze ziemscy i ich żony oraz ludność miasta - kupcy, rzemieślnicy, czeladnicy i stajenni - wsłuchiwali się jak zakłęci w słowa księcia i chłonęli każdy jego teatralny gest. Gdy Ivor unosił głos w wyrazie najwyższego wzburzenia, w ich oczach błyszczało coś więcej niż odbicie zachodzącego za jego plecami słońca.

Dowódcy najemników przyjmowali perorę Nora z mniejszym entuzjazmem. Conan spostrzegł, że Hundolf marszczy brwi, a Zingarańczyk Vilezza klnie pod nosem. Brago i czarnoskóry pustynny jeździec Aki Wadsai stali z boku z niewzruszonymi sceptycznymi minami. Cymmerianin zauważył również, że garstka szlachty i oficerów w tantuzjańskich barwach na werandzie przygląda się najemnikom, notując w pamięci ich reakcję.

- Powiadam wam więc, rodacy: nie bójcie się walki przeciw Strabonusowi! - kontynuował równym głosem Ivor, gotując się do kulminacji swej przemowy. - Z radością szykujecie się dać dowód swej dzielności! Jeżeli w swojej głupocie tyran zdecyduje się wkroczyć w granice naszej ukochanej ojczyzny, niech cała prowincja powstanie jak jeden mąż! Tymi oto ostrzami przyniesiemy zasłużoną zagładę wojskom tyrana! Wzgórza rozstąpią się jak w pradawnych opowieściach, by pochłonać wroga! Nic bowiem nie oprze się nieugiętej woli naszego ludu! Walczymy w słusznej sprawie i do nas będzie należeć

zwycięstwo!

Ivor znieruchomiał z wzniesionym mieczem w dłoni i rozwianymi włosami. Jego bezgraniczna pewność siebie i bohaterska poza sprawiły, że tłum wybuchnął gorączkowymi wiewatami. Wzburzona ciżba zaroła się wokół studni, rzucono w powietrze nakrycia głów.

Książę zeskoczył z cembrowiny między swoich poddanych. Zbrojna straż starała się otaczać go ciasnym kręgiem, lecz on nieustannie wymijał ich, pozwalając mieszczanom ścisnąć i całować swe dłonie.

- Nie ma wątpliwości, że lud jest po jego stronie - rzekł wreszcie Hundolf do swoich towarzyszy.

- Istotnie. Aż zastanawiam się, po co mu najemnicy - odparł Brago.

Aki Wadsai bezszelestnie podszedł do kapitana i przemówił znad jego ramienia chrapliwym, ściszonego głosem, brzmiącym jak zawodzenie pustynnego wiatru:

- Czym ma być ta... straż włóściańska, o której mówił książę?

- Nie uśmiecha mi się perspektywa walki u boku zielonych rekrutów i stajennych - mruknął Vilezza z głębokim, gardłowym akcentem. - Jeszcze mniej podoba mi się możliwość, że ta straż zwróci się kiedyś przeciwko nam.

W tej właśnie chwili książę oderwał się od tłumu i ruszył w stronę grupki najemników. Zbrojna straż towarzyszyła mu wiernie po bokach. Ivor z kordialnym uśmiechem wyciągnął dłonie, by uściskać ręce po dwóch wojownikom naraz.

- Moi towarzysze broni, piękny dzień nam nastał! Czuję uniesienie na myśl, że cesarz Yildiz zdecydował się wesprzeć naszą sprawę.

- Wspaniale, książę. - Brago odchrząknął i uśmiechnął się blade. - Nie zapominajmy jednak o naszym żołdzie. Turańczycy mieli przysłać jego część...

- Słucham? Ach, tak. - Ivor odgarnął dłonią włosy przed oczu. - Obawiam się, że wypłata ulegnie drobnej zwłóce. Złoto ma zostać przywiezione dla większego bezpieczeństwa w osobnym konwoju. Trudno orzec, kiedy tu dotrze.

- Panie, gdybyś raczył wypłacić nam przynajmniej część wstępnej zapłaty z własnego skarbcza - wtrącił się Hundolf, skrzyżowawszy ramiona na piersi. - Nasze wydatki są wysokie, nie wolno też zapominać o nastrojach wśród żołnierzy.

- W tej chwili byłoby mi to nie na rękę. - Książę zmierzył go nieprzeniknionym wzrokiem i machnął dłonią w zbywającym geście. - Z łatwością zaradzę waszym problemom. Nakażę miejskim kupcom sprzedawać wam dobra na kredyt. Nie wątpię, że poprawią się również nastroje wśród wojska, liczę bowiem, że niedługo ruszymy do walki. - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Bardzo niedługo. Przede wszystkim chciałbym jednak przedstawić

wam nowego sprzymierzeńca. - Ivor zrobił pół kroku w bok, by mogła stanąć przy nim jeszcze jedna osoba. - Panowie, oto Drusandra. Widzieliście, jak dzielnie dowodziła dziś swoim oddziałem. Zamieszka wraz z wami w obozie.

Do księcia i najemników podeszła wojowniczką w wytartym pancerzu chroniącym tułów, uda i golenie, lecz już bez płaszcza i hełmu, który trzymała w zgięciu ramienia. Jej gładka twarz miała pociągające rysy, lecz zaciśnięte usta nadawały jej wyraz surowości. Była wyższa, niż wydawało się, gdy siedziała na koniu; górowała nie tylko nad księciem, lecz również nad Vilezzą.

- Proszę, oto Hundolf, Brago i inni wasi dzielni towarzysze. Możemy oszczędzić sobie przedstawiania-wszyscy zyskaliście sławę, poprzedzającą was jak woń pachnidła.

Drusandra skinęła najemnikom głową z oszczędnym uśmiechem.

- Prowadzę pod swoją komendą dwadzieścia trzy przyjaciółki. Oto moja zastępczyni, Ariel.

Wskazała towarzyszącą jej czarnowłosą kobietę w skórzanym rynsztunku. Była niższa i szczuplejsza od swojej dowódczyni, sprawiała jednak wrażenie czujnej i sprawnej. Jej rysy psuły nieznacznie ślady po starej chorobie, przydające jej pięknu czegoś dzikiego i gwałtownego.

Najemnicy powitali kobiety skinieniem głów, wymieniając szeptane komentarze. Vilezza zaś stwierdził zdecydowanie:

- Będziesz musiała ulokować kobiety z dala od naszego obozu. Boję się, że nie zdołam należycie dopilnować moich ludzi.

Drusandra odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Nie bój się, Vilezza, jeżeli nie potrafisz sobie z nimi poradzić, zrobię to za ciebie! - Po chwili uśmiechnęła się bardziej otwarcie. - Moje siostrzyce przywykły do niesfornych mężczyzn i z radością powitają okazję, by dać pogładową lekcję tym, którzy mają ochotę je nękać.

Vilezza zaczerwienił się i rozejrzał po swoich towarzyszach, szukając wsparcia.

- Żądam, by wszyscy dowódcy utrzymywali surową dyscyplinę - wtrącił się książę, obrzucając mężczyzn i Drusandrę surowym spojrzeniem. -Nasze plany wymagają ścisłego współdziałania wszystkich członków sojuszu. Przypomina mi to, iż winienem wam przedstawić jeszcze kogoś.

Ivor dał znak jednemu ze strażników. Ten odwrócił się, skinął dłonią i zawołał:

- Pozwól tutaj, czarnoksiężniku!

W zapadającym zmierzchu wśród krzątających się przy rozładunku ludzi widać było

wóz z czarną plandeką, za którym Conan i Hundolf jechali przez miasto. Z cienia pojazdu wyłoniła się ciemna, szczupła postać i ruszyła w stronę grupki najemników.

- Szczodrość cesarza Yildiza nie ma granic. Przysłał nam więcej, niż wspomniałem w swojej mowie. - Ivor wyciągnął dłoń przed siebie. - Oto Agohoth, czarnoksiężnik z Pałacu Wschodzącego Słońca.

Mężczyzna, który podszedł do nich, odznaczał się wyjątkowym wzrostem, oraz młodzieńczym wyglądem i kruchą budową ciała. Był to niemal chłopiec, o bladej skórze, niezręcznych ruchach, przypominającym wielki dziób nosie i przylegających do czaszki pasemkach czarnych włosów. Ubrany był w wybrudzony czarny fartuch, przepasane zakurzoną żółtą szarfą pantalon i spiczaste pantofle na wschodnią modłę. Z kościstych barków maga zwisał nierówno płaszcz z czarnego jedwabiu. Widząc go, Vilezza i jego towarzysz parsknęli śmiechem. Pozostali dowódcy powitali Kitajczyka pełnymi powątpiewania spojrzeniami.

Agohoth pochylił się i zmrzywszy oczy, powiódł niepewnym wzrokiem po najemnikach. W jego półotwartych ustach widać było niepospolicie sterczące przednie zęby.

- Witajcie, wojownicy, i ty, książę. Przysłano mnie tutaj... niezliczone mile od dworu w Aghrapurze - Agohoth urwał. Jego niezręczne zachowanie zdawało się wywołane nieśmiałością, nie zaś kłopotami z wymową. Posługiwał się językiem kotyjskim płynnie, chociaż mówił nim z obcym akcentem. Wreszcie czarnoksiężnik odwrócił się w stronę Ivora i zwrócił tylko do niego: - Moja misja... Cesarz i moi przełożeni wysłali mnie tu aby... ee, dzięki moim umiejętnościom zapewnić ci zwycięstwo.

Jego stwierdzenie wywołało rozbawienie najemników.

- Książę, tego już za wiele! - Vilezza wybuchnął rubasznym śmiechem. - Zamiast złota Yildiz przysłała blaszane miecze, zakute w zbroje baby na naszą udrękę oraz nie potrafiącego sklecić dwóch słów świątynnego skrybę! - Wzniósł oczy ku niebu w wyrazie oburzenia. - Jąkającego się adepta wiedzy tajemnej, który będzie nas wstrzymywać od działania i mieszać w naszych planach wróżbami z gwiazd i omenami! Mieliśmy dość tych oszustów w Zingarze! Pytam cię, książę, czemu to ma służyć?

Nie tracąc równowagi, Ivor utkwiał w Zingarańczyku nieprzychylnie spojrzenie zmrużonych oczu.

- Istotnie, dobre pytanie. - Przeniósł wzrok na niezgrabnego młodzieńca. - Co potrafisz, Agohoth? Raczyłbyś dać nam jakiś dyskretny dowód swych mocy?

- Och, zdobyłem wiele umiejętności... książę - odparł czarnoksiężnik z wyraźnym zdenerwowaniem. - Jestem obdarzony pewnymi... talentami.

Po chwili poszukiwań niepewnym gestem wydobyl z za pasa niewielki zwój szerokości dłoni, nawinięty na dwie drewniane szpule. Rozwinął go i podtrzymując przed sobą jedną ręką, drugą wydobyl z rozcięcia fartucha osobliwie połyskujący w świetle ogniska amulet.

- Przynieś pochodnię! - rozkazał Ivor jednemu ze strażników.

- Nie ma potrzeby - rzekł z roztargnieniem Agoth.

Zapatrzył się w pergamin przez lśniący klejnot. Wydawało się, że mimo coraz gęstszych ciemności jest w stanie odczytać treść zwoju. Zebrani wokół księcia najemnicy przyglądali się w napięciu czarnoksiężnikowi – z jednym wyjątkiem. Aki Wadsai odszedł na bok. Conan miał wrażenie, że we wzroku pustynnego wodza dostrzegł znajomy wyraz lęku. Czarnoskóry wojownik przystanął z boku, najwyraźniej gotów w każdej chwili szybko zniknąć.

Po paru chwilach Agoth schował zwój. Począł mamrotać pod nosem i czynić dłońią w powietrzu niepewne gesty. Drugą rękę przyłożył do ściągniętych w wyrazie powątpiewania brwi.

Coś przeplłynęło między zebranymi w kręgu ludźmi. Nie było to nic materialnego, lecz można było wyczuć obecność czegoś niepokojącego, co wywołało niespokojne ruchy mężczyzn i zaskoczone westchnienie Drusandry. Conan miał wrażenie, że coś miękkiego i chłodnego delikatnie otarło mu się o gardło. Znienawidzona magia sprawiła, że jego nozdrza rozszerzyły się nerwowo.

Rozległ się dźwięk siarczystego policzka. Vilezza stęknął i na moment uniósł dłoń do twarzy, by natychmiast opuścić ją na rękojeść sztyletu. Rozejrzał się wrogo po zebranych, lecz nim zdołał wyciągnąć broń z pochwy, książę zacisnął zdecydowanie dłoń na jego nadgarstku.

- Ostrzegam cię, nie próbuj brać odwetu! - rzekł Ivor.

Niewidzialna obecność zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Po chwili wrócił strażnik z płonąca pochodnią. W jej świetle Conan dostrzegł, że na policzku Vilezzy widnieje szkarłatny zarys dłoni. W oczach najemnika lśnił przeblysk trwogi. Zingarańczyk potrząsnął głową z oszołomieniem, po czym odszedł w ciemność, masując twarz.

Agoth nadal sprawiał wrażenie onieśmiałego i zakłopotanego. Książę podszedł do czarnoksiężnika i poklepał go po ramieniu.

- Witaj w naszym obozie, magu! - Obrzucił życzliwym spojrzeniem najemników. - Wyśpijcie się dobrze dziś w nocy. Jutro czeka nas narada wojenna.



## IV

### NIESPOKOJNY ŚWIT

Promienie wschodzącego słońca oświetlały wysoki, najeżony zastrzonymi kołkami szczyt palisady. Wspaniałości przydawały świtowi kładące się na nieboskłonie szkarłatne, przypominające proporce odbłaski, rozpościerające się pod perłowymi brzuchami chmur. Na tle bladego widnokregu wyraźnie odcinało się czarne drewniane ogrodzenie; znad którego w dwóch miejscach wystawały ramiona i głowy wartowników. Z głębi twierdzy dobiegały stłumione głosy i szmery, poza tym panowała całkowita cisza.

Conan wsparł głowę na pieńku krzewu dając odpocząć zmęczonym mięśniom szyi. Po długim czuwaniu przez najchłodniejszą część nocy bolało go całe ciało. Czyhanie w ukryciu wymagało wiele wysiłku - o wiele więcej, niż przeczołganie się wcześniej do tego miejsca.

Na wilgotnej ziemi po obu stronach Cymmerianina leżeli inni najemnicy. Kryli się za pniakami poręby porośniętej małymi krzewami, którym Kotyjczycy bezmyślnie pozwolili wyrosnąć na przedpolach fortu. Conan zastanawiał się, jak skuteczna okaże się ich osłona po wschodzie słońca. Po chwili dosłyszał szept:

- Zostaniemy wypatrzeni, jeżeli brama wkrótce nie zostanie otwarta! Jeszcze nam przyjdzie szturmować palisadę!

- Niech to wszystkie diabły porwą! Wybraliśmy sobie samobójczą wyprawę! - rozległ się bardziej chrapliwy szept. - Pozwolili na to temu zwariowanemu barbarzyńcy tylko dlatego, że chcieli się go pozbyć!

- Szszsz! Cicho!

Conan wykręcił szyję i popatrzył groźnie na swoich ludzi, widocznych w rzadziejającej ciemności tylko jako niewyraźne plamy. Odczekał chwilę, wyęzając wyćwiczony w dziczy słuch w poszukiwaniu oznak, iż szepty zostały usłyszane w forcie. Nadal jednak panowała cisza, a sylwetki wartowników nad palisadą tkwiły w bezruchu.

Odprężywszy się nieco, lecz nie rezygnując z czujności, Conan zastanowił się, czy w szemraniach najemników nie tkwiło ziarno prawdy. Poprzedniego wieczora podczas biwaku nie rozpalono ognisk. Przez długą, zimną noc Hundolf opracowywał plan zdobycia fortu: najemnicy na koniach mieli wspiąć się na palisadę i wpuścić towarzyszy do środka. Brzmiało to mało realnie, groziło również dużymi stratami w ludziach. Conan zaproponował inną możliwość: fortel, jakiego wyuczył się w młodości, gdy walczył z żądnymi ziemi Gundarczykami.

Co dziwne, jako pierwszy podczas narady przed bitwą propozycję Cymmerianina poparł jego rywal, Zeno. Twierdził, iż Conan sam powinien poprowadzić atak. Hundolf wyraził zwięzłą zgodę, obrzuciwszy przedtem barbarzyńcę pełnym namysłu spojrzeniem. Drusandra zgłosiła chęć towarzyszenia Conanowi jako jego zastępczyni. Cymmerianin ujrzał później, iż Zeno ponownie naradzał się szeptem z jego drugim wrogiem, Stengarem. Ten ostatni leżał obecnie gdzieś w ciemnościach po prawej stronie.

Zadumę Conana przerwały nowe odgłosy: zza palisady dobiegło go stłumione stąpanie końskich kopyt. Zabrzmiała komenda, a potem skrzypienie drewna. Cymmerianin podparł się na łokciach i ujrzał, jak w załomie muru, gdzie znajdowała się brama, ukazuje się cienki klin nieba.

- No, psy, naprzód! - krzyk Conana przerwał ciszę poranka. - Do boju, łotry!

Cymmerianin zerwał się do biegu z toporem w dłoni. W przodzie usłyszał dźwięczenie uprzęży: z garnizonu wyjeżdżał konny kurier. Gdy Kotyjczyk dojrzał unoszące się dookoła niego z ziemi sylwetki, wrzasnął i spiął konia ostrogami. Conan spostrzegł błyskające w bladym świetle świtu ostrza. Usłyszał koszarne rżenie i łoskot, gdy koń z przeciętymi ścięgnaми runął na ziemię. Nie zatrzymując się, Cymmerianin biegł dalej, wyprzedzając coraz bardziej swoich towarzyszy.

Przed nim od strony palisady rozległo się głucho uderzenie i jęk. Przeszyty włócznią najbliższy wartownik zwinął się w agonii i runął do środka fortu.

Po chwili Conan dotarł do bramy. Kotyjczycy niemal zdążyli zatrzaskać jej uchyloną połowę. Barbarzyńca wsparł się o nią ramieniem, chcąc rozewrzeć ją szerzej. Pochylił się i napał na wieże, jego grube podeszwy ślizgały się na ubitej drodze. Brama ze skrzypieniem zaczęła uchylać się do środka.

Z drugiej strony drewnianych wrót rozległ się gwar głosów i szmer wyciąganego miecza. Napór na bramę z wewnątrz osłabł. W wąskiej szczelinie pojawiła się ciemna ludzka sylwetka.

Conan poderwał się na równe nogi, zamachnął toporem i trafił Kotyjczyka w wizjer hełmu. Błyskawicznie uderzył po raz drugi od dołu, miażdżąc z głuchym łoskotem kości czaszki obrońcy, który runął do wnętrza fortu.

Jego towarzysze ponownie napałi na skrzydło bramy. Cymmerianin znów wpał się w nie barkiem.

Niespodziewane szarpnięcie do środka sprawiło, że barbarzyńca zatoczył się naprzód. Natychmiast rzucili się na niego kolejni dwaj strażnicy z mieczami.

- Niech Crom was porwie! - wrzasnął Conan.

Cisnął topór w jednego z napastników tak potężnie, że aż rozboleło go ramię. Broń trafiła Kotyczyka w pierś i obaliła na ziemię. Cymmerianin wyrwał miecz z pochwy, by stawić czoło drugiemu z obrońców. Rozległ się ogłuszający szcęk zderzającej się stali.

Barbarzyńca spychał swojego przeciwnika coraz bardziej w tył, ku rozciągniętemu na ziemi pierwszemu wartownikowi. Jak oczekiwał Conan Kotyczyk potknął się. Barbarzyńca bez trudu pokonał jego zastawę i wbił miecz głęboko w kark przeciwnika, który zwałił się na ziemię z gardłowym rzeżeniem.

Conan odwrócił się ku pierwszemu obrońcy. Żołnierz podnosił się z wyrazem bólu na twarzy, jak gdyby miał połamane żebra. Zadany oburącz cios mieczem ponownie powalił go na ziemię.

Obok głowy Conana świsnęła ciśnięta maczuga. Po chwili w bramie utkwiała strzała długości ramienia, tak blisko, iż wibrując, muskała nagą skórę szyi Cymmerianina. Uniósłszy głowę, ujrzał tłum na poły odzianych żołnierzy w uniformach cesarskiej armii Koth, biegnących ku niemu z namiotów i baraków na środku obozowiska. Conan odwrócił się.

- Gdzie moi ludzie?! - Oczywiście myśl sama znalazła drogę do jego ust.

Tuzin kroków za nim grupka najemników w milczeniu stała wokół krwawych resztek gońca i jego konia, przyglądając się Cymmerianinowi. Niektórzy z nich sprawiali wrażenie niezdecydowanych; pozostali wspierali się na broni, najwyraźniej nie mając zamiaru przejść przez bramę. Pod wpływem spojrzenia Conana paru najemników podniosło niepewnie oręż i zaczęło wiwatować: „Brama jest nasza!” Entuzjazm z początku mizerny, szybko udzielił się pozostałym. Krzycząc, że trzeba ją utrzymać, ruszyli biegiem naprzód. Ociągający się z ruszeniem z miejsca Stengar dobył poniewczasie broni i zaczął wznosić okrzyki razem z towarzyszami.

Najemnicy wpadli przez bramę, by utworzyć kordon obronny wokół przywódcy. Mijając Conana, klepali go po ramionach na znak podziwu.

- Wy tam! Otwórzcie szerzej bramę! Odciągnijcie te ścierwa!

Wykrzykiwane nagłym głosem rozkazy spotkały się z natychmiastowym posłuchem. Na znak Conana długobrody wojownik uniósł kozi róg do ust i zagrał przenikliwy podwójny sygnał.

Podczas gdy Cymmerianin organizował obronę przed kontratakami Kotyczyków, rozległ się tętent kopyt. Główne siły najemników wreszcie wynurzyły się zza skraju odległego o sto kroków lasu.

- Zająć garnizon! - rozległo się ochryple wołanie Hundolfa, któremu wtórował bardziej przenikliwy okrzyk Drusandry:

- Z rozkazu księcia trzymajcie się z dala od wioski!

Po paru chwilach jeźdźcy tłumnie wjechali na dziedziniec fortu. W świetle wstającego dnia okazało się, że było to zaledwie zamknięte w kolistej palisadzie zbiorowisko namiotów, z paroma barakami i zagrodami dla zwierząt. Conan podniósł topór i ruszył wraz z konnymi najemnikami do ataku.

Walka rozgorzała na środku obozowiska. Kotyjczycy starali się uformować linię obrony wzdłuż namiotów, lecz brakowało im włóczyków, by odeprzeć konną szarżę. Wychylający się z siodeł najemnicy wycięli w pień na poły zaledwie odzianych i uzbrojonych obrońców, po czym spięli wierzchowce ostrogami i wjechali między namioty. Konie brnęły wśród lin i wydymających się płócien, a jeźdźcy zawracali je, by zaatakować Kotyjczyków od tyłu.

Piesi żołnierze obydwu stron ścierali się tymczasem między namiotami. Trwały tam krótkie, zażarte potyczki na miecze, o których wyniku decydowało bardziej szczęście i liczebność walczących, niż szermiercze umiejętności.

Conan przyłączył się do ataku na baraki - solidne budowle z obrzuconych mułem belek, położone między namiotami i palisadą. Obrońcy zrazu zdołali utrzymać wolną przestrzeń wokół baraków dzięki śmiercionośnemu gradowi strzał z okien. Impet natarcia najemników załamał się, gdy pół tuzina ich towarzyszy runęło zastygając na ziemię w bezruchu lub wiło się w męce. Zbroje i tarcze atakujących nie chroniły przed strzałami i bełtami, wymierzonymi w nie osłonięte oko czy kolano.

Hundolf i Conan rozkazali najemnikom odciąć liny najbliższych namiotów i nieść płótna jak parawany na włóczykach i wyrwanych z ziemi podpórkach. Zaimprovizowane osłony uniemożliwiały łucznikom celne strzelanie i hamowały impet ich pocisków. Dzięki parom najemników niosącym przodem rozciągnięte między sobą płótna, oficerowie zdołali poprowadzić grupy swych ludzi do ataku.

Po dotarciu pod ścianę głównego baraku, napastnicy zatkali zwiniętymi namiotami wąskie strzelnice. Ponieważ Kotyjczycy zdołali zatrzaskać i zaryglować drzwi z grubych belek, Conan i dwaj inni najemnicy poczęli rabacje toporami. Hundolf nakazał sześciu ludziom czekanie z włóczykami w gotowości, by uniemożliwić ewentualną próbę ucieczki uwięzionych w rozpaczliwym położeniu Kotyjczyków.

Drzwi zostały wreszcie otwarte, podtrzymywane jedynie przez dolny zawias ze sparciałej skóry, lecz nikt nie starał wyrwać się z zewnątrz.

- Poddajcie się! - zagrzmiął Hundolf.

Odpowiedzi nie było. Conan chwycił posiekane drzwi i odepchnął je na bok. Hundolf

natychmiast wpadł do środka, Cymmerianin rzucił się tuż za nim.

Barbarzyńca musiał zmrużyć oczy, by rozejrzeć się po pogrążonym w mroku ciasnym wnętrzu baraku. Obrońcy właśnie przeciskali się na zewnątrz przez wybitą pod przeciwną ścianą dziurę w dachu. Dwaj Kotyjczycy - wysoki, chmurny mężczyzna w płaszczu majora i sprawiający wrażenie małpoluda kapral - odwrócili się, by stawić czoło napastnikom. Obydwaj wzniesli miecze i ruszyli.

- Precz, najemnicze łajno! - warknął major.

Miecz Kotyjczyka otarł się o broń Hundolfa i jego spiżowy pancerz. Dowódca najemników odpowiedział zręczną ripostą.

Kapral ruszył do walki z Conanem. Było za ciasno, by inni najemnicy mogli pomóc swoim dowódcom. Barbarzyńca był zadowolony, że ma topór. Wzrost Cymmerianina był dla niego zawadą w niskim baraku; a przy próbie ciosu z góry miecz uwiązłby w belkach stropu. Niższy Kotyjczyk wyprowadzał zamasyście poziome cięcia, które wydawały się łatwe do zablokowania, dopóki nie zamienił jednego z nich w zręczne pchnięcie. O mało nie zdołał wypuścić Conanowi trzewi z brzucha. W piersi barbarzyńcy wezbrał szkarłatny płomień wściekłości. Wolną ręką chwycił zydel, cisnął go w twarz krępego przeciwnika i przeszedłszy natychmiast do ataku rąbnął go toporem w skroń. Martwy nieszczęśnik zwałił się na polepę.

Odwróciwszy się, Conan dojrzał, że Hundolf zapędza majora kolejnymi ciosami w kierunku długiego stołu.

- Najemna świnia! - wrzasnął Kotyjczyk i włożył wszystkie siły w podstępne, poziome cięcie na wysokości szyi przeciwnika.

Hundolf uchylił się z łatwością, zrobił taneczny krok do przodu i wbił miecz głęboko pod napierśnik oficera, sięgając do serca. Z niezmaconym spokojem strząsnął jęczącego i podrygującego w agonii przeciwnika z ostrza. Kotyjczyk znieruchomiał na podłodze.

Conan przeszedł do końca stołu i chwycił ostatniego z uciekinierów za kostkę. Wyciągnął go z otworu w suficie i rąbnął po karku płazem miecza. Mężczyzna zwałił się bezwładnie na blat stołu.

W baraku zapanowała cisza. Zagląający przez wejście najemnicy uśmiechali się srodze i salutowali zwycięzcom. Hundolf i Conan popatrzyli na siebie - i razem wybuchnęli śmiechem. Odrzucili broń i oparli się o drewniane ściany, wstrząsani niepohamowanym rozbawieniem. Po chwili ruszyli ku sobie na chwiejnych nogach i objęli się na chwilę, poklepując po plecach.

- Jak w Koryntii! - westchnął Hundolf. - Pamiętasz twierdzę Yildar?

- Tak, razem z czterema eunuchami diuszesy! - rzucił gromkim głosem Conan

i zaśmiał się donośnie. - To była walka! - Po chwili otrząsnął się z rozbawienia. - Widzę, że nie zapomniałeś swoich szermierczych umiejętności!

- Pewnie, że nie, ale to dzięki twoim talentom zdobyliśmy posterunek. Widocznie nauczyłeś się niejednej nowej sztuczki.

Conan rzucił okiem ku wejściu, w którym chwilowo nie widać było najemników, po czym odwrócił się do Hundolfa z ponurym spojrzeniem.

- Wiedziałeś, że twoi hultaje spróbują zabić mnie przed bramą?

- Może. - Starszy mężczyzna utkwiał szczerze niewinne spojrzenie w oczach Cymmerianina i wzruszył ramionami. - Sądziłem, że zdołasz sam sobie poradzić.

Conan zmarszczył czoło z powątpiewaniem, po czym pokiwał głową.

- Pewnie by tak było.

Obydwaj mężczyźni znów wybuchnęli śmiechem. Hundolf wreszcie klepnął się w kolano i wstał.

- Lepiej dowiedzmy się, kto zwyciężył. - Wyszedł na zewnątrz i okrzyknął żołnierzy: - Idźcie po jeńców! Pamiętajcie, żeby odebrać im broń! Przeszukajcie fort, czy nie ma w nim porządných łupów lub ważnych dokumentów!

## WYRÓWNANIE RACHUNKÓW

Gdy Conan wychodził z baraku, zaczynał się ponury, zwiastujący chmurny dzień ranek. Słońce kryło się za zasłoną napęczniałych od deszczu obłoków. Cymmerianinowi aura dodawała otuchy, przypominała mu bowiem rodzinną północną krainę. Była to idealna pogoda na bitwę - stalowy świt.

Wszyscy próbujący ucieczki z obozu zostali schwytani lub zabici przez ludzi Hundolfa, czego efektem były zaścieraające ziemię trupy oraz grupa posępnych jeńców i rannych w głębi szalasu. Jeden z drewnianych baraków płonął. Podwładni Zenona walczyli jeszcze z kryjącymi się w namiotach niedobitkami Kotyjczyków, lecz wyglądało na to, że garnizon został pobity.

Jak na razie doskonale, pomyślał Conan. Jeżeli dwóm pozostałym oddziałom chociażby w połowie tak łatwo przyszło wykonanie wyznaczonych zadań, to królowi Strabonusowi zostały wyrwane zęby - przynajmniej na jakiś czas, w tej okolicy. Buntownikom raczej nie groził rychły odwet, a księżę Ivor powinien mieć powody do zadowolenia.

Gdy Conan przemierzał dziedziniec garnizonu, jego uwagę zwróciła otwarta furtka w miejscu, gdzie zabudowania przylegały do palisady. Cymmerianin ostrożnie zbliżył się do niej i wyjrzał na zewnątrz.

Z tej strony fortu teren opadał łagodnie w stronę wsi pełnej chat krytych strzechą. Wioska ciągnęła się wzdłuż brzegu mulistego strumienia, za którym znajdowały się pola uprawne i zalesione wzgórza, zielonoczarne na tle nisko nawisłych chmur.

Nie sposób było orzec, ilu ludzi zdołało wymknąć się furtką podczas walki o garnizon, lecz z jednej z bliżej stojących chat dobiegały przekleństwa i kobiece krzyki.

Conan wahał się tylko przez moment. Przypomniawszy sobie rozkaz, by trzymać się z dala od wioski - jeszcze jeden powód, aby jako oficer zszedł w dół sprawdzić, co się dzieje. Cymmerianin ruszył swobodnym biegiem po zboczu pod twierdzą. Między chatami wiodła droga z głębokimi koleinami. Gdy Cymmerianin dotarł do wioski, na jego obnażone czoło spadły pierwsze, nieśmiałe krople; niebo najwyraźniej zamierzało wywiązać się z obietnicy deszczu.

Okrążywszy ogrodzenie ze sztachet pierwszej z chat, Conan dostrzegł powód zamieszania. Dwaj mężczyźni w nie dopasowanych strojach najemników szarpali się

z wieśniaczką. Drobną, bosą dziewczyną miała na sobie tkaną spódnicę i podartą koszulę. Gdy Conan podchodził bliżej, niższy i silniej umięśniony z napastników wyrwał kobiecie z rąk bezkształtne zawiniątko. Gdy cisnął je na ziemię, z chust wytoczyło się płaczące niemowlę. Leżąc w trawie, bezradnie przebierało nóżkami i płakało wniebogłosy.

Drugi najemnik, zwalisty łotr, wykręcał na plecy ręce daremnie wierzgającej nogami i szarpiącej się kobiety. Na jego przypominającej księżyc twarzy malowało się odrażające zadowolenie z siebie. Conan rozpoznał w nim głupkowatego Lalla.

Krępy napastnik był odwrócony plecami, lecz Cymmerianin bez trudu domyślił się, kogo ma przed sobą.

- Hej, Stengar, co się dzieje? Dzieciak jest za mały dla ciebie?

Najemnik z obwisłym brzuszyskiem odwrócił się i utkwiał w Cymmerianinie zdumione spojrzenie. Po chwili wznosił brew w udawanym podziwieniu.

- Proszę, toż to porucznik Conan, bohater dnia! - zasalutował uniesieniem do piersi rozpostartej płasko dłoni. - Cóż powiesz, dostojny barbarzyńco? Masz ochotę dzielić z nami bitewne łupy? - Przesunął w jednoznacznie lubieżny sposób dłonią po ciele wieśniaczki. - Jeżeli tak, zmykaj stąd i znajdź sobie inną dziewczkę!

- Zabroniono wam wstępu do wioski, Stengar.

Conan zatrzymał się trzy kroki od najemnika i poprawił lewą dłonią miecz w pochwie.

- Naprawdę? - rzucił z udanym zdumieniem mężczyzna i wyszczerzył psujące się zęby w złowrogim uśmiechu. - W takim razie zmieniam ten rozkaz. Ostatecznie mam równą ci rangę.

- Ale nierówną Hundolfowi. - Conan potrząsnął głową z irytacją i zniecierpliwieniem.

- Księżciu również nie spodobałaby się napaść na jego poddanych - wiemy o tym obydwaj. - Cymmerianin znacząco zważył w dłoni topór. - Obaj wiemy też doskonale, kto chciał mi rano przy bramie rozwalić głowę maczugą.

Skinieniem wskazał zwisającą przy pasie opinającym wydatny brzuch najemnika, nabijaną ćwiekami broń. Stengar odpowiedział mu nieprzeniknionym spojrzeniem. Nagle zdumiewająco szybko jak na takiego tłusciocha wyciągnął równocześnie zza pasa miecz i maczugę.

- A więc walka! - Najemnik przybrał bojową postawę, wyciągnawszy przed siebie krótką czworograniastą pałkę tak, by zastępowała tarczę. - Sam tego chciałeś, barbarzyńco!

Conan rozporządzał podobnym uzbrojeniem. Przełożył topór do lewej ręki, zakręcił dwukrotnie mieczem nad głową, ryknął i ruszył do ataku.

Stengar wykonał unik i cofnął się, najwyraźniej przestraszony furią ataku



Cymmerianina. Był zmuszony cofać się za każdym ciosem. Gdy przyjmował impet uderzeń miecza na maczugę, jego ramię drgało jak oparzone. Jego miecz nie był w stanie rozerwać tkanej przez barbarzyńcę pajęczyny śmiertelnej stali.

Po paru chwilach Conan rąbnął ostrzem miecza w pancerz Stengara. Tłuszcioch skrzywił się z bólu.

- Na pomoc, Lallo! - krzyknął.

Zwalisty drwal znajdował się dość daleko od walczących. Nadal unieruchamiał ramiona dziewczyny i z półotwartymi ustami, z prostackim oszołomieniem przyglądał się pojedynkowi. Na krzyk towarzysza odepchnął wieśniaczkę od siebie i ruszył kołyszącym się krokiem w stronę Conana. Kobieta tymczasem poderwała z ziemi niemowlę; dziecko osłabło już na tyle, iż tylko cicho kwiliło.

Gdy młody osilek starał się wyciągnąć broń z za pasa, zdarzyło się coś niespodziewanego. W powietrzu pojawiła się rozmazana idealnie prosta linia, biegnąca równolegle nad ziemią. Urywała się w miejscu przecięcia z piersią Lalla.

Była to włócznia. Gdy dosięgła celu, z rozdziawionych ust osiłka dobyło się urywane rżenie. Drzewce przez chwilę wibrowało przed oczyma drwala, po czym jego koniec powoli opuścił się ku ziemi. Po twarzy konającego najemnika przebiegały grymasy bólu. Ciało Lalla przez chwilę wspierało się na włóczni, po czym osunęło się na bok i znieruchomiło.

- Na Croma!

Ciągle sprężony, obracający się na ugiętych kolanach za Stengarem Conan rzucił okiem za siebie i dojrzał dumną jak lwica Drusandrę w wypolerowanej zbroi żółtej barwy. Najemniczka zginała i masowała ramię, najwyraźniej nadwerżone po rzucie włócznią. U jej boku stała ciemnowłosa Ariel z wyciągniętym mieczem.

- Tak ginie każdy, kto dręczy kobiety! - oznajmiła Drusandra i zawołała do Conana. - Pomóc ci z drugim?

Conan oderwał wzrok od Stengara tylko na chwilę, lecz nawet ta chwila niemal kosztowała go życie. Nie zdołał jeszcze wrócić spojrzeniem do przeciwnika i jedynie dziki, pierwotny instynkt sprawił, iż zastawił się toporem przed ciosem maczugi. Oręża walczących zderzyły się z łoskotem na szerokość dłoni od twarzy Cymmerianina. Nabijana okrutnymi kolcami broń wypadła najemnikowi z ręki i potoczyła się po zamieniającym się w błoto pyłe.

Stengar natychmiast podał tyły. Odwróciwszy się do Cymmerianina plecami, usiłował umknąć naddciągającej zagładzie. Conan ryknął z wściekłości i rzucił się w pościg.

- Trzy razy próbowałeś mnie zabić, Stengar, ale Mitra nie da ci następnej okazji! -

zawołał.

W ciągu paru chwil dopadł uciekającego przeciwnika. Ostrze miecza barbarzyńcy zakreśliło ledwie widzialny łuk i pogrzyżyło się w barku najemnika. Rozszczepiwszy zbroję i ciało, uwięzło dopiero w kręgosłupie. Stengar zwałił się ciężko na ziemię, pociągając za sobą tkwiący w piersi brzeszczot.

Conan musiał zaprzeć się stopą o trupa, by wyciągnąć wklinowane między kręgi i łuski kolczugi ostrze. Broń wyślizgnęła się z metalicznym zgrzytem.

- Wspaniały cios, barbarzyńco! Wręcz wyjątkowy! - stwierdziła gardłowym, pełnym uznania głosem Drusandra, podchodząc z tyłu do Conana. - Dowodzi, że krzepkie ramię jest w czasie walki niemal równie użyteczne jak szermiercze wyszkolenie.

Zatrzymała się w swobodnej pozie parę kroków od Cymmerianina, wycierającego skrwawione ostrze w nogawkę spodni trupa. Milcząca Ariel pomagała tymczasem wieśniaczce z niemowlęciem wrócić do chaty. Otoczona ramieniem odzianej w skórzany kaftan wojowniczką dziewczyna gaworzyła z dziećciem i przyciskała je do jednej z pełnych piersi.

- Łaskawe słowa, pani kapitan. - Cymmerianin przeniósł spojrzenie na drugą z najemniczek, stojącą obok niego ze swobodnie opuszczonymi rękami. - Liczę jednak, iż nie nabierzesz zwyczaju zabijać ludzi moich czy Hundolfa.

- To zależy, poruczniku. - Drusandra uniosła blade brwi pod grzywę płowych włosów. - Czy pośród waszych ludzi jest wielu podobnych szubrawców?

- To bez znaczenia. - Conan rzucił jej rozdrażnione spojrzenie. - Jeżeli będzie trzeba zabić któregoś z nich, sam to zrobię.

- Mam tego naoczny dowód. - Wojowniczka przerzuciła włócznię przez ramię, gotując się do odejścia. - Muszę jednak stwierdzić, iż nie raczyłeś mi odpowiednio podziękować za uratowanie życia.

- Uratowanie życia? - Conan podniósł na nią wzrok z nie udawanym zdziwieniem. - Omal przez ciebie nie zginąłem!

Drusandra z irytacją potrząsnęła głową, lecz nic nie odpowiedziawszy zawróciła w stronę fortu. Ariel ruszyła za swoją przywódczynią. Raz tylko obejrzała się ostrożnie w stronę Conana, po czym obydwie kobiety zniknęły za furtką.

Conan patrzył przez moment z powątpiewaniem na dwa trupy, po czym zmełł w ustach przekleństwo. Obrzydliwa jątka, za którą można było srogo zapłacić, ale nie było na to rady, pomyślał. Miał przynajmniej świadka - i współniczkę.

## VI

### SREBRNY DESZCZ

Conan odwrócił się od martwych przeciwników i wszedł nieco głębiej pomiędzy chaty, rozglądając się za oznakami grabieży. Wyglądało na to, że łupieżcy nie zagościli we wsi. Domostwa z obrzuconego tynkiem kamienia były szczelnie pozamykane. Na opustoszałym placu w środku osady znajdowało się wygaszone, wspólne palenisko. W powietrzu unosiła się stęchła woń niedawnego deszczu; słychać było jeszcze plusk spadających kropli. Poza tym do uszu Cymmerianina dobiegało wyłącznie poszczekiwanie psów zza zatrzaśniętych drzwi. O tym, iż wioska jest zamieszкана, świadczyły jedynie twarze przerażonych chłopów, błyskawicznie chowające się za okiennicami.

Gdy Conan obejrzał się z dala na miejsce niedawnej jatki, dostrzegł pochylającego się nad trupem Stengara parobka w obszarpanym odzieniu: połatanych porciętach i workowatym, wyświechtanym serdaku. Bosonogi chłopak o splątanych, brudnych włosach próbował wyciągnąć miecz spod zbrozonego krwią nieboszczyka.

Cymmerianin już miał przepędzić go krzykiem, lecz się zreflektował. Niech łapersdak zabierze sobie broń, pomyślał; być może kiedyś zostanie wielkim wojownikiem.

Chłopak podniósł głowę. Conan pomyślał zrazu, iż wieśniak dosłyszał jego kroki, lecz młodzieniec wpatrywał się w niebo. Na ziemię spadały wielkie, zimne grudki - lecz nie były to krople.

Conan spojrzął pod nogi i zdał sobie sprawę, że to grad - bryłki lodu wielkości ziaren fasoli. Coraz więcej ostrych pocisków sypało się na jego kolczugę i bombardowało go po ciemieniu.

Cóż za kapryśna pogoda, pomyślał Cymmerianin i ruszył szybszym krokiem pod osłonę ciasno zbitego płotu. Sądząc po czerni nisko wiszących obłoków, zapowiadała się sroga, wyniszczająca zbiory nawałnica.

Grad stawał się coraz silniejszy. Conan wkrótce zerwał się do biegu. Sypiące się wokół niego z nieba bryłki lodu uderzały z łoskotem w ziemię i odbijały się od stratowanej trawy.

Nagle za jego plecami rozległ się przenikliwy krzyk. Barbarzyńca odwrócił się i ujrzał, że parobek zaciska na ramieniu dłoń, pod którą rozrastała się szkarłatna plama. Młodzieniec pościł bark i ze zgrozą utkwiał wzrok w strudze krwi. Po chwili porzucił miecz Stengara i zerwał się do ucieczki. Nim zdołał dotrzeć pod okap najbliższej chaty, zachwiał się,

jak gdyby trafiła weń wielka, niewidzialna pięść i osunął się na kolana.

Coraz silniejszy grad przywodził na myśl siekające ziemię srebrzyste bicze. Opuściwszy wzrok pod nogi Conan ujrzał, że spadające na wioskę bryły lodu przypominają doskonale naostrzone, okrutnie zakrzywione sztylety. Niektóre roztrzaskiwały się przy zderzeniu z ziemią, mieszając się z zaścielającymi ją śmieciami; inne wbijały się w grunt z impetem, który Conan wyczuwał bez trudu mimo grubych podeszew.

Bezlitosne uderzenia gradu powaliły wieśniaka na ziemię. Jego ciało pokrywały coraz liczniejsze szkarłatne plamy. Cymmerianin nie żywił złudzeń, że zdoła pomóc młodzieńcowi. Popędził przez odkryty teren, osłaniając głowę ostrzem topora. Ponieważ co chwila oglądał się za siebie, stwierdził, że spadający na wieś grad jest o wiele sroższy niż twarde jak kamienie grudki, trafiające w jego zbroję. Nad chatami zawisły czarne, splecione pasma burzowych chmur. Spadające z nieba lodowe sztylety sterczały ze ścian i dachówek. Z wnętrza zabudowań pod strzechami dobiegały stłumione okrzyki przerażenia i bólu.

W miarę, jak Conan oddalał się od wioski, grad był coraz łagodniejszy. Parę drobnych, zimnych ostrzy lodu utkwilo w jego obnażonych ramionach. Klnąc, wyciągnął je z ciała i cisnął precz. W głębi duszy nabierał coraz silniejszego, przyprawiającego o skurcz trzewi przekonania, że ma do czynienia z odrażającą, nie ludzką magią.

Barbarzyńca gnał przed siebie w odbierającej rozum i wzrok mieszaninie wściekłości i paniki, aż zdał sobie sprawę, że znalazł się poza zasięgiem lodowych pocisków. Z nieba padał wyłącznie łagodny deszcz. Conan zorientował się, że dobiegł do pasa splantowanej ziemi przed ogrodzeniem fortu. Nad jego szczytem ujrzał rząd twarzy najemników; spora ich grupa wyległa też przed furtką. Żołnierze spoglądali na Cymmerianina z wstydliwą fascynacją, lecz natychmiast przenosili wzrok z powrotem na wioskę, nadal objętą opętańczym hałaśliwym gradobiciem.

Z boku furtki na zewnątrz fortu barbarzyńca zobaczył zaprzężony w dwa potulne osły wóz Agohotha. Czarnoksiężnik stał obok pojazdu u szczytu wzniesienia i ze skupieniem wpatrywał się w niezwykle przyrząd, miotający na nisko wiszące chmury strugi niesamowitego światła.

Conan ruszył ku Agohothowi, zaczynając rozumieć, jaka była przyczyna nawałnicy. Wzbierała w nim furia równie zimna, jak sypiący się na wioskę grad. Spozrzegł, że Kitajczyk posługujący się w istocie dwoma przedmiotami: drewnianym, ozdobionym rzeźbami w kształcie skrzydeł i łap gryfa stelażem do zwojów, z którego zwisał poóółkły pergamin, oraz innym o wiele osobliwszym urządzeniem.

Aparat przypominał nieco stelaż na pergamin, lecz służył do utrzymywania

w dowolnej pozycji dysku wykonanego z kryształu lub jakiegoś srebrzystego metalu; ze względu na rzucaną przez niego niezwykłą poświatę trudno było to stwierdzić jednoznacznie. Ustawiony skośnie dysk zdawał się zbierać światło z niebios i rzutować je w postaci skupionej wiązki w wiszące nad wioską nabrzmiące chmury. Snop skupionego blasku rozpraszał się nieco na przecinających go kropelkach deszczu. Conan spostrzegł, iż skwierczały one jak na rozpalonej patelni, lecz spadały na ziemię jako grudki lodu.

Za magicznym aparatem stał niewydarzony młodzieniec, wpatrując się w pergamin na stelażu i mamrocząc z wysiłkiem słowa w nieznanym Cymmerianinowi języku. Od czasu do czasu pochylał się i obracał gałkami po obu stronach tarczy, jak gdyby wymagały stałego dokręcania. Poza tym nie widać było, by młodzieniec wykonywał jakiegokolwiek magiczne ruchy dłońmi.

Conan zatrzymał się przed Agohothem i szczęknął toporem o swoją kolczugę, by zwrócić na siebie uwagę maga. Młodzieniec podniósł wzrok z rozdrażnieniem.

- Przywołujesz grad, prawda? - wycodził Cymmerianin przez zaciśnięte zęby.

- Owszem - odparł Agohoth. Niemal nie zwracając uwagi na stojącego tuż przed nim zwalistego, zbrukanego krwią barbarzyńcę, czarnoksiężnik wrócił do gmerania przy swym aparacie, mrużąc w powietrze: - Zdumiewający wynik... Nigdy nie widziałem tak dobrych warunków...

- Niszczysz wioskę! -przerwał mu Conan.

- Nieważne. - Agohoth niedbale machnął dłonią. - Pozwolono mi... dokonać na niej próby.

- Doskonale! Popróbuj tego!

Conan wznosił wysoko okrwawiony topór i cisnął go w srebrzysty dysk. Ostrze trafiło w cel z niemelodyjnym szczękiem, zdającym się rezonować także w innych niż ziemskie wymiarach. Siła ciosu rozszczepiła drewniany stelaż. Dysk pękł z błyskiem, który zmroził twarze przyglądających się temu ludzi. Gdy odzyskali zdolność widzenia, po niezwykłym, srebrzystym kręgu nie pozostało ani śladu. Na ziemi leżało jedynie kilkanaście kanciastych kawałków metalu, które były kiedyś hartowanym stalowym ostrzem.

- Moje tranalium! - Agohoth spojrział znad zniszczonego aparatu na Conana, a w jego spojrzeniu malowało się oszołomienie i gniew. - Jak śmiałeś!!! - wydusił.

- Chcesz się dowiedzieć, na co jeszcze mogę się odważyć?! - rzucił Conan, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

- I tak pozwoliłeś sobie na zbyt wiele - rozległ się blisko jego uszu głos Hundolfa. Kapitan najemników zasłonił barbarzyńcę masywnym ramieniem. - Oszczędź go, dostojny

magu, proszę! - W głosie zahartowanego wojaka zabrzmiała niezwykła dla niego nuta szacunku i układowości. - To jeden z moich najlepszych ludzi. Potęga twoich czarów przyprawiła go o pomieszanie zmysłów!

Agohoth utkwiał w Conanie podejrzliwy wzrok. Hundolf na siłę odepchnął barbarzyńcę do tyłu. Tymczasem młody adept czarno- księstwa potrząsnął z rozczarowaniem głową i zaczął nawijać pergamin na stelaż.

Hundolf wcisnął rękę pod łokieć Cymmerianina i pociągnął go za sobą w rzednący tłumek najemników. Żołnierze przechodzili przez furtkę, by skryć się przed deszczem pod wystającym skrajem palisady - i aby zejść z oczu czarnoksiężnikowi.

- Musisz nauczyć się szacunku dla władzy, inaczej nie masz czego szukać wśród najemników - łajał Hundolf swego podwładnego, waląc gniewnie zaciśniętą dłońią w pancerz na jego piersiach. - Wiem, że to było obrzydliwe widowisko, ale musisz panować nad sobą. Inaczej narazisz się nie tylko Agohothowi, ale i księciu - rzucił zniżonym do basowego pomruku głosem.

- Zaklęcia Kitajczyka nie były nam do niczego potrzebne. - Conan pokręcił buntowniczo głową. - Czarnoksiężnik musiał postradać zdrowy rozum. Ivor pragnie przecież, by lud garnął się do niego. - Skrzyżował ramiona na piersi. - Chyba nie chciałby, żeby jego zwolennicy zostali posiekani na kawałki i żeby ktoś mu zrobił pasztet z przyszłej gwardii!

- Kto wie? - Hundolf wzruszył ramionami. - Wieśniacy zaopatrywali fort i kumali się ze zwolennikami króla. Może ksiązę chciał dać im nauczki. - Machnął ze zniecierpliwieniem ręką. - Nie mamy żadnego wpływu na takie decyzje. Nie wolno ich kwestionować ani tobie, ani nawet mnie. Masz panować nad sobą, rozumiesz? Lepiej przestańmy już o tym mówić.

Łajaniu Conana z wyraźną satysfakcją przyglądał się stojący z boku Zeno. Na jego pokrytej kroplami deszczu, okolonej mokrymi pasmami krótkich włosów twarzy malowała się złośliwa uciecha. Odczekawszy chwilę dla zaznaczenia szacunku dla dowódcy, zasalutował Hundolfowi i podszedł bliżej.

- Panie, wzięliśmy stu dwudziestu czterech jeńców. Pozostali żołnierze króla zginęli lub uciekli. Nasze straty wynoszą dwudziestu dwóch rannych i ośmiu zabitych.

- Dodaj dwóch do tej ostatniej liczby - wtrącił się Conan. - Natknąłem się na Stengara i Lalla. Wbrew rozkazom poniosło ich do wioski... i tam już zostali.

Zeno rzucił Cymmerianinowi podejrzliwe spojrzenie. Hundolf popatrzył na nich obu spod oka.

- Na pewno obydwaj zginęli do gradu Agohotha - powiedział spieszenie. - Zeno, wyślij sześciu ludzi po ciała. Ostrzeż ich przed groźbą zemsty wieśniaków - o ile jacyś zostali przy

życiu.

Zeno długo zwlekał z odejściem, lecz w końcu ruszył wypełnić rozkazy.

- Jeżeli chodzi o Lalla i Stengara... - odezwał się Conan.

- Wystarczy! - przerwał mu nieznacznie podniesionym głosem Hundolf. - Wyobrażam sobie, co się stało, a szczegółów nie muszę i nie chcę znać. Ich śmierć usprawiedliwi twoje zachowanie wobec Agohotha w oczach reszty najemników. - Kapitan obrzucił Cymmerianina surowym spojrzeniem. - Conanie, mimo wszystko dzisiejsze zwycięstwo zawdzięczamy twojej inicjatywie, dlatego też oświadczam, iż na stałe awansuję cię do rangi porucznika. - Potrząsnął z zadumą głową. - Wcale mi tego nie ułatwiasz. Od tej pory masz trzymać się od czarnoksiężnika z daleka.

- Dzięki, stary druhu. - Conan skinął głową i położył Hundolfowi dłoń na ramieniu. - Zapamiętaj jednak moje słowa: mimo wszystko uważam, że najlepiej byłoby zaszlachtować tego kitajskiego zaklinacza.

## VII

### SWAWOLE

Tego dnia wielka, strzelista sala rad tantuzjańskiego pałacu, zwykle pusta i ponura, była odświętnie ustrojona. Wypełniali ją szlachcice i oficerowie w eleganckich, przybranych błyszczącymi ozdobami strojach i futrach, rozpierający się na wykładanych poduchami otomanach i zbierający w ciasne grupki, by plotkować o sprawach państwowej wagi. Niektórzy spacerowali po pałacowym holu i werandzie za łukowato sklepionym głównym wejściem.

Największa, najwspanialsza grupa zebrała się przy schodach prowadzących na znajdujący się w głębi komnaty rad podest. W jej środku znajdował się książę Ivor, odziany w przybraną koronkami koszulę i szarą pelerynę. Władca zabawiał dworną konwersacją gorliwie słuchających go poddanych. Na tę okazję książę zmniejszył liczebność swej zbrojnej asysty do dwóch gwardzistów o surowych, podejrzliwych twarzach czujnie pełniących wartę za jego plecami.

Długie stoły na środku komnaty ugięły się od złotych półmisek z niezliczonymi potrawami i platynowych dzbanów z trunkami, szczerze rozlewanych przez posługaczy i dziewczki służebne w egzotycznych strojach. Gdy w porze zmierzchu wpadający przez wysokie okna blask przygasł, służący rozstawili pod ścianami masywne kandelabry. Kręgi światła wetkniętych w nie świec stanowiły wyspy jasności w ogarniającym komnatę mroku.

Conan odwrócił się od jednego ze stołów, odprowadzany powłóczyстым spojrzeniem dziewczki służebnej w skąpym stroju z pasiastego muślinu. Upiwszy nieco wina z napełnionego przez służącą po sam brzeg kielicha, Cymmerianin ruszył między gości. Miał na sobie starannie wyczyszczony skórzany kilt i pożyczoną od Hundolfa czerwoną jedwabną koszulę. Chociaż była wystarczająco szeroka w ramionach, okazała się za krótka; odsłaniała na szerokość dłoni pokryty węzłastymi mięśniami brzuch nad pasem ze sztyletem.

Zanim Cymmerianin zdążył dotrzeć na drugą stronę komnaty, osuszył złoty puchar niemal do dna. Conan dołączył do swojego kapitana, stojącego pod ścianą w cieniu galerii.

- Na Croma, gdyby Ivor rzeczywiście chciał nam zapłacić, wystarczyłoby mu przetopić zebrane tu sztuce i naczynia! - stwierdził barbarzyńca niewyraźnym od trunku głosem.

- Nie liczyłbym na to. - Hundolf zmrużył oczy i rozejrzał się na boki, czy ktoś nie dosłyszał prowokującej uwagi. - Każdy książę musi pokazywać swój przepych. Gdyby pozbył



się tych wszystkich błyskotek, wywarłby na nas o wiele mniejsze wrażenie. - Mrugnął porozumiewawczo do Conana. - Pilnuj, by nic nie przy- lepiło ci się do palców; książęcy strażnicy będą przyglądać się nam przy wyjściu.

W tym momencie w komnacie rozległ się donośny głos człowieka, o którym rozmawiali. Obydwaj odwrócili się i ujrzeni, że Ivor stoi wraz z Bragiem, Drusandrą i Vilezją w kręgu gości.

- Dzięki tak śmiałym czynom tworzy się królestwa. Wasze zwycięstwa wielce przyczyniły się do zapewnienia bezpieczeństwa w naszej prowincji i są zachętą do jeszcze śmielszych posunięć - przemawiał książę, obszernie gestykułując dłonią z kielichem. Wzniósł głowę, powiódł dumnym wzrokiem po komnacie i kontynuował: - Gdzie podział się najlepszy ze służących mi kapitanów-ten, któremu szczęście sprzyja najbardziej? Ach, tam, jesteś, Hundolfie! Podejdźcie do mnie! - Ivor skinął dłonią. Twarze gości zwróciły się w stronę dowódcy najemników i jego podwładnego. - Wiedźcie, iż dzisiejszą ucztę wydałem na cześć zwycięstw w ostatnich dniach, zwłaszcza waszego! - Conan ruszył za swoim dowódcą pomiędzy wpatrzonymi w nich gośćmi. Zatrzymał się za Hundolfem, gdy książę złożył wyciągniętą dłoń kapitanowi na ramieniu. - W dniu błyskotliwych triumfów twój był najbardziej znaczący. Wznoszę toast na twoją cześć, kapitanie. Jesteś wcieleniem hartu ducha zwolenników naszej sprawy!

Skończywszy przemowę, Ivor uniósł puchar w stronę słuchaczy, zbierając rzadkie brawa.

- Dziękuję ci, książę - wymamrotał Hundolf. - Oczywiście nie mogę sobie przypisać wszystkich zasług.

- Ach, kapitanie, dajesz dowód skromności! To urzekające! - Ivor opuścił rękę i dodał: - W takim razie dobrze służy ci zdolność dobierania właściwych podwładnych, takich jak towarzyszący ci porucznik. Jego imię brzmi Conan, prawda? O ile mi wiadomo, poprowadził czoło wojska do natarcia.

Conan przytaknął bez słowa. Po chwili niezręcznego milczenia Hundolf pospieszył z uprzejmym wyjaśnieniem:

- To również on zaplanował atak, książę.

- Istotnie? - Ivor skinął łaskawie Conanowi głową. - Twój plan został uwieńczony szybkim i tanio okupionym zwycięstwem, niewątpliwie w dużej mierze właśnie dzięki tobie. - Utkwił w milczącym Cymmerianinie bardziej surowe spojrzenie. - Jaka szkoda, że radość z triumfu zakłóciła godna pożałowania awantura z moim magicznym doradcą ze Wschodu! - Książę rozejrzał się szybko po komnacie. - Przy okazji, gdzie jest Agohoth?

- Panie, przekazał, że nie może uczestniczyć w dzisiejszej uczcie, ponieważ musi dokonać wyjątkowo ważnego czytania w gwiazdach - szepnął księciu do ucha ochryłym głosem jeden ze strażników przybocznych.

- Aha. - Ivor pokręcił z dyskretnym niezadowoleniem głową. - W każdym razie liczę, że w przyszłości zdołamy uniknąć tak fatalnych sporów co do stosowanych metod walki. - Ponownie utkwiał spojrzenie w Cymmerianinie. - Liczę, że zgadzasz się ze mną?

- Czarnoksiężnik dopuścił się masakry niewinnych wieśniaków - stwierdził Conan. - Takie postępowanie nam szkodzi, dla- tego położyłem mu kres.

- Jak pewnie wiesz, książę, w wiosce zginęło również dwóch naszych ludzi - pospieszył dodać Hundolf gorliwym tonem, by odwrócić uwagę możnowładcy od słów Cymmerianina. - Zaważyło to istotnie na stanie ducha porucznika Conana w tamtej chwili.

Mimo starań kapitana, by pokryć niezręczność uwagi swojego podwładnego, część przysłuchujących się tej dyskusji rycerzy i dam dworu poczęła szemrać nerwowo, skonsternowana śmiałym i pozbawionym szacunku dla szlacheckiej rangi tonem barbarzyńcy. Straż księcia przyglądała się temu ze zmrużonymi oczyma. Ivor skupił wzrok - za sprawą trunku nieco niepewnie - na twarzy Cymmerianina.

- Niewątpliwie, kapitanie, lecz dowiedziałem się ze swoich źródeł, iż na ciałach dwóch żołnierzy znaleziono ślady całkiem odmienne, niż pozostawione na wieśniakach przez... zdumiewające zaklęcie Agohotha. - Wzrok Ivora powędrował do pasa Conana, gdzie pod nieobecność miecza wisiał wypolerowany sztylet, sięgający niemal do zbrązowiałego od słońca kolana. - Możliwe więc, iż za ich śmierć odpowiadają nie czary, lecz na przykład uciekający Kotyjczycy lub nawet niektórzy z „niewinnych wieśniaków”, których tak gorliwie bronisz, poruczniku.

Conan popatrzył arystokracie prosto w oczy.

- Ponieważ odwołujesz się do poparcia zwykłego ludu, mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę, iż nic nie wprawia go w większą trwogę niż czarna magia. - Cymmerianin potrząsnął głową z odrazą. - Skierowanie przeciw prostym ludziom zaklinacza o gadzim sercu, pozwolenie mu na siekanie nieszczęśników na plasterki wydaje mi się szczytem szaleństwa. - Ponownie popatrzył księciu prosto w oczy. - Czy naprawdę jesteś głupcem?

Ze strony słuchaczy rozległo się zbiorowe westchnienie niedowierzania. Nawet Hundolf zdawał się przekonany, iż nadszedł kres słownej potyczki: dłoń kapitana powędrowała do rękojeści sztyletu. Książę jednakże rozpostarł ręce na boki, jak gdyby chciał powstrzymać swoją zbrojną asystę przed zaatakowaniem Cymmerianina. Nie okazując śladu gniewu, obdarzył Conana zjadliwym uśmiechem.

- Nasze pojęcia o polityce zapewne się różnią, poruczniku - rzekł, niemal niezauważalnie wzruszając ramionami - mało się tym przejmuję. Odpowiem jednak na twoje pytanie. - Powiódł beztroskim wzrokiem po zebranych gościach, jak gdyby chciał okazać, że nic nie jest w stanie wytrącić go z równowagi. Jego emocje zdradzało jedynie wyraźne pulsowanie żyły na skroni pod niesfornym kosmykiem włosów. - Agoth otrzymał polecenie wypróbowania swej magicznej broni. Tak czyni się z każdym nieznanym orężem. Nie zyskałbym pewności jego niezwykłej potęgi, gdybym jej nie wypróbował - i to tak małym kosztem. - Wyciągnął przed siebie rękę, jak gdyby ważył miecz w dłoni, - Co więcej, broń jest bezwartościowa, jeżeli jej posiadacz nie udowodni jednoznacznie, że jest gotów jej użyć. Mogłem rozkazać Agothowi wykorzystać ją do błyskawicznego i całkowitego unicestwienia kotyjskiego garnizonu, zamiast polegać na twoich wysiłkach, poruczniku. - W głosie księcia zaczynał pojawiać się gniew. - Dzięki temu nie naraziłbym się na zniszczenie mojego tajemnego oręża! - Ivor zamilkł, zapewne czując, iż wzburzenie zdziera z niego maskę dworskiej układności. Po długiej chwili całkowitej ciszy arystokrata dokończył zwięźle: - W przyszłości nie zawaham się skorzystać z usług nekromanty za każdym razem, gdy okaże się to niezbędne. Spodziewam się, że każdy, kto nie chce stać się jego ofiarą, będzie schodzić mu z drogi.

Po tych słowach książę odwrócił się na pięcie i płynnie odszedł kilka kroków, dając jasno do zrozumienia, że chce zmienić rozmówcę. Jego strażnicy obrzucili Conana raz jeszcze złowieszczymi spojrzeniami i ruszyli za swym panem.

Popularność dowódców najemników nagle spadła. Zebrali się w kącie i wszczęli nieskładną, pełną konsternacji dyskusję o postępkach Cymmerianina. Zataczający się od wina Vilezza stanął u boku barbarzyńcy i przytrzymał się jego ramienia.

- Dobrze powiedziane, Cymmerianinie! Ze śmierzącym czarownikiem były same kłopoty od chwili, gdy wjechał na ośle do Tantuzjum. Powinniśmy dorwać go przed następną bitwą i... uuf!

Jego hałaśliwą, nie kontrolowaną tyradę przerwało rąbnięcie w plecy przez Hundolfa.

- Dobrze powiedziane, nie powiem, Conanie! - burknął stary wojak; jego czoło pokrywała cienka warstewka potu. - Nie lubię walczyć w tłumie.

- Słowa Ivora to prawie otwarta groźba pod naszym adresem - odezwała się ostrożnie Drusandra. - Walczyliśmy dla niego dzielnie, a on nie tylko nam nie zapłacił, ale też próbował omamić nas zaproszeniem na ucztę. Teraz zapowiada się, że wolałby pozbyć się nas na rzecz nowej czarodziejskiej zabawki.

- Moce wysyłanych do Turanu kitajskich czarnoksiężników, szkolonych przez

tamtejszą gildię, to nie zabawki. Krążą o nich okropne opowieści - stwierdził starannie zniżonym głosem Aki Wadsai. Jego oczy zabłyśły na tle ciemnego oblicza. - O ile gwiazdy sprzyjają takiemu człowiekowi, może w pojedynkę pokonać całą armię!

- Jasne, że będziemy musieli się zabezpieczyć - włączył się do rozmowy Brago. - Tu jednak nie miejsce, by o tym dyskutować. Może jutro wieczorem w moim pawilonie?

Grupka najemników stopniowo rozproszyła się. Nieprzyjemny incydent zmroził pozostałych gości; skończyła się okazywana wcześniej żołnierzom kordialność. Wyjątek stanowiła nadal otaczana przez wielu mężczyzn Drusandra, która traktowała ich jednak w sposób co najmniej chłodny.

Jadło i napitki okazały się wszakże wystarczającą zachętą do pozostania na ucztach. Później przyszedł czas na rozrywkę, włącznie z występem trupy tancerzy na werandzie. Jej solistka o pełnych biodrach, odziana - o ile można było dostrzec - wyłącznie w przejryste woale, kołysała się i płaśała w rytm bicia w bębny oraz dzwonienia cymbałów wśród podskakujących i wyrzucających wysoko nogi zuagirskich wojowników w przystrojonych piórami turbanach.

Podczas przerwy w tańcach Hundolf nachylił się ku Conanowi i wyszeptał mu do ucha:

- Jeżeli mam czekać beczynn timer, aż jakiś szubrawiec wbije mi nóż w plecy, wolę, by spotkało mnie to wśród najemników. Wychodzę, by dołączyć do ich zabawy na targowisku. Radzę ci zrobić to samo.

## VIII

### SPISKOWCY

Hundolf ruszył zdecydowanie przez ciżbę świętujących na dziedzińcu, ciągnąc swojego porucznika za sobą. Oszołomiony trunkami Cymmerianin nie stawiał oporu i biernie ruszył za swoim dowódcą.

Powiadomiwszy zwięźle majordomusa księcia o odejściu, Hundolf i Conan oderwali się od tłumu i skierowali w stronę rzędu przywiązanych w ciemnościach w głębi podwórca wierzchowców. Gdy jednak mijali niskie schody z boku werandy, z cienia bocznego wejścia do pałacu wyłoniła się mroczna postać. Nieznajomy ruszył wprost na Conana tak szybko, iż Hundolf zaklął i opuścił błyskawicznie dłoń na rękojeść miecza.

Cymmerianin w pierwszej chwili znieruchomiał, lecz zaraz potem roześmiał się serdecznie. Była to niewiasta w eleganckiej szacie - jedna ze szlachcianek, stanowiących ozdobę wieczornej uczy. Jej włosy były upięte wysoko na głowie lśniącem grzebieniem, miała na sobie opinającą bujne kształty suknię z czerwonego atłasu i chroniący przed nocnym chłodem szkarłatny szal, zarzucony na odkryte ramiona. Mrok zdawał się gęstnieć w jej oczach, w których ledwie można było dojrzeć odbłyśki blasku pochodni. Ubarwione jagodami wargi nieznajomej układały się w wyraz oszołomienia i zmysłowego podniecenia.

- Jak myślałam! - Kobieta zatoczyła się w stronę Cymmerianina i przyłgnęła do niego jak wodorost do nadbrzeżnej skały. - Oto młody żołnierz Conan, z którym już miałam przyjemność zamienić kilka słów! Zatrzymaj się na chwilę, łaskawy panie! - Uniosła w zachwycający sposób brwi. - Chyba nie chcesz nas już opuścić? Noc jest jeszcze młoda...

Hundolf odprężył się, zapewne dlatego, że dziewczyna nie miała w rękach broni. Dostrzegł to bez trudu, szlachcianka bowiem zaczęła obydwoma dłońmi gładzić ramiona Cymmerianina, jej skąpy strój zaś praktycznie uniemożliwiał ukrycie jakichkolwiek śmiercionośnych narzędzi. Natarczywość dziewczyny rozbawiła i nieco onieśmieliła Conana.

- Cieszę się, że pamiętasz naszą rozmowę, Eulalio. - Pozwolił się objąć szlachciance w poufały sposób. - Właśnie wychodziłem z moim kapitanem. Masz jakieś inne propozycje?

- Och, Conanie, myślę, że twoje opowieści są fascynujące. Miałam nadzieję, że znajdziemy czas na dłuższą dyskusję w jakimś cichym, odosobnionym miejscu... Może w mojej komnacie?... Znajduje się na szczycie tych właśnie schodów.

Nie spuszczać z niego wzroku i nadal go obejmując, energicznym skinieniem głowy wskazała czarny otwór drzwi, z którego się przed momentem wyłoniła.

- Hundolfie, pewnie zdołasz bezpiecznie wrócić do obozu żołnierzy? Chyba powinienem zostać... ?

Kapitan chwycił Cymmerianina za ramię i na poły odprowadził go, na poły odciągnął dwa kroki od kusicielki.

- Wybacz nam, pani, lecz muszę porozmawiać z tym młodym oficerem. - Odprowadził Conana jeszcze kilka kroków, stanowczym ruchem schylił jego głowę do swojej i wyszeptał mu do ucha: - Słuchaj, prostaczku, nie o siebie się troskam! Nie wątpię, że zdołam bez kłopotów wyjść z miasta, ale ty naraziłeś się ważnemu arystokracie! - O wzburzeniu Hundolfa świadczyła siła, z jaką zaciskał dłoń na barku swojego podwładnego. - Wyobrażasz sobie, że możesz zaszyć się na noc w pałacu i uwieść jedną z jego nadwornych ładacznic? Choćby to nie była zasadzka, i to obliczona na wyjątkowego matołka, i tak podjąłbyś szaleńcze ryzyko. Lepiej idźmy stąd natychmiast!

Twarz Conana przybrała hardy wyraz. Mimo ciemności widać było, że jest mniej pijany, niż się wydawało. Wyprostował się i strącił z ramienia dłoń starszego mężczyzny.

- Hundolfie, nie wątpię, że poradzę sobie z wszelkimi trudnościami, jakie mogłyby mnie spotkać - stwierdził zniżonym, pełnym godności tonem, starannie dobierając słowa, trochę tylko płacząc się pod wpływem trunku. - Rozmawiałem z tą damą dłuższy czas i uważam, że jest... interesująca, dlatego też zdecydowałem się zostać. - Złożył ramiona na opiętej jedwabną koszulą piersi. - Jeżeli jako dowódca rozkażesz mi pójść z sobą, postawisz mnie przed koniecznością wyboru, kogo mam usłuchać.

Cymmerianin znieruchomiał. Oświetlony pochodniami w pół tuzinie kinkietów przy werandzie, sprawiał wrażenie skały. Gdzieś z głębi pałacu dobiegły ich głośniejsze przez chwilę dźwięki muzyki.

- Nazywajcie mnie ogryzającym paluchy matołkiem, skoro wpadło mi do głowy dyskutować z twardogłowym, pijanym, zadurzonym barbarzyńcą! - westchnął z rozpaczą Hundolf. - Doskonale, zostań tutaj! - Odszedł parę kroków, po czym zatrzymał się i wznosił palec w pouczającym geście. - Pamiętaj, że nie masz po co biec do mnie z prośbą o pomoc. Nie zamierzam pić piwa, którego sobie nawarzysz! - Ruszył dalej, lecz po paru krokach raz jeszcze obrzucił Cymmerianina surowym spojrzeniem. - Masz być w obozie przed pierwszym graniem trąbek, jeżeli chcesz utrzymać dowództwo. Pamiętaj o ostrożności!

Krępy kapitan zniknął w ciemnościach. Po chwili o jego obecności świadczyło tylko parskanie uwiązanych koni. Conan odwrócił się w stronę Eulalii z dobrodusznym uśmiechem. Dziewczyna przystanąła w kuszącej pozie: jedną dłoń złożyła na biodrze, drugą skinęła na Cymmerianina. Gdy ruszył w jej stronę, cofnęła się ku wejściu, przyzywając go spojrzeniem

błyszczących oczu. W jej zachowaniu pojawiła się niepohamowana frywolność; mimo starań barbarzyńcy, stale wymykała mu się z zasięgu rąk.

Conan przyspieszył kroku i dogonił Eulalię w pogrążonym w ciemności wejściu. Jego ręka zacisnęła się na gładkiej tkaninie na biodrze dziewczyny. Drugą dłonią trafił na przyjemnie twardą krzywiznę biodra. Bez namysłu uniósł Eulalię nad ziemię i przycisnął do piersi.

Swoim uściskiem wycisnął dziewczynie powietrze z piersi; czuł jego ciepło na policzku. Dotknął jej ust swoimi wargami - miały smak wina. Westchnęła i wierząc się w jego ramionach i wsparła mu dłonie na piersiach - nie wiadomo, z pragnienia czy w próbie oporu. Conan nie zrozumiał jej gestu, nawet się nie starał. W jego piersi ognista namiętność rozpalala się jak bijący z kowalskiego pieca żar, podsycany jeszcze padającym na jego usta ciepłym, urywanym oddechem dziewczyny.

Nagle w uszach Cymmerianina zabrzmiał gardłowy, nieartykułowany krzyk. Czyjaś twarda pięść zdzieliła go w ramię. Błyskawicznie odepchnął dziewczynę od siebie i zamachnął się nie uzbrojoną ręką na ledwie widocznego napastnika. Przeciwnik wydawał się cieniem pośród ciemności, lecz Conan poczuł, że jego cios dosięgnął celu. Przez chwilę zakręciło mu się w głowie; zatoczył się pod wpływem zbyt wczesnej namiętności.

W ciemnym przedsionku rozległ się metaliczny szmer. W sposób tak wyćwiczony, że odbywało się to bez udziału woli, Conan dobył sztyletu. Dwa nieruchome cienie, oddzielały dwa szpice bladej stali.

- Nie, zaczekajcie! Nie bijcie się! - rozległ się wzburzony, niemal łkający głos Eulalii.  
- Randalf, schowaj miecz! Conanie, nie bój się. Mam tutaj lampkę.

Rozległo się stukanie krzesiwa. Zabłyły iskry, pojawił się chwiejny płomycek drżący bardziej, niż usprawiedliwiałaby to jego wątpliwość. Dziewczyna zapaliła knot oliwnej lampki. Postawiła ją na parapecie z boku wąskiego przedsionka. Prócz zamkniętego teraz wejścia znajdowało się w nim jeszcze dwoje drzwi. Pod jedną ze ścian znajdowały się nikielne w górę kamienne schody.

Zarumieniona, zdyszana dziewczyna w świeżo wygniecionej czerwonej szacie oparła się o parapet. Kilka pasem spiętrzonych włosów wymknęło się spod spinek; najdłuższy kasztanowy pukiel spływał miękko po bocznej stronie jej szyi. Dziewczyna bezskutecznie próbowała upiąć go z powrotem, spoglądając na przemian z lękiem na Randalfa i z rumieńcami na Conana.

- Przepraszam... Zachowałeś się zbyt porywczo... Nie miałam czasu wyjaśnić ci prawdziwego powodu naszego spotkania.

- Co to za szemrane interesy? - W chrapliwym głosie Cymmerianina pojawiła się niechęć. Nie opuszczał wyciągniętego sztyletu. -Nieraz kobiety ciągnęły mnie do nędznych dziur, w których czaili się ich mężczyźni, i wierz mi, dobrze na tym nie wychodziły! Nie spodziewałem się jednak podobnego postępowania w arystokratycznym pałacu!

Randalf zaklął i wznosił miecz, przed chwilą opuszczony na prośbę dziewczyny wzdłuż nogi.

- Powinienem był się spodziewać, że twoje zaloty okażą się nachalne i niezgrabne, najemniku! - stwierdził szlachcic drżącym z emocji, gardłowym głosem. - Masz przestać szkalować moją damę, inaczej wyrznię ci bluźnierczy język z gardła!

Eulalia zacisnęła dłoń na ramieniu swego towarzysza; wręcz uwiesiła się na nim, pragnąc powstrzymać go przed walką.

- Poczekaj, kochany! Oszukaliśmy go! - Obejrzała się na Conana i znów się zarumieniła. - Porucznik nie wiedział, że jestem twoją wybranką!

Conan przyjrzał się Randalfowi z wytężonym; złowrogim zainteresowaniem. Mężczyzna był starszy od Eulalii, może nawet od Conana. Zaczynał mu się tworzyć pokaźny brzuszek, sprawiał jednak wrażenie dobrze wyćwiczonego. Miał włosy przycięte w równą grzywkę nad czołem i wygolone na karku na modłę miejscowych posiadaczy ziemskich. Jego okrągła twarz była ogorzała od częstego przebywania na słońcu. Brązowy kaftan, spodnie i wypolerowane buty wyglądały na strój do konnej jazdy. Conan ocenił w myślach, że mężczyzna zachowuje się jak bogaty kasztelan.

- Skoro dama twojego serca ma ochotę flirtować z żołnierzami, niezbyt możesz sobie pozwolić na cnotę zazdrości - zwrócił się oschłym tonem do Randalfa.

Mężczyzna odpowiedział mu spojrzeniem pełnym niechęci i podejrzliwości, po czym bez słowa osłonił Eulalię ręką, w której wciąż dzierżył miecz.

- Wybacz mi, Conanie - powiedziała dziewczyna równym, poważnym głosem. - Chcieliśmy tylko wybadać, jak zapatrujesz się na pewne sprawy - rozejrzała się nerwowo po przedsionku i kontynuowała ciszej - natury politycznej, których nie opłaca się poruszać podczas publicznych zebrań. Zatajenie naszego spotkania, a przynajmniej zafałszowanie jego natury było koniecznością. Zamierzałam zagadnąć cię później, ale twoje szybkie wyjście zmusiło mnie do pośpiechu...

- A więc tylko udawałaś, że ci się podobam. - Conan nie dawał poznać po sobie, że dostrzegł rumieniec, który na nowo wypłynął na policzki Eulalii. - Chciałaś ukryć w ten sposób wasze intrygi. Dlaczego rozdzieliłaś mnie od Hundolfa? Jestem jego zastępcą; solidniejszego mężczyzny niż on jeszcze nie wykuto na kowadle Croma.



- Czy moglibyśmy mu jednak zaufać, Conanie? Sprawdziliśmy pogłoski o twoim starciu z arcydemonem Agohothem. - W głosie kobiety pojawiła się polityczna pasja. - Dziś wieczór wdałeś się w otwarty konflikt z Ivorem, czy jednak twój dowódca odważyłby się na to samo? Jak dalece popierałby cię w sporze z księciem? - mówiła z dumnie uniesioną głową, nadał obejmując Randalfa w pasie. W jej źrenicach połyskiwały iskierki gniewu. - Nie, boję się, że jak większość najemników, pan kapitan troszczy się wyłącznie o napchanie sobie kiesy przez usługi dla tego, kto zapłaci najwięcej.

- Hundolf przyznałby to otwarcie, ale mimo to jest porządnym człowiekiem. - Conan wcisnął aż nadto energicznym gestem sztylet do pochwy. - Myślę, że sam jestem nie lepszy, wy jednak chcecie widzieć we mnie jakiegoś powstańca podrywającego tłuszczę do walki. Mówię, co myślę, i robię, na co mam ochotę. Nie podoba mi się magia ani okrucieństwo wobec niewinnych.

- Zbyt rzadko spotyka się ludzi, którzy są tego zdania, lecz zna- my jeszcze jedną taką osobę. - Eulalia ponownie rozejrzała się nerwowo. - Chodź, niebezpiecznie jest tutaj rozmawiać. Ten człowiek czeka na nas w swojej komnacie. - Wysunęła się spod ramienia swojego opiekuna i ruszyła w stronę schodów, zabierając po drodze lampkę. - Poprowadzę was i ostrzeżę, jeżeli napotkam jakiegokolwiek przeszkody. Randalfie, pilnuj tyłów.

Conan ruszył za Eulalia po stromych schodach, przyglądając się jej kształtnym łydkom i stopom w sandałach. Nie czuł się pewnie, mając Randalfa za plecami. Szlachcic trzymał się parę kroków za nim i sprawdzał, czy nikt nie kryje się za mijanymi drzwiami.

Minęli dwa zasłonięte kotarami łuki. Eulalia zatrzymała się przed trzecim, rozsunęła zasłony i weszła w krótki, wąski korytarz. Przystanęła przy jednych z czworga drzwi, nacisnęła lekko klamkę i zajrzała do środka. Po chwili weszła do komnaty, dając znak mężczyznom, by do niej dołączyli.

Znaleźli się w niewielkim, lecz wygodnie wyposażonym pokoju, sprawiającym wrażenie komnaty gościnnej. Zdobily ją kunsztowne draperie i bogato rzeźbione, łóżko. Na zydlu na środku komnaty siedział mężczyzna, bawiący się z płowym kocieciem o pręgowanym ogonie: ciągnął przed nim zawiązaną na supeł wstążkę i przypatrywał się, jak zwierzątko podskakuje i przewraca się na grzbiet w pościgu za tasiemką.

Strój i poza mężczyzny świadczyły, że jest arystokratą. Był bardzo chudy. Gdy nachylał się do przodu, płaska pierś i lekko zgarbione barki świadczyły dobitnie, że nie parął się w życiu ciężką pracą ani wojaczką. Mimo to nie sprawiał wrażenia chorego; był nawet w chłopięcy sposób przystojny. Siwiejące na skroniach, lecz gęste, ciemne włosy świadczyły, że był w średnim wieku; ich obfitość sprawiała, że głowa wyglądała na nieproporcjonalnie

dużą wobec szczupłego ciała. Mężczyzna był gładko ogolony i widać było, że przywiązuje wagę do swego wyglądu. Miał na sobie skrojony na miarę kostium z zielonego atlasu z obszytymi srebrną nicią rozcięciami na piersi i ramionach. Po wejściu gości uniósł ku nim twarz, na której malował się wyraz dobrodusznego rozbawienia.

- Baronie, oto człowiek, którego pragnęłam ci przedstawić. - Eulalia skłoniła się z szacunkiem.

- Ach, tak. Jesteś Conan, porucznik w kompanii najemników? - Mężczyzna nazywany baronem upuścił wstążkę, by kocię nadal mogło się nią bawić. Gospodarz podszedł do Cymmerianina i delikatnie uściśnął jego dłoń. - Jestem Stefany. Czy ty również żywisz wątpliwości, w jakim kierunku zmierza nasz bunt?

- Nie miałem ich do dzisiejszego wieczora- odparł szczerze Conan. - Ivor może jeszcze opamiętać się, zrozumieć, co jest dla niego najlepsze.

- Mało prawdopodobne. - Stefany podniósł z podłogi kocię, które zdołało w tym czasie zaplątać się we wstążkę, i usiadł z powrotem na zydlu. - W Tantuzjum od dawna rządzi się źle - od czasów, poprzedzających narodziny obecnego pokolenia, na długo przed wstąpieniem na tron potężnego Strabonusa Kotyjskiego. Nowym władcom o wiele łatwiej podążać starymi koleinami, niż silić się na opracowanie sprawiedliwszej metody rządów. - Złożył wijącego się kociaka na kolanach i zaczął go zręcznie głaskać. - Przyłączyliśmy się do Ivora, ponieważ umie pociągnąć ludzi za sobą, czego na przykład ja nie potrafię. Książę jest silny i zdecydowany; potrafi odmalować słowami wspaniałą wizję przyszłości. Rozbudził wyobraźnię ludu i przekonał ich do sprawy narodowej niepodległości. - Stefany pokręcił z zadumą głową. - Kto jednak potrafi orzec, jakie obrazy roją się przed ciemnym zwierciadłem jego umysłu? Chociaż umożliwiliśmy mu zdobycie władzy, niektórzy z nas nauczyli się nie ufać jego skrywanym motywom. Proszę, Conanie, moi drodzy posłańcy, raczcie spocząć.

Conan wsparł się na skraju stołu między baronem i wejściem.

- Dla przywódcy siła jest bardziej niezbędna niż dobroć. Jeżeli tylko Ivor potrafi ulepić ze skłóconych frakcji pełną woli działania partię, osłabianie go może grozić katastrofą. Spiskując za jego plecami ryzykujecie, że szybciej ściągniecie sobie na głowy zemstę Strabonusa.

- Tak, kapitanie - przytaknął Stefany. - Natknęliśmy się na stary paradoks buntów: nowy porządek musi być surowszy od starego. Mimo to jako cudzoziemiec nie wiesz o kilku sprawach. Gdyby rozgłosić je wśród ludu, zwątpiono by w przydatność Ivora jako przywódcy. Nie będę cię raczyć historią rodu księcia ani opowieściami o dawnych władcach Tantuzjum.

Musimy strzec się bacznie samego Ivora - ale na razie dosyć o nim! Krótko mówiąc, znajdujemy się w mniej więcej takiej samej sytuacji jak mój ulubieniec. Cudowny pieszczołek, czyż nie? Aj, gryzie jak diabeł! - Stefany zacisnął szczęki, gdy kocię rzuciło się na rękaw jego żupana barwy leśnej zieleni, ze wszystkich sił próbując roznieść go na strzępy przy użyciu drobniutkich pazurków i ostrych jak igły ząbków. - Znalazł go i przyniósł mi jeden z leśniczych z moich włości. Nie mam pojęcia, co z niego wyrośnie: oswojone, łagodne zwierzę domowe czy dziki, krwiożerczy ryś. Zaczynam podejrzewać, że to drugie. - Baron wstał i podszedł do stołu. Znajdowała się na nim drewniana klatka. Stefany nachylił się, wsunął ramię do środka i trąc o drewno, pozbył się małego drapieżnika. Kocię zaczęło miauczeć żałośnie i wdrapywać się na ściany klatki. Baron obrócił się w stronę Cymmerianina, masując szczupłe ramię przez poszarpany rękaw. - Dlatego też bacznie przyglądamy się każdemu następcy w szlacheckich rodach, by przekonać się, jaki jest charakter młodego pokolenia. Do tej pory byli to wyłącznie drapieżnicy. - Potrząsnął smętnie głową. - Tantuzjum nie może pozwolić sobie na kolejnego tyrana. Zamiana satrapy ze stolicy na miejscowego byłaby marnym interesem dla naszej prowincji.

- Masz naiwne pojęcie o panowaniu, baronie. - Conan odepchnął się niecierpliwie od stołu. - W hyborejskich królestwach równie łatwo jest znaleźć złoty samorodek w stercie gnoju co króla o łaskawym sercu.

- Masz pewnie rację. - Stefany uśmiechnął się smutno. - Mimo to, gdybym zdołał przedstawić ci dowody niegodności Ivora - zwłaszcza nadużycia zaufania twojego i reszty najemników - czy zechciałbyś wystąpić jako mój poseł i spróbował namówić ich do przejścia na naszą stronę?

- Najpierw musiałbym ujrzeć te dowody. - Conan wzruszył ramionami.

- W takim razie wróć tu pojutrze w nocy, o wschodzie księżyca. Sam.

- Jak mam niby wejść do pałacu? - Conan popatrzył podejrzliwie na barona. - Mam rozwalić łby strażnikom przy bramie, czy może pod murami biegnie tajny tunel?

- Wierz mi, Conanie, pożałowałbyś, gdybyś odważył zapuścić się samotnie w podziemia pałacu w środku nocy. - Stefany zajrzał z posępną miną w oczy Cymmerianina. - Moi pomocnicy pokażą ci, jak zdołasz tu dotrzeć.

Skinął na Eulalię i Randalfa, siedzących na wyściełanym kufrze pod ścianą. Dziewczyna ujęła Conana za rękę i podprowadziła do zasłoniętego kotarami okna z wykuszem i balustradą. Gdy zatrzymali się, przez chwilę pozwoliła barbarzyńcy chłonąć widok odcinka pałacowych murów, oświetlonego zatkniętymi w dużych odstępach pochodniami. Z oddali dobiegało stukanie kroków wartownika. Za pałacem rozciągały się

niezliczone kanciaste, jak gdyby nastroszone dachy domów Tantuzjum. Żółtawy blask i stłumiona wrzawa, dochodząca z placu targowego od strony głównej bramy miejskiej świadczyły, że świętującym nie zabrakło jeszcze sił. W oddali na tle smug podświetlonego płomieniami dymu, wznoszących się znad ognisk obozowiska najemników, rysowała się niska linia murów miejskich. Nad nią roztaczało się udekorowane z rzadka gwiazdami niebo. Łagodne, nocne powietrze przepelniała woń kwiecia. Conan pohamował chęć otoczenia dziewczyny ramieniem. Ani przez chwilę nie mógł pozbyć się z myśli ciepła bijącego od jej ciała.

- Widzisz ten wysoki dom z rzeźbionym gzymsem, niemal przylegający do pałacowych murów? - Eulalia wskazała budowlę umalowanym na złoto paznokciem i kontynuowała ściszym głosem: - Nikt tam nie mieszka oprócz starego woźnicy na parterze. Pojutrze w nocy drzwi będą otwarte, a na szczycie dachu będzie stać drabina, sięgająca blanki na murze. - Dziewczyna pokazała Cymmerianinowi zwróconą w tę stronę ścianę pałacu. - Drzwi w miejscu, gdzie szańce stykają się z murami, nie są strzeżone. Korytarz łączy się ze schodami, po których weszliśmy. - Uniosła ku barbarzyńcy pobladłą, uróżowaną twarz, nieznacznie odsuwając się od niego. - Zdołałbyś tam dotrzeć, nie wzbudzając alarmu?

- Tak - odparł zwięźle. Gdy się odwrócił, stwierdził, że Randalf przysunął się w ich stronę, najwyraźniej podsłuchując słowa Eulalii. Cymmerianin wyminął go i zatrzymał się przed Stefanym. - Baronie, jesteś zbyt rozsądny, by ze mną igrać. - Przekrzywiwszy głowę, wskazał parę przy oknie. - Te gołąbki zapewne mają szlachetne zamiary, ale pilnuj, by czerpali z twojej mądrości. - Ucisnął dłoń szlachcica tak silnie, że Stefany skrzywił się z bólu. - Zobaczmy się pojutrze.

## IX

### PORUCZNIK CONAN

- Gotuj broń!... Krok naprzód, tnij, krok w tył! Nie, nie tak, jak byście kosili łąn jęczmienia!! Włóżcie w to trochę serca!

Conan zaczynał chrypnąć od nieustannych krzyków. Jego zgarbiona sylwetka świadczyła o brzemieniu znudzenia. Przed sobą miał kilkuset rolników, pasterzy i miejskich obiboków, bez zapalu wymachujących drewnianymi tyczkami w trakcie ćwiczeń milicji. Nowo sformowany oddział przez cały dzień ćwiczył elementy walki na wąskim pasie równego terenu pomiędzy miastem i obozem najemników. Choć zbliżał się już zmierzch, jaskrawy blask słońca wciąż odbijał się od białej płaszczyzny murów i palił kark Conana jak południowy żar. Bardziej od upału dręczyła jednak Cymmerianina irytacja. Gdyby przyszło mu stanąć do walki z czeredą ochoczych, lecz niezręcznych prostaczków, poradziłby sobie z nimi, nawet nie zalewając się potem. Nauczenie ich żołnierskiego rzemiosła stanowiło jednak o wiele cięższe zadanie.

- Stać, zuchy! Wystarczy. Wróćmy do pojedynczych ćwiczeń. Ty tam, spróbuj pokonać ten wrogi siennik.

Conan pchnął wystrzępiony worek ze słomą, zwisający z zakrzywionego drąga, w stronę pierwszego z szeregu rekrutów. Niezgrabny parobek wymierzył z całych sił niezręczne pchnięcie w kołyszący się wór, lecz zaraz potem wypuścił z rąk drewniany miecz i zaczął skakać na jednej nodze wyciągając z rozpaczliwym stękaniem drzazgi z dłoni.

- Następny! - warknął Conan. - Pamiętajcie, macie przed sobą zahartowanego w bój ach kotyjskiego włócznika, pragnącego wypruć wam flaki!

- Pulchny czeladnik krawiecki z ostrzyżonymi pod donicę włosami ruszył do ataku na siennik, zasypując go gradem ochoczych ciosów. W chwilę później zgiął się w pół, kaszląc od wzbijających się ze słomy obłoków kurzu i plew.

- Dosyć! - Conan uniósł ręce w geście beznadziejności. - Wracajcie do fechtunku - tym razem parami. Miedziak dla tego, który pierwszy trzepnie przeciwnika po uchu!

Przy akompaniamencie klekotania wymienianych bez zapalu ciosów Conan ruszył w dół zbocza, gdzie pod znudzonym okiem Bilhoata ćwiczyło jeszcze czterdziestu rekrutów. Conan zatrzymał się obok byłego złodziejzka, obecnie oficera.

- Czuję, że te osły nigdy nie zdołają stawić czoła Siódmemu Legionowi Strabonusa.
- Też tak sędzę. Znaczy to, że nie musimy obawiać się, że zabraknie dla nas pracy.

Pomarszczony najemnik mrugnął okiem jak jaszczurka i wrócił spojrzeniem do swoich podopiecznych, którzy ćwiczili w dwóch nierównych tyralierach natarcie w górę i w dół na stoku.

- Mimo to może czegoś by się nauczyli, gdybyśmy mogli wydać im prawdziwe miecze. - Conan skręcił swoją broń w pochwie przy pasie. - Wyczucie ciężaru ostrza to połowa szermierczego rzemiosła.

- Na pewno nauczyliby się jedynie odcinać sobie paluchy u nóg. - Bilhoat pokręcił głową z powątpiewaniem. - Ivor ma rację, że na razie nie daje im do rąk ostrej turańskiej stali.

- Być może. - Conan roześmiał się. - Czuję, że gdyby książę dodawał im zapachu z miejskich murów, wykazywaliby więcej ochoty przy ćwiczeniach. - Obejrzał się na podlegających mu rekrutów. - Muszę wracać. Moje orły zaczęły się klócić.

Cymmerianin wspiał się do miejsca, gdzie dwaj stajenni tarzali się po ziemi. Odrzuciwszy drewniane kołki, radośnie przystąpili do wydrapywania sobie oczu i szarpania za uszy. Barbarzyńca dźwignął obydwóch z ziemi za kołnierze kaftanów i pchnął ich w przeciwne strony. Temu, który zatoczył się w górę stoku, dla większego impetu wymierzył kopniaka.

- Tego już za wiele! - krzyknął w krąg gapiów. - Ćwiczenia na dzisiaj skończone! Wracajcie do domów!

Gdy ostatni z rekrutów oddalił się powłócząc nogami, Conan przystanął w cieniu kępy winorośli. Wkrótce pozostali instruktorzy poszli za jego przykładem, rozpuszczając do domów kompanie milicji. Cymmerianin dołączył do trzech oficerów i ruszył z nimi niespiesznie w stronę bramy miejskiej.

- Ech, Conanie, po całym dniu walenia cywilów po karkach żałuję, że do ciebie dołączyłem! - odezwał się niski, żylasty Argosańczyk o wypomadowanych wąsach, obrzucając idącego przed nim Cymmerianina pełnym irytacji wzrokiem.

- Ach, Pavlo, pamiętaj, że dostajesz teraz trzykrotnie więcej pieniędzy, nie mówiąc o ludzkim szacunku! - zaśmiał się Conan.

- DUBY smalone! - burknął korpulentny najemnik, idący na końcu. - Trzy razy nic to wciąż nic. - Nasi kapitanowie nie przekonali mnie jeszcze, że w końcu nadejdzie dla nas dzień zapłaty! A na szacunek ludzi to ja... - Swoją mowę podsumował nieprzystojnym odgłosem, wywołując śmiechy towarzyszy.

- Święta prawda, Tranos! - przyłączył się do niego Bilhoat. - Zauważyłeś, jak wzrosły ceny od dnia, gdy książę Ivor rozkazał kupcom dawać nam kredyt? Mam wrażenie, że straciłem już cały łup ze splądrowania Korszemiszu!

- Wcale się nie dziwię, wiedząc, jak złopiesz grog - skomentował Pavlo, co spotkało się z gwizdami i śmiechem.

- Przed nami strażę miejskie, przyjaciele. Pokażmy im dziarskie miny.

Conan wskazał dyskretnym skinieniem głowy żołnierzy w szarych płaszczach, pełniących wartę na tarasie-rogatce za bramą miejską. Wartownicy przyglądali się nadejściu najemników z pozbawionymi wyrazu twarzami, wymieniając niesłyszalne dla nich komentarze.

- Zastanawiają się, czy zarekwirować nam broń - mruknął Conan. - Niech tylko spróbują!

Oficer straży na widok symbolizujących rangę proporców Cymmerianina i pozostałych zezwolił im na przejście bez żadnego komentarza.

- Przekłęci mądrale! - burknął Bilhoat pod nosem. - Zawsze kręcą się po ulicach, rozglądając się, jak by tu najzręczniejsz wyduśnić łapówkę.

Były złodziej wyraził swoją opinię o strażnikach za ich plecami wyjątkowo niepochlebnym gestem zgiętego ramienia.

- Zgadza się, traktują nas jak zarazę. - rzekł Tranos. - Zwłaszcza podczas rozróby dwa dni temu, gdy podpici Varg i jego przyjaciele próbowali dostać się w nocy do zakazanej dla nas części miasta.

- Gdyby strażnicy wleźli mi w paradę, pokazałbym im, gdzie raki zimują. - Bilhoat ściągnął brwi w srogim wyrazie.

- Pewnie - przyznał Pavlo. - Powinniśmy zapuścić czerwonego kura w tej zatraconej mieścinie i patrzeć, jak zabiorą się do jedzenia takiej pieczeni. - Rzucił pełne gniewu spojrzenie Conanowi. - Nieźle nam się powodzi jako oficerom: przynajmniej możemy wejść do miasta z bronią!

Najemnicy przemierzyli plac i przeszli pod rzeźbionym kamiennym łukiem, którego zwieńczenie zdobiło obite godło, przedstawiające nurkującego ku pędzącemu zającowi czerwonego jastrzębia. Z drugiej strony łuku znajdowała się posępna sala wielkiego jak stodoła szynku. W powietrzu gęsto było od dymu znajdującego się w głębi paleniska.

Kręcący się po sali tłum nie najlepszej jakości klienteli uniemożliwiał zorientowanie się we wnętrzu, lecz Conan zdążył już dobrze poznać rozkład szynku. Pod tylną ścianą ciągnął się kamienny kontuar, uniemożliwiający gościom dostęp do beczek z jęczmiennym piwem i winem. Obsługa mogła dostać się za kontuar tylko wąską bramką z boku. Umeblowanie szynku stanowiły wpuszczone w płyty posadzki kamienne ławy i stoły, łatwe do spłukania wiadrami wody po zamknięciu tego przybytku opilstwa. W jednej z bocznych

ścian znajdowało się drugie łukowato sklepienie wejście. W opinii Conana była to bezpieczna knajpa dla pijanych żołdaków - a przynajmniej najbezpieczniejsza z możliwych.

Przybycie nowych gości, przeciskających się w głąb szynku wywołało na sali szmer powitań. Przyjacielskie przekomarzania i wznoszenie kufli z piwem nie przeniosło się jednak do kąta pod ścianą. Siedzący tam Zeno i garstka jego kompanów z kompanii Hundolfa i innych zareagowali na pojawienie się Conana odwracaniem głów i gniewnymi szeptami. Zeno, jako oficer, również był uzbrojony. Opuścił niespokojnie dłoń do rękojeści miecza, a drugą wznosił kubek do ust.

- Jakie popłuczyny dzisiaj pijemy? - zagrział Cymmerianin. - Piwo, tak? Belda, dawaj tu cztery garnce! - Zastukał srebrną monetą w blat szynku. - Bądź gotowa do pielęgnowania moich druhów, bo widać, że mają ochotę spać się na umór!

Bezceremonialna szynkarka o matczym wyglądzie rozstawiła kamionkowe kubki i przyglądała się, jak ich szerokie dna w dłoniach najemników powoli uniosły się ku powale. Cierpliwie ustawiła je obok siebie, nalała od nowa do pełna i podsunęła czwórce gości. Conan i jego towarzysze oddalili się od szynkwasu. Przystanęli z chmurnymi minami przy jednym ze stolików, aż siedzący przy nim klienci zdecydowali się zrobić dla nich miejsce. Najemnicy zasiedli na niewygodnych, twardych ławach.

- Och, powiadam wam, znudził mi się już widok tych paru rozczochranych ładacznic, które się kręcą po otwartej części miasta! - Pavlo utkwiał wzrok w chudej jak kołek dziewczce służebnej, która z gigantyczną butlą w ramionach przeciskała się między stołami, z doświadczeniem unikając klepnięć i podszczypywania. - W tej dziurze na pewno są ładniejsze kobiety.

- Oczywiście. - Tranos pokiwał żałośnie głową. - Ojcowie wypchali do szynków i zamtuzów Tantuzjum swoje córki, których nijak nie zdołali wydać za mąż.

- Nie zapominajcie o tych, które wychodziły za mąż po trzy razy, jak tłusta Filiope w „Rogu i Łowczyni”!

Bilhoat wypiął karykaturalnie policzki i brzuch, wywołując chór jęków i rozgoryczonych śmiechów.

- Nie słuchajcie go, jeszcze dzisiaj będzie spać w ramionach Filiope jak ulubiony szczeniak!

Uwaga z ust niewidocznego żartownisia spowodowała huczny rechot i gwizdy. Sąsiad Conana na ławie, śniady szelma, przechylił z pijacką przesadą głowę i włączył się do rozmowy:

- Niektóre z naszych wojowniczek są miłe dla oka. - Zamrugał i powiódł mętym



wzrokiem po towarzystwie. - Ciekaw jestem, czy komukolwiek udało się zaznać z nimi uciechy?

- Wolałbym kochać się z jeżem albo z pokrytym pancerzem smokiem. - Bilhoat zmarszczył brwi. - Dziewki Drusandry przypominaj ą poduszki na igły, naszpikowane sztyletami i kolcami. - Udał, że dygocze.

- Nawet się o to nie starajcie - ostrzegł Pavlo. - Żołnierzy, którzy się do nich umizgiwali, spotkała surowa nauczka. - Zapalczywy, niewielkiego wzrostu najemnik rozejrzał się po swoich towarzyszach z błyskiem w oku. - Zeszłej nocy po popijawie sam musiałem przyjść z pomocą pewnemu biednemu śmiałkowi - nie wymienię jego imienia. Związały go jego własnymi pantalonami i powiesiły za pięty na drzewie przed swoim obozem. Chłopak był zbyt pijany, by sam się rozwiązać! -Najemnicy wybuchnęli śmiechem, Pavlo zaś powiedział jeszcze ściszym głosem do Conana: - To dla nich sposób odwetu. Ich ofiary nie skarżą się, bo oznaczałoby to dla nich ośmieszenie.

Conan przytaknął z zadumą.

- Nie, nie ma co zaczepiać tych uzbrojonych wiedźm. Słyszałem o im podobnych - odezwał się Tranos i powiódł po kompanach sugerującym wiedzę światowca wzrokiem. - Mężczyźni są im niepotrzebni; wolą własne towarzystwo nie tylko na polu bitwy, lecz i w łóżku.

Jego stwierdzenie spotkało się z kiwaniem głów i pomrukami zgody stojących obok stołu najemników.

- W dzisiejszych czasach kobiety buntuj ą się nawet przeciwko prawowitej władzy mężczyzn - zauważył Bilhoat. - Słyszałem, że czasami nawet zasiadają na tronie.

- Istotnie - przyznał Conan. - Rok temu sam pomogłem niejakiej Yasmeli zostać władczynią pogranicznego królestwa Khoraji, niecałe dwadzieścia mil na zachód stąd. - Spojrzał z zadumą w resztkę piwa na dnie swojego kubka. - Nie znaleźlibyście sprawiedliwszej czy bardziej kobiecej władczyni - chociaż mam wrażenie, że po wstąpieniu na tron jej temperament nieco ostygł.

- W południowym Szemie jest miasto, gdzie mieszkają wyłącznie kobiety - oznajmił niewidoczny słuchacz. - Żeby powiększyć swą liczbę, porywaj ą szemickie karawany i wykorzystują mężczyzn do ostateczności - ale tylko przez jedną noc. Potem składają ich na ołtarzach czczonego przez siebie boga-ślimaka, pospołu z noworodkami płci męskiej.

- Nie dziwi mnie to - odparł ochoczo ktoś inny. - Szemitom brakuje męskości. Nadają się raczej do liczenia zysku niż zaspokojenia kobiety.

- Obrażasz nas, nemediański łotrze! - Z głębi ciżby rozległ się grzmiący głos

z dźwięcznym szemickim akcentem. - Odszczekaj swe słowa, inaczej wepchnę ci je z powrotem do gardła!

- Pewnie! Dostyc mamy obelg zawszonych brudasów z Północy! - rozległ się jeszcze jeden pijany głos. - Każdy Szemita jest wart więcej od czterech z nich!

Zapalczywym mówcą okazał się chudy mężczyzna z kędzierzawymi włosami, który miał jednak poparcie ze strony zwalistego draba w baranicy.

- Kogo nazywasz zawszonym brudasem, pustynny koźle? - zapytał odziany w futra Brytuńczyk. Natychmiast musiał się uchylić, gdyż kamionkowy dzban roztrzaskał się o kolumnę tuż obok jego ucha. Brytuńczyk zaryczał, wzywając swoich przyjaciół do walki: - Na nich, bracia!

Wyciąganie ukrytej broni przez jego licznych towarzyszy przypominało wyrojenie się pszczoł z barci, lecz gdy Brytuńczyk ruszył w stronę przeciwników, na jego barku zacisnęła się ciężka dłoń Conana. Barbarzyńca podniósł się z ławy, rozdzielając zwaśnione strony.

- Dostyc, Ulrath. Nie ma o co wszczynać bójk i na darmo przelewać krew - stwierdził zdecydowanie Cymmerianin. - Powinniśmy zachować ostre sztylety dla żołnierzy kotyjskich legionów.

- Nie mieszaj się do tego, Conanie! - Zaczerwieniony Ulrath odwrócił się w jego stronę. - Psie syny z Szemu od dawna napraszały się o nauzkę. Przebrali wreszcie miarkę!

Conan zdjął rękę z ramienia Brytuńczyka, lecz stał w miejscu, nie spuszczać z oczu gotowych do walki najemników.

- Mówię jako porucznik i mam poparcie moich towarzyszy. - Obejrzał się na pozostałych oficerów, którzy zaczęli podnosić się z ław, kładąc dłonie na rękojeściach mieczy. - Kłótnie, który naród jest lepszy, to plaga Wolnych Kompanii i bezmyślna strata czasu.

- Prawdę mówi. - Najemnicy odwrócili głowy, słysząc donośny głos nowego uczestnika zajścia. Był to Zeno; przecisnął się na środek szynku, mając za plecami paru towarzyszy z kompanii Hundolfa. - Tracenie sił na podobne kłótnie to beznadziejna głupota. Należy porozmawiać o poważniejszych sprawach, takich jak kłamstwa, zdrada swoich towarzyszy i podła zbrodnia!

Jego słowa wywołały szmer gniewu wśród najemników i sprawiły, że wywietrzała im z głów awantura sprzed chwili.

- O co ci chodzi? - zawołał Ulrath. - O jakiej zbrodni mówisz?

Zeno powiódł po najemnikach pewnym siebie wzrokiem. Rude loki rozsypały się wokół jego twarzy. Stał w pozie świadczącej o zdecydowaniu i pewności własnej racji, będącej częściowo zasługą wypitego trunku.

- O zamordowaniu dwóch ludzi z naszej kompanii: powszechnie lubianego oficera Stengara i młodzika Lalla. Czynu tego dopuszczono się w czasie, gdy toczyliśmy zażartą walkę, a później przedstawiono kapitanowi jego fałszywą wersję! Zbrodni dopuścił się człowiek, który właśnie teraz chciałby wam rozkazywać: cymmeriański dzikus Conan!

Zeno wznosił ramię i wymierzył dłoń oskarżycielsko prosto w nachmurzone oblicze barbarzyńcy. Przez szynk przeszedł szmer gniewnych głosów, lecz po chwili wybił się nad nie surowy głos Conana:

- Zarucaasz mi poważne czyny, Zeno. Uważaj, co czynisz, by nie spotkał cię jeszcze gorszy los!

- Słuchajcie tylko! - Oczy Zenona rozblęły wzburzeniem. - Ten łotr otwarcie mi grozi! Przyznajesz się, czy tak? Wiedz, że widziałem trupy. Jest dla mnie jasne, że obydwaj zginęli od ostrej broni!

- Nie zaprzeczałem, że ich zabiłem! - Conan wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem, rozglądając się na boki dla upewnienia, iż żaden z nieprzyjaciół nie znalazł się zbyt blisko. - Stengar również nie wypierał się, że próbował mnie ukradkiem zabić. Wie o tam każdy z was, kto nie jest ślepy ani głuchy! - Rzucił najemnikom wyzywające spojrzenie. - Wyrównałem z nim tylko porachunki, ale jestem gotów zacząć nowe, jeżeli któremuś z was życie nie miłe...

- Dostyc, przybłędo! - krzyknął Zeno. - Chytrze spiskujesz, ale nie zamierzam przyglądać się, jak pozbywasz się lepszych od siebie! Musisz zapłacić za swoje zbrodnie!

Wciągnął miecz i rzucił się na Conana. Cymmerianin wznosił miecz do obrony, zaszczekały zderzające się ostrza. W tym momencie rozległo się wołanie:

- Straże miejskie! Ktoś ściągnął strażę! Pilnujcie się, bracia!

Większość z gości szynku nie zdecydowała się jeszcze, po czy- jej stronie się opowiedzieć. Nagle tarcze i dziesiątki pik strażników zaczęły spychać ich pod ściany. Wartownicy dostali się do szynku bocznym wejściem. Oprócz ciskania kuflami po piwie najemnicy nie mogli zaszkodzić uzbrojonym w dłuższą broń przeciwnikom. Cofająca się cizba przeklinających żołdaków rozdzieliła dwie grupki zwaśnionych oficerów.

Strażnicy miejscy pokonali dystans między łukowatymi wejściami, skutecznie oczyszczając szynk z najemników. Na zewnątrz w zapadającym zmierzchu kolejny tuzin mężczyzn w szarych płaszczach uniemożliwiał najemnikom podjęcie walki czy wszczęcie awantury na placu. Wyrzuceni z oberży, podpici żołnierze kręcili się niezdecydowanie przed wejściem. Obrzucali straż obelgami, lecz wkrótce rozproszyli się, przeważnie szukając innych miejsc, zapewniających podłe rozrywki.

Zaczerwieniony z wściekłości Zeno wytoczył się na plac, ciągle potrząsając mieczem. Któryś z otaczających go kompanów pokazał mu wreszcie, że ostrze jego broni zostało złamane na szerokość dłoni od rękojeści. Zeno popatrzył na nie z wykrzywioną ze zdumienia twarzą i cisnął utracony miecz do rynsztoka. Zaczął miotać się po placu w poszukiwaniu swego przeciwnika, lecz nie mógł go nigdzie dostrzec.

Tymczasem Conan pospiesznie prowadził trzech towarzyszy w stronę bramy miejskiej.

- Nie powinieneś być puścić płazem takiego oskarżenia, czy jest prawdziwe czy nie! - napominał zwalistego Cymmerianina ledwie dotrzymujący mu kroku Pavlo. - Zdajesz chyba sobie sprawę, że Zeno będzie cię dalej oczerniać.

- Wiem, na co się narażam. - odparł Conan ze spojrzeniem wlepionym w bruk. - Zenona zżera zawiść. Pewnie będę go musiał zabić... ale nie dzisiaj. - Potrząsnął posępnie głową. - Nie chciałbym mieć przeciwko sobie straży miejskiej i najemników. Nie mam ochoty zwracać na siebie uwagi.

- Przekłete miejskie świnię! Jak śmieli tak obrazić prawdziwych żołnierzy! - powarkował Bilhoat. - Powinniśmy namówić naszych przyjaciół do zajęcia roгатki i zbrojowni! - Rzucił palące spojrzenie mijanym właśnie wartownikom przy bramie. - Moglibyśmy wtedy pogonić ich do samego pałacu!

- Spokojnie, nieustraszony mścicielu - namawiał go do opamiętania Tranos. - Mitra w swojej mądrości postanowił, że nie odejdziemy spragnieni. - Wyciągnął spod futrzanej kurty obiecująco chlupoczącą kamionkową butelkę. - Patrzcie, co Belda raczyła mi podsunąć za serdeczną obłapkę!

Najemnicy stłoczyli się wokół niego z radosnymi okrzykami. Na parę minut zatrzymali się przed bramą, po czym ruszyli dalej ze śmiechem, przerzucając się sprośnymi żartami.

## X

### WONNY PAWILON

O wiele później, gdy rosnący księżyc wspinał się nad miejskimi murami, zamyślony Conan wędrował samotnie przez obóz najemników. Wcześniej grał w kości przy winie ze swoimi towarzyszami, a potem odprowadził ostatnich z nich do namiotów, lecz teraz stanął przed nim problem odnalezienia drogi do własnej kwatery. Okazało się to niełatwym zadaniem: w czasie wieczornej pijatyki zawędrował do nieznanego mu części stale rozrastającego się obozowiska, a trunk przyćmił jego zwykle czujne zmysły.

Dookoła w blasku księżyca rysowały się pstrokate wielokątne namioty wielonarodowej zbieraniny najemnych żołdaków. Conan co chwila potykał się o niewidoczne kołki i linki, nadeptał nawet na śpiącego pod odkrytym niebem mężczyznę, który niezgrabność Cymmerianina skomentował soczystymi przekleństwami w akbitańskim dialekcie.

Conan znalazł się w pobliżu grupy sporych, osmiokątnych namiotów. Ich niezwykle wygląd i fakt, że stały na uboczu, podpowiedział mu jednak, dokąd zawędrował. Jeden z pawilonów rozświetlała mętna poświata lamp czy też kociołków z węglami. Cymmerianinowi wpadło do głowy, by zaskrobać w płótno wejścia i zapytać o drogę. Właśnie zrezygnował z tego pomysłu, gdy od strony zdającego się podpierać niebo drzewa dobiegły go słowa:

- Zawróć, natręcie! Zapuściłeś się w niebezpieczną okolicę. Nie zamierzam powtarzać ostrzeżenia! - Głos, chociaż oziębły i pozbawiony wyrazu, był niewątpliwie kobiecy. Conan stanął w miejscu i odwrócił głowę. Utkwił wzrok w cieniu listowia, chcąc rozpoznać wartowniczkę. Kobieta odezwała się ponownie; jej głos nie przypominał już jednak szcęknięcia zimnej stali, ale szmer wyprawionej skóry. Poczekaj chwilę. Może okrzyknęłam cię zbyt ostro... lub zbyt łagodnie... Widzę, że intruzem okazał się Conan, obrońca kobiet.

Cymmerianin zmrużył oczy, przyglądając się sylwetce w ciemnościach.

- Ten tytuł odpowiada bardziej tobie, Drusandro.

- To prawda, taką mam obecnie rolę. Dzisiaj i co czwartej nocy. - Wojownicza zaśmiała się niemal melodyjnie i wynurzyła się z cienia. - Jedynie w ten sposób grupa kobiet może zaznać choć trochę odpoczynku w legowisku brudnych, ogarniętych rują wieprzy. Skinieniem głowy wskazała najgęstsze zbiorowisko namiotów w pobliżu.

Conan odpowiedział z niewzruszoną miną pozbawionym emocji tonem:

- Dowiedziałem się, że masz wielkie doświadczenie w pętaniu dzikich świń.

- W pętaniu? Owszem. - Drusandra przytaknęła z uśmiechem. - W pieczeniu i przyprawianiu również. - Jej oczy zabłyśły w ciemnościach. - Nie masz powodów do obaw, Conanie - niczym nam nie zawiniłeś.

Drusandra ubrana była w płaszcz z kapturem w ciemnym, utrudniającym jej dostrzeżenie odcieniu. Opończa rozsunała się, gdy uprzednio wyprostowana kobieta przybrała swobodniejszą pozę. Conan dostrzegł pod okryciem błysk łuskowej zbroi, nie zaś noszonego zwykle przez Drusandrę pancerza. Wojowniczką wsparła dłoń na biodrze i stwierdziła:

- Nie będziemy cię nawet wypytywać, co sprawiło, że zapuszczasz się tu tak późno.

Użyta przez kobietę liczba mnoga sprawiła, że Conan rozejrzał się czujnie dookoła. Z nieprzyjemnym zaskoczeniem dostrzegł, że za jego plecami bezszelestnie czai się jeszcze jedna osoba - o wiele za blisko, by mógł czuć się swobodnie. Była to gibka Ariel w czarnym stroju. Dziewczyna nie zdejmowała dłoni z rękojeści miecza i sztyletu w pochwie przy lewym biodrze.

- Prawdę mówiąc, zasłużyłeś na zaproszenie - rzekła Drusandra. - Od dawna żaden gość nie zaszczycił swą obecnością naszego namiotu.

- Ostatnio niejeden próbował tego dokonać - odparł Conan, odsuwając się w bok od dwóch uzbrojonych kobiet. - Pani kapitan, jeżeli chodzą ci po głowie pomysły na chwywanie mężczyzn w pułapkę, ostrzegam cię...

- Nie, Conanie, nie masz powodów do obaw - Cymmerianin nie był w stanie orzec, czy te słowa zawierają zawołaną groźbę, czy są jedynie dowodem nie tajonego podziwu. - Twoje bezpardonowe postępowanie zaskarbiło ci moje wyjątkowe... uznanie. Sądzę, że moje towarzyszki są tego samego zdania. Prawda, Ariel?

Conan odwrócił się. Dziewczyna pochyliła głowę i w milczeniu wlepiła wzrok w ziemię. Jej twarz była pogrążona w zbyt głębokim cieniu, by Cymmerianin mógł odczytać jej wyraz.

- W takim razie chodźmy!

Drusandra ruszyła przed siebie przez łąty cienia w stronę niskiego daszku przed wejściem do pawilonu, jak gdyby była pewna posłuszeństwa jej słowom. Przystanąła na chwilę, ściszone głosem zamieniła parę słów z kimś tuż za wyszywanymi zasłonami. Podtrzymała je zapraszającym gestem, ukazując oświetlone rozproszonym, migoczącym blaskiem przytulne wnętrze.

- Dlaczego nie, na Isztar! - mruknął pod nosem Conan i ruszył śladem Drusandry. Pochyliwszy się, przeszedł tuż pod jej roztaczającym woń dymu i piżma ramieniem.

Drusandra weszła za nim, Ariel zaś pozostała na zewnątrz.

Wnętrze było skromne, lecz przytulne. Ziemię pokrywały kobierce i futra, sienniki pod ścianami zasłane były kołdrami z jedwabiu i wełny w jaskrawych barwach. Brak było mebli czy wielkich poduch, rolę siedzeń i oparcz zaś pełniły siodła. Namiot oświetlały jedynie cztery olejne lampy w kątach - tak, iż z zewnątrz nie można było ujrzeć sylwetek osób w środku. Ciepłe wnętrze wypełniała woń kwietnego kadzidła.

Pawilon stanowił kwaterę ośmiu najemniczek. Większość z nich nie oderwała się od swoich zajęć po wejściu Conana. Ostrzyły i polerowały broń, naprawiały ubrania lub przycinały włosy na taką długość, by wygodnie mieściły się pod bojowym hełmem. Dwie kobiety siedziały ze skrzyżowanymi nogami na posłaniu, pochłonięte wykładaniem liczmanów z kości słoniowych na czarne płótno w jakiejś grze. Inna klęczała przed wyciągniętą na brzuchu towarzyszką i masowała naoliwioną skórę jej śniadego grzbietu.

Stroje kobiet dawały się określić w najlepszym razie jako niedbałe: niektóre miały na sobie tylko nocne koszule, inne były nagie od pasa w górę. Prezentowały rozmaite typy urody: od wysmukłej dziewczyny z południowo-wschodnich dżungli po niską Hyrkanę o szerokich biodrach i barkach. Większość jednak miała mleczną cerę, charakterystyczną dla mieszkanki hyborejskich krain; one właśnie najbardziej zachęcająco odpowiadały na spojrzenia Cymmerianina.

Krew Conana zaczęła się burzyć, gdy zobaczył w tak intymnej scenerii kobiety, które uprzednio znał wyłącznie jako sprawne wojowniczkę. Odwrócił się do Drusandry. Dowódczyni najemniczek zdjęła płaszcz, odpasała miecz i złożyła go przy wejściu. Po chwili rozpięła rzemienie kolczugi i została tylko w przylegającej kusząco do ciała jedwabnej koszuli.

Po chwili wahania Conan odpasał swój ą broń i złożył ją przy pozostałych. Drusandra wskazała mu wolne miejsce na posłaniach wśród kobiet. Barbarzyńca czuł, że czerwieni się bardziej, niż usprawiedliwiałoby to ciepło w namiocie.

- Napijesz się, Cymmerianinie? Ludmiła, przejmiesz resztę mojej warty. - Gospodyni pochyliła się nad ogniem, tłącym się w kociołku na środku pawilonu, i zaczęła nalewać parujący płyn z blaszanego dzbanuszka. Tymczasem pulchna kobieta z kręconymi włosami schowała ostrzony miecz do pochwy, wstała i włożyła kaftan z farbowanej skóry. Nim wyszła, zatrzymała się na chwilę, by obrzucić Conana niechętnym, taksującym spojrzeniem. Drusandra dołała do obydwóch kubków trunku z grzejącej się przy ogniu butelki i podeszła do Cymmerianina. - Proszę, Conanie: karpaszska korzenna herbata z ofirskim winem śliwkowym. Na pewno lepsza od sprzedawanych w mieście popłuczyn.

Barbarzyńca oparzył sobie usta parującym, aromatycznym napojem, lecz zamruczał z aprobatą. Nie rezygnował wszakże z czujności.

- Wielkie dzięki, Drusandro. Nie spodziewałem się tak łaskawego przyjęcia.

- Mało kogo nim obdarzamy. - Wojowniczką usiadła ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw Cymmerianina, podtrzymując kubek stulonymi dłońmi. - Sam rozumiesz, na jakie niebezpieczeństwo wystawiamy się jako kobiety, starające się wybić w świecie, gdzie wielu uważa nas za stworzenia gorszego rzędu niż niewolnicy czy nawet bydło.

- Tylko tchórzliwy łotr może obrażać kobiety. - Conan wciągnął w nozdrza unoszącą się z naczynia parę i popatrzył na rozmówczynię. - Mimo to, nie możesz spodziewać się uprzejmego traktowania ze strony mężczyzn, którym grozisz mieczem.

- Dla własnego dobra łotr, który ma ochotę mnie obrażać, powinien być odważny. - Kobieta zaczerpnęła z dystynkją łyżeczek nieznośnie gorącego dla Cymmerianina napitku. - Mówiąc szczerze, Conanie, każda z nas doznała okrutnego traktowania ze strony mężczyzn, nim sięgnęła po broń - w małżeństwie czy jeszcze w dziewczęcych czasach. - Spuściła wzrok na gorejące, pokryte białymi płatkami popiołu węgle w kociołku. - O mało nie zabiłam własnymi rękami mojego ojca za to, czego dopuścił się wobec mej młodszej siostry. Wiele sił i łez kosztowało matkę powstrzymanie mnie przed rozpruciem temu opojowi brzucha sztyletem - po tym, jak zrzuciłam go ze schodów do piwnicy. - Drusandra nie odrywała wzroku od tylko dla niej widocznej sceny w węglach paleniska. Zadrżała lekko. - Zdałam sobie wtedy sprawę, że muszę zostawić rodzinę własnemu, chociażby najbardziej nieszczęsnemu losowi. Zaczęłam wynajmować się jako wojowniczką. Dobrze nauczyłam się żołnierskiego rzemiosła, chociaż częściej przychodziło mi walczyć z tak zwanymi towarzyszami broni niż z wrogiem... Okazało się jednak, że nie jestem odosobniona. - Odrzuciła w tył jasne włosy i gestem głowy wskazała pozostałe kobiety, przysłuchujące się jej słowom i przysuwające bliżej swojej dowódczyni i jej gościa. - Wszędzie, dokąd zawędrowałam, napotykałam za- prawione w bojach kobiety: niewolnice, które uciekły z serajów, zrozpaczone wdowy, niedosze ofiary gwałtów i dziewczyny, które wydawano za mąż wbrew ich woli. - Powiodła wzrokiem po grupie kobiet z wyrazem twarzy cieplejszym, niż Conanowi dane było widzieć do tej pory. Niektóre ze słuchaczek przytakiwały lub bezgłośnie składały usta do potwierdzenia prawdziwości jej słów. - Podobnie było z biedną, drogą Ariel. Chociaż nie mówi ani słowa, poznałam jej historię od jej krajanki. Ariel była niewinną, argosańską wieśniaczką. Z radością przyjęła oświadczyń najzamożniejszego chłopca pańszczyźnianego w całej prowincji, lecz w noc poślubną, po uczcie i tańcach, pacholki miejscowego szlachcica porwali ją do zamku. W owych okolicach pan lenny ma



prawo spędzenia pierwszej nocy z każdą świeżo poślubioną dziewicą. Szlachciura był jednak stary i zniedołężniały. Gdy zażądał od Ariel odrażających usług, zabiła go nożem, który miał być jej prezentem dla małżonka. Podejrzewam, że moźny pan zginął raczej od wieku i wyczerpania, niż od siły jej ciosów. Jakkolwiek było, zrazu nikt nie zorientował się, że nie żyje. Domownicy widocznie przywykli do dochodzących z jego komnaty sypialnej niezwyklej odgłosów. Ariel zdołała uciec przez okno i dotrzeć do obejścia męża, gdy wszakże opowiedziała mu ze łzami w oczach, co się stało, pobił ją i wyłajał. Krzyczał, że złamała obyczaj i ściągnie mu na głowę ruinę, próbował nawet zaciągnąć ją z powrotem do zamku. Dziewczyna w rozpaczycy ugodziła go nożem i zostawiła martwego w lesie. Kilka miesięcy później, wyjęta spod prawa, niemal całkowicie postradała zmysły. Na szczęście natknęła się na nas, gdy zmierzałyśmy, by wziąć udział w walkach we wschodnim Szemie.

Po posępnej opowieści Drusandry w namiocie zapanowało milczenie.

- Takie właśnie dziewczyny są bliskie mojemu sercu - odważył się przerwać ciszę Conan. - Na jej miejscu zrobiłbym to samo.

W tym momencie powaga słuchających kobiet prysła. Drusandra śmiała się najserdeczniej. Wreszcie złożyła dłoń Cymmerianinowi na ramieniu.

- Mężczyźnie jest zawsze łatwiej, chociażby cały świat sprzysięgał się przeciw niemu. - Odstawiła kubek i otoczyła ramieniem siedzącą obok niej Szemitkę. - Nasz oddział stał się ucieczką i schronieniem dla kobiet, które zaznały głębokich ran. - Pieszczotliwie przegarnęła krótkie, ciemne loki swej sąsiadki. - Często wydaje im się, że już nigdy nie zdołają zaufać mężczyznom. Nienawidzą ich nieokrzesania i braku wrażliwości.

- W takim razie cieszę się, że mnie znoszą.

Conan rozejrzał się po ciasnym kółku pół tuzina kobiet. Towarzyszki Drusandry przyglądały mu się ze skrywanym zainteresowaniem, popijając herbatę i wymieniając szeptem uwagi. Dziewczyna, zajmująca się masażem, zaczęła ugniatać barki drugiej przyjaciółce, która klęczała nago bez śladu zażenowania.

- Ach, Conanie, czują się bezpieczne, gdyż wiedzą, że cię szanuję - powiedziała Drusandra. - Wierzmy, że nie wrócisz tu z bandą pijanych pyszałków, by nas zhańbić. Żle byś się im przysłużył, bo posiekałybyśmy was na kawałki. - Nachyliła się ku Conanowi, pociągając za sobą Szemitkę. - Czujemy się przy tobie swobodnie, ponieważ jesteśmy razem, w swym własnym gronie - rozumiesz?

Conan popatrzył w milczeniu na Drusandrę. Nie był pewny, czy dobrze wyczuł kierunek, w którym zmierzały jej uwagi. Jej bliskość wciąż wytrącała go z równowagi; przywykł do traktowania Drusandry jak oficera, a nie zmysłowej kobiety. Widząc niepewność

Cymmerianina, wojowniczką pieszczotliwie przesunęła dłonią po koszuli na jego plecach.

- Większość z nas nie czuje się bezpiecznie w towarzystwie mężczyzn... w pojedynkę.

- To zrozumiałe - przytaknął Conan i rozejrzał się po kręgu kobiecych twarzy, zarumienionych od wina i wzajemnej bliskości. - Założę się, że większość moich towarzyszy też nie czułaby się pewnie pojedynczo w waszym towarzystwie.

- Wiedz też, że gdyby któraś z nas wymknęła się, by kochać się z mężczyzną, pozostałe czułoby się zdradzone. - Drusandra uśmiechnęła się. - Zawieramy sobie nawzajem własne życie, dlatego też nie śmiemy rozrywać naszej jedności.

Odwróciła głowę i złożyła pocałunek na policzku swojej sąsiadki.

Conan przyglądał się temu z fascynacją! powątpiewaniem. Niektóre z pieszczot, jakimi obdarzały się wojowniczki, sprawiały wrażenie raczej namiętych niż siostrzanych.

Po chwili z zaskoczeniem poczuł, że para chłodnych dłoni masuje jego barki i kark. Zabrała się do tego piegowata dziewczyna z któregoś z pomocnych narodów, odziana tylko w lgnącą do ciała jedwabną koszulkę. Zbliżyła się do niego niepostrzeżenie i chociaż odpowiedziała surowym spojrzeniem na jego pytający wzrok, jej dotyk okazał się zręczny, błogi i łagodzący napięcie. Drusandra tymczasem wsunęła Cymmerianinowi dłoń pod koszulę i zaczęła gładzić jego lędźwie.

- Nasze związki dają nam siłę i uczucie bezpieczeństwa - rzekła. Conan zdał sobie sprawę, że Hyrkanka kładzie mu dłoń na nagim kolanie. Czuł jej delikatne palce, gdy Drusandra nachyliła się ku niemu jeszcze bardziej i wyszeptwała: - Dla nas to jedyny sposób, rozumiesz? Lekko zarumieniona, złożyła mu kusząco głowę na ramieniu, zapraszająco rozchylając wargi.

Conan przestał mieć wątpliwości, do czego zmierzała. Zaczynało mu się mącić w głowie, na całym ciele czuł ekscytujące dotknięcia kobiecych dłoni. Nad wszystkimi jego uczuciami dominowało zachwycające wrażenie beztroskiego zatracenia. Zdawał sobie sprawę, że jest zdany na łaskę wojowniczek, czy miałyby ochotę go całować, czy okładać pięściami. W tej chwili było mu wszystko jedno.

W odpowiedzi na zaproszenie Drusandry Conan otoczył ją ramieniem i wycisnął pocałunek na jej ustach. Pozostałe kobiety przyglądały się temu zmysłowo, niektóre wyciągały dłonie, by go dotknąć. Namiętność odbierała mu jasność widzenia. Szum w jego uszach zagłuszył kobiece śmiechy i westchnienia, gdy przyjęły go między siebie.

## XI

### MIECZE W CIEMNOŚCIACH

- Jakie wieści, Brago? Czy twoi zwiadowcy wysledzili już posłów? - zwrócił się książę Ivor do stojącego w mrocznym wejściu dowódcy najemników.

Brago wszedł do komnaty rady. Po sali poniosło się echo stukania twardych podeszew jego wysokich butów. Zatrzymał się przed czekającymi na niego ludźmi i skłonił głowę w niedbałym przywitaniu.

- Nie, książę. Zgodnie z twoim rozkazem rozstawiłem czaty poza miastem. Ich znakiem miało być zapalenie trzech pochodni, lecz na razie nie dostrzeżono go jeszcze z wież.

- Miejmy nadzieję, że wasze ogary ich nie przepłoszyły. - Książę obrócił się na pięcie i ruszył po dźwięcznie rezonującym marmurze. - Jesteś pewny, że pozostali kapitanowie najemników nie mają pojęcia o spotkaniu?

- Tak jest, panie. Moi ludzie opuścili obóz dziś w południe pod pretekstem ćwiczeń.

- Dobrze. - Ivor przeczesał palcami pukle nad czołem. - Wietrzę w tym jakiś podstęp. Nie wiem, jakich posłów zamierza przysłać Strabonus - czy paziów, czy cesarski legion - ale jeśli okażą się nimi osoby wysokiego urodzenia, możemy zyskać przydatnych zakładników.

Komnata narad, gdzie dwa dni wcześniej wyprawiono ucztę, prezentowała się obecnie zupełnie inaczej. Zdjęto kosztowne kotary i wyniesiono wygodne meble. Znów była to przypominająca jaskinię sala, w której radzono o sprawach wagi państwowej. Oświetlała ją tylko para kandelabrow przy podnóżku tronu księcia. Blask świec padał na Ivora, drepczącego niespokojnie przed Bragiem i garstką zgromadzonych mężczyzn. W odległych kątach komnaty i pod żebrowanymi łukami sklepienia zalegały głębokie cienie.

- Nie orientujesz się, książę, jaka może być treść posłania króla? - zagadnął szczupły, brodaty mężczyzna, jeden z dwóch w galowych tantuzjańskich mundurach. - Na pewno okaże się kolejnym, nieistotnym ultimatum ze strony naszego zaprzysięgłego wroga.

- Nie spiesz się z oceną, generale. - Ivor odwrócił się na pięcie, z rozdrażnieniem wruszając ramionami pod szarą kamizelką. Spojrzał na niego ze zmrużonymi oczami. - Skąd mam wiedzieć, jaka jest jego treść, dopóki jej nie usłyszę?

- Najprawdopodobniej będzie zawierało kolejne groźby - stwierdził drugi z oficerów; hełm z pióropuszem świadczył, że on również był generałem. - Łatwiej o nie niż o zdecydowane zbrojne posunięcia, dlatego bardziej odpowiadają skąpemu Strabonusowi.

Książę odwrócił się do niego plecami i skinął niecierpliwie na jednego z trzech strażników przybocznych. - Idź na wieżę, człowieku, dotrzyмай towarzystwa wartownikom. Upewnij się, że nikt nie kręci się po głównych korytarzach. Melduj natychmiast, jeżeli zobaczysz cokolwiek...

Zawiesił głos, bowiem podobnie jak pozostali dosłyszał odgłos kroków i szcęknięcie broni, dobiegające z przyległego korytarza. Odwróciwszy się, ujrzał, że przez nie strzeżone wejście wkraczają karnie do środka dwa szeregi zbrojnych w kotyjskiej purpurze.

- Cesarscy żołnierze! W środku mojego pałacu!!

Równocześnie rozbrzmiały okrzyki towarzyszących mu ludzi:

„Zdrada!”, „Do broni!” Pierwszy do ataku na intruzów ruszył jeden ze strażników księcia. Wsunął przed siebie długie, złowrogo spiczaste ostrze, zwane „spata”, służące doświadczonym zabójcom do dźgania przez szczeliny w zbrojach. Nim zdołał zrobić trzy kroki, w komnacie rozległ się trzask zwalnianej cięciwy kuszy. Bełt przeszył na wylot pierś strażnika i odbił się od ściany przy wielkim świeczniku, zostawiając czerwone plamy na białym marmurze. Impet pocisku obrócił strażnika tyłem naprzód, nim runął bez życia na posadzkę śladem swojego miecza.

W jednej chwili księcia otoczyły dwa kręgi stali: wystawione na zewnątrz ostrza jego obrońców i kolczasty pierścień mieczy, oszczepów i karbowanych bełtów na leżach kusz intruzów. Napastników z cesarskiego legionu było co najmniej dwunastu. Przez chwilę obydwie grupy milczących, napiętych do ostateczności ludzi mierzyły w siebie ostrzami. Potem desperacja w oczach towarzyszy księcia ustąpiła miejsca zdumieniu na widok rozłożystej, ciemnej postaci, która zamaszystym krokiem weszła do środka komnaty.

Był to mężczyzna odziany w purpurę i gronostaje; chroniły go wykute z ciężkiego złota napierśnik i hełm. Twarz intruza o szerokich nozdrzach i dostojnym, wysokim czole rozpoznali wszyscy, mimo iż w Tantuzjum zburzono jego pomniki, a monety z jego podobizną przetopiono. Wyraźnie widać było jego podobieństwo do Ivora, chociaż w rysach młodzieńczo wyglądającego księcia mniej było jeszcze władczości i cynizmu.

Dwóch ostatnich żołnierzy dołączyło do króla Kothu; przystanęli na chwilę, by zamknąć wielkie drzwi. Monarcha ruszył naprzód i rzucił nad barkami swoich zbrojnych rozbawione, zadowolone spojrzenie.

- Mój drogi siostrzeńcze! Mimo że dałem ci zawczasu znać o swojej wizycie, zdaje mi się, że nie raczyłeś przygotować odpowiedniego powitania!

- Strabonus! Skąd się tu wzięłeś? - Ivor dzielnie starał się wyrzucić wrażenie srodze urażonego arystokraty. - Zakradłeś się prosto do mojej sali tronowej, miejsca, skąd bierze

źródło moja władza!

- Tak, jak lis zakrada się do gniazda swoich wrogów, kurnika! - Monarcha uśmiechnął się. - Myślisz, siostrzeńcze, że zabrakło mi przyjaciół w Tantuzjum? A może wydaje ci się, że nie zdążyłem poznać tajemnych przejść w twojej mieścinie i pałacu, w którym w dzieciństwie bawiłem się wraz z twoim ojcem? - Pokręcił głową. - Nie, Ivorze. Nie powstrzymasz mnie swoim tupetem, tak jak nie zatrzymały mnie czaty pod miastem.

Księżę wpatrywał się w niego z pobladłą, napiętą twarzą.

- Jedno moje słowo wystarczyłoby do pojmania ciebie i twoich ludzi.

- A jedno moje skinienie wystarczyłoby, żebyś zginął. - Strabonus uśmiechnął się i rozejrzał z aprobatą po mrocznej komnacie. - Nie wątpię, że zdołałbym później przedrzeć się na zewnątrz - gdybym musiał. Czyż bowiem nie okazałoby się wówczas, że zatwardziali buntownicy zamieniają się na powrót w moich wiernych poddanych?

Powiódł sceptycznym wzrokiem po grupie przyglądających mu się z napięciem zwolenników Ivora. W blasku świec na czole księcia lśniła cienka warstewka potu.

- Dość twoich docinków, wuju. Bez wątpienia obydwaj znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Powiedz lepiej, co chciałeś w ten sposób osiągnąć?

Król odwrócił się od siostrzeńca i założył ręce na piersi.

- Wolałem rozmówić się z tobą osobiście, kuzynie, nie tylko dlatego, że odpowiada to mojemu stylowi - stwierdził wylewnie monarcha. - Liczyłem również, że oszczędzimy sobie sztywności i konieczności przybierania dumnych póz, utrudniających dysputy podczas oficjalnych spotkań. Krewni wszak rozumieją się najlepiej; łączą nas wspólne cele, których nie zdołalibyśmy uzgodnić, gdybyśmy porozumiewali się przez posłów.

- Myślę, że się mylisz, wuju. - Ivor potrząsnął ze zniecierpliwieniem głową, przy czym niesforny kosmyk włosów opadł mu na czoło. - Dotychczas nasze więzy krwi były jedynie źródłem nienawiści i prześladowań.

- Mimo to przynajmniej się rozumiemy. - Monarcha wzruszył ramionami. - Możemy podejmować decyzje w świetle nam tylko znanych faktów, zważając na nasze pochodzenie i... hm, utraconych krewnych. Możemy zrezygnować z próżnych pozorów - chociażby z tego, że postanowiłeś odgrywać rolę natchnionego wodza motłochu.

- Zawsze broniłem ludu przed twoją tyranią - odparł ze zwężonymi oczyma Ivor.

- By umożliwić zapanowanie twojej własnej, czyż nie? - Strabonus powiódł spojrzeniem po kręgu znieruchomiałych mężczyzn. - Dość przekomarzania, porozmawiajmy o rzeczach istotnych. Możesz pozwolić swoim ludziom spocząć.

- Zapewne. No dobrze, chodźmy na podest.

Obydwie grupy zbrojnych ruszyły za Ivorem w głąb komnaty. Widać było, że nadal są gotowi do walki, aczkolwiek zachowywali się już nieco swobodniej. Księżę przycupnął na skraju tronu, jak gdyby nie przywykł do marmurowego siedzenia. Jego świta rozstawiła się blisko niego po obu stronach. Strabonus podciągnął wyściełany podnózek tronu bliżej swojej asysty. Zwalisty król usiadł na nim z westchnieniem ulgi. Jego doborowa straż schowała miecze do pochew, wsparła piki na posadzce i opuściła nieco kusze.

- No, o wiele lepiej. Dzisiejsza podróż okazała się dla mnie nużąca. Przyznam, siostrzeńcze, że wbrew wcześniejszym przechwałkom, zajęcie Tantuzjum i osadzenie na tronie prowincji mojej marionetki nie byłoby dla mnie ani łatwe, ani tanie. Nie mam w tej chwili pod ręką wystarczających do tego celu sił. Owszem, mógłbym nękać twoje wojska i uniemożliwić ci handel z Zachodem, lecz nie zdołałbym cię pokonać, przynajmniej na razie.

- Król naciągnął rękawy swej gronostajowej szaty. - Dlatego też, świadom poparcia, jakim cieszysz się w tej części cesarstwa, będąc zaangażowanym zbrojnie w innych prowincjach uważam za stosowne przedstawić ci warunki ugody. Proponuję, że ustanowię cię wicekrólem Tantuzjum i jego okolic, udzielając ci ograniczonej autonomii. W całym cesarstwie jedynie ja miałbym większą władzę i zwierzchność nad tobą. Twoją domenę ogranicząłyby rzeka Urlaub na zachodzie, a Wzgórza Drakken na wschodzie i południu. Jako władca kotyjskiego terytorium, znajdziesz się pod moją ochroną; jako mój wasal, będziesz zobowiązany udzielić mi zbrojnego wsparcia w razie wojny czy powstania. W zamian za suwerenność, podejmiesz na nowo wypłacanie trybutu, raz w roku, ograniczonego jednak do połowy poprzedniej sumy.

- Król potarł podbródek, pokryty stalowo siwą szczeciną. - Oczywiście, do twojego uznania pozostawię rozmiar nakładanych przez ciebie podatków, byś mógł się należycie wzbogacić.

Wyprostowany Ivor siedział nieruchomo naprzeciw Strabonusa. W jego spojrzeniu odmalowało się połączenie goryczy i skrywanego triumfu.

- Chciałbyś uczynić mnie swoim satrapą? To nawet nie najgorszy układ, skoro rezygnujesz z ograniczania w jakikolwiek sposób mojej władzy. Powiedz mi jednak, wuju, gdybym nawet na to przystał, w jaki sposób byłbyś pewny, że wypełnię warunki ugody, gdy znajdę się poza zasięgiem strzału twoich kuszników? - Obejrzał się na rząd towarzyszących monarsze żołnierzy.

- Pozwól bliżej, Norze - powiedział Strabonus, przywołując do siebie gestem dwóch palców młodszego arystokratę. Księżę wstał, obejrzał się dla pewności, że dwaj pozostali przy życiu strażnicy trzymają się blisko niego, i nachylił się, by dosłyszeć szept króla: - W wypadku dalszego nieposłuszeństwa z twojej strony byłbym zmuszony rozgłosić przez swoich ludzi w Tantuzjum pełną, prawdziwą wersję śmierci mojego brata. - Strabonus utkwiał

w twarzy młodszego mężczyzny nieprzeniknione spojrzenie. - Ponieważ byłeś wówczas jeszcze pacholęciem, możesz nie znać wszystkich szczegółów, lecz zapewniam cię, że nie życzyłbyś sobie wyjścia na jaw prawdy o ojcu, zwłaszcza w sytuacji, gdy pozujesz na bohatera dla ludu. Tak czy inaczej, okrucieństwa jego reżimu sprawiają, że w porównaniu z nimi moje panowanie można nazwać oświeconym. Chociaż większość zapomniała, że twój ojciec parał się zakazaną wiedzą...

Przy tych słowach Strabonus zniżył głos do słyszalnego wyłącznie dla księcia szeptu i nachylił się jeszcze bardziej w jego stronę. Stojący obok nich mężczyźni nie słyszeli słów króla, lecz zobaczyli, że Ivor pobladł, cofnął się i usiadł sztywno na tronie.

- Tak więc, siostrzeńcze, namawiam cię do przyjęcia mojej propozycji. - Strabonus pokrył głośno wypowiedzianymi zdaniem oszołomienie księcia. - Chciałbym, żebyś nie tylko przysiągł przede mną, że będziesz przestrzegać naszej ugody, lecz byś rzeczywiście wziął sobie tę przysięgę do serca. Im szybciej doprowadzę do zapanowania należytego spokoju w tej i paru innych prowincjach Koth, tym szybciej dla wszystkich moich poddanych nadejdą lepsze czasy. - Spojrzał łaskawie na towarzyszy Ivora, jak gdyby byli jego wiernymi dworzanami. - Zdradliwi odszczepieńcy mogą szemrać, że jestem surowym i zachłannym władcą, lecz czy nie dostrzegają, że każdy nakładany przeze mnie podatek, każda ofiara, której żądam, ma na celu większą chwałę Koth? Starając się stworzyć z kotyjskiego wojska najpotężniejszą armię na świecie, czynię to w tylko jednym celu: by inne narody zadrżały przed nami, gdy tylko zobaczą naszą potęgę. Zwiększając zasoby w moim skarbcu, starając się przekształcić Korszemisz w Klejnot Południa, ściągając do niego najwspanialsze dzieła sztuki, najlepszych czarnoksiężników i najrzęczniejszych kupców, zmierzam do celów, które natchną podziwem cały świat.

- Zgadzasz się zatem, wuju, wycofać swój legion z prowincji Vareth, by nie zagrażał mojej flance? Bardzo mi na tym zależy. - Ivor odzyskał równowagę i postanowił skierować rozmowę na interesujące go tematy. Otarł grzbietem dłoni czoło i kontynuował: - Parę spraw w Tantuzjum wymaga naprawy, nim będę mógł cieszyć się pełnią nieskrępowanej, należnej mi władzy.

- Oczywiście, w Vareth pozostanie tylko niewielki garnizon - gdy zapłacisz trybut. - Król przytaknął rażno. - Tak czy inaczej, ten legion jest żywotnie potrzebny w zachodnich prowincjach.

- Książę, powiedz, czy rzeczywiście zamierzasz przystać na tę ugodę?! - odezwał się mężczyzna u boku Ivora - brodaty generał Torgas, którego zarumienione policzki świadczyły o wielkim wzburzeniu.

- A jakie jest twoje zdanie, generale? - Ivor popatrzył na Torgasa zmrużonymi oczyma.  
- Nie obawiaj się, powiedz otwarcie, co myślisz.

- Książę, oto stoi przed nami tyran, którego tak żarliwie staraliśmy się obalić! - Generał zacisnął dłoń na rękojeści miecza z hamowaną pasją. - Sam mówiłeś, że to wcielony diabeł! Myślę, że nie można tak łatwo załagodzić naszej waśni... Nie jestem też pewny, czy twoi zwolennicy pogodziliby się z takim obrotem sytuacji... - Głos uwiązał generałowi w gardle.

- Lud, jak zawsze, pogodzi się z tym, czego do końca nie pojmuje. - Książę wstał i zwrócił się do wszystkich: - Co do mnie, zamierzam w pełni wykorzystać zaproponowane przez króla przymierze. Mam nad szlachtą i armią, jak sędzę, pełną kontrolę. - Książę zatrzymał na moment spojrzenie na generale Torgasie. - Uważam wobec tego, że jedynym zagrożeniem dla mnie może być zgraja najemników stacjonujących przed bramami Tantuzjum. - Rzucił okiem na Braga i towarzyszących mu mężczyzn. - Oczywiście, z wyjątkiem ciebie, kapitanie. Wiesz, że z całą pewnością dotrzymam naszego specjalnego układu, lecz szczerze mówiąc, brak mi pieniędzy dla spłacenia pozostałych dowódców.

- Niezdrowa sytuacja. - Brago pogładził z namysłem swe jasne wąsy. - Wiesz, że najemnicy nie odstąpią pokornie od miejskich murów.

Ivor przytaknął.

- Myślałem, że pomożesz mi znaleźć sposób na pozbycie się ich - oczywiście za godziwą zapłatę.

- Takie usługi to mój zawód, panie - potwierdził Brago z uśmiechem.

- Widzę, że jesteśmy ulepieni z jednej gliny, książę: zawsze staramy się oszczędzić parę groszy! - zaśmiał się serdecznie Strabonus.

- Może zdołałbym okazać się pomocny - rozległ się w tym momencie wąty głos.

Wszyscy zebrani obrócili się na dźwięk słów, dobiegających z pogrążonego w cieniu środka komnaty. Książę raptownie podniósł głowę; Strabonus odwrócił się na podnóżku i wbił wzrok w niezgrabną postać w jedwabnych szatach. Był to czarnoksiężnik Agohoth, kłaniający się nieśmiało ze złożonymi na brzuchu dłońmi.

- Jak się tu dostałeś? - zapytał groźnie Strabonus.

- Królu, książę, raczcie mi wybaczyć. Nabyte w odległym Kitaju umiejętności pozwalają mi dostać się wszędzie tam, gdzie chcę, gdy dzieją się sprawy wielkiej wagi. - Agohoth uklonił się znowu. - Wartownicy nie widzieli nic - najwyżej przemykającą się nad progiem żółto-czarną ćmę.

Nerwowym machnięciem ręki wskazał dwóch żołnierzy, stojących przy wejściu



z wzniesioną bronią i rozdziawionymi ustami.

- Ach, siostrzeńcze, pozwól mi na chwilę zastanowienia - rzekł król, utkwivszy wzrok we wciąż bacznie pilnowanym przez strażników Iworze. - Słyszałem, że na twoje usługi oddał się niezmiernie potężny czarownik. Bez wątpienia mamy go właśnie przed sobą.

- Owszem. Oto Agohoth, mój sprzymierzeniec z... ze Wschodu. Potęga tego maga jest zdumiewająca jak na kogoś tych lat i postury. Podejrzewam, wuju, że w tej chwili nawet ty nie jesteś wobec niej bezpieczny. Proszę, podejdz do nas, czarnoksiężniku! - powiedział Ivor z uniesieniem, jak gdyby czuł, że pojawienie się Agohotha wzmacnia jego pozycję.

Czarnoksiężnik ruszył w stronę arystokratów. Żołnierze pospieszyli osłonić swojego monarchę, lecz mag nie przestawał okazywać Strabonusowi niezmiernego respektu, bezustannie się kłaniając i zatrzymując się kilka kroków od niego.

- Wasza cesarska wysokość, to szczęście słyszeć, że zawarłeś pokój z księciem. Czytałem o Korszemisz i jego niezliczonych cudach; żywię głęboką nadzieję, że kiedyś odwiedzę twoją stolicę.

- Spełnienie twego marzenia sprawiłoby mi przyjemność, magu - odparł król. - Zawsze uważałem, że Hyborejczykom przydałoby się poznać wiele mistycznych tajemnic Wschodu. Jeżeli twoje zaklęcia są tak potężne, jak wieść niesie, mogłyby okazać się dla mnie użyteczne.

- Wspaniale, panie! Powierzenie swych usług możliwym tego świata jest regułą mojej sekty. Im dostojniejszy władca, tym więcej przysparza nam to sławy - zwrócił się Agohoth do króla, nie zwracając uwagi na Ivora.

- Pamiętaj, że zostałeś zobowiązany do służenia mnie! - przypomniał mu cierpko książę. - Mogę cię jeszcze potrzebować.

- Ach, tak, książę. - Agohoth spojrział nań z roztargnieniem. - Chciałem powiedzieć, że jeśli trapią cię najemnicy, mógłbym spróbować coś wymyślić... Wszak okazali się wobec mnie nieprzyjaźnie nastawieni... Zapewne zdołałbym w ciągu kilku godzin obmyślić czar...

- Chcesz spuścić na nich jakąś czarodziejską okropność? - zapytał Ivor z uniesionymi brwiami.

- Tak, panie. To możliwe... nawet jeszcze tej nocy. Oczywiście, najlepiej byłoby, gdyby otoczyły ich inne oddziały. Rozumiesz, niektórzy mogliby próbować uciec...

- Brago, można by wykorzystać do tego celu twoją kompanię, jak sądzę?

- Jeżeli tylko zaklęcia czarownika nie padną na moich ludzi. - Jasnowłosy wojownik rażno pokiwał głową.

- Oczywiście - przytaknął Agohoth. - Ach, książę, upraszam cię z głębi serca, pozwól

mi ruszyć do stolicy, gdy wypełnię dla ciebie to zadanie.

- Kiedy nie będziesz mi już potrzebny, pošlę cię z eskortą na królewski dwór. - Ivor skinął głową ze zniecierpliwieniem. - Może stanie się tak już jutro, może. nieco później - oczywiście, pod warunkiem, że mój wuj wyrazi zgodę na twoją wizytę.

- Naturalnie, dlaczego nie? - Strabonus klepnął się po obleczonym w futro udzie. - Pozwolę sobie stwierdzić, Ivorze, że raduje mnie oglądanie twej zdrady. Żałuję, że nie będę mógł zobaczyć, jak pozbędziesz się najemników, lecz muszę zaraz ruszać w drogę powrotną. - Potrząsnął głową z zawodem. - Chciałbym jednak wykorzystać twoją gościnność w jeszcze jednej kwestii: pragnę ujrzeć jakiś dowód niezwykłej mocy tego młodzieńca. Czy raczysz zrobić to dla twojego starego monarchy? - Odwrócił szeroką, ogorzałą twarz od Ivora i z zachłannym błyskiem w oku spojrzał w stronę czarnoksiężnika.

- Może. - Zirytowany książę skinął z niechęcią głową, lecz Agohoth aż palił się do udowodnienia swej mocy.

- Tak! Spróbuję przywołać czarami jakąś pomniejszą magiczną istotę - na przykład wir stali. - Sięgnął za pas i ostrożnie wyciągnął spod niego nie broń, lecz zwój pergaminu. - Gdyby ktoś raczył mi podtrzymać... wielkie dzięki.

Na znak króla jeden z żołnierzy podtrzymał zwój za drewniane szpule przed Agohothem. Czarnoksiężnik nachylił się do przodu i utkwiał wzrok w tekście, pomagając sobie kryształowym amuletem. Mimo głębokiego mroku, najwyraźniej był w stanie odcyfrować blade, nierówne rzędy liter. Po paru chwilach przeniósł spojrzenie na króla.

- Panie, mam wyjątkową prośbę. Do tego czaru wszyscy powinni odłożyć miecze. Tutaj, jeśli łaska...

Strabonus spojrzał na Ivora. Książę wzruszył ramionami z rezygnacją. Obydwaj mężczyźni wyciągnęli miecze i złożyli je przed sobą na ułożonych we wzór gwiazd płytach marmuru. Za ich przykładem choć niechętnie i z szemraniem, poszli członkowie obydwóch grup. Żołnierze Strabonusa zachowywali większy spokój, bowiem części z nich - włącznie z dwójką przy wejściu - zostały włócznie i kusze.

Wkrótce przed czarnoksiężnikiem i podtrzymującym przed nim zwój mężczyzną leżało naręcze mieczy.

- Dziękuję, panowie...

Wolną dłonią Agohoth nakazał cofnięcie się ostatnim z żołnierzy, utkwiał na powrót wzrok w pradawnym dokumencie i zaczął mrużyć w niezwykle, śpiewny sposób.

Zrazu nic się nie działo. Żołnierze króla z jednej strony i zwolennicy Ivora z przeciwnej wpatrywali się w pustą przestrzeń pośrodku komnaty, na której zdawał się

skupiać uwagę czarnoksiężnik. Mag wykonywał dłonią w powietrzu gesty, przypominające próbę wyrzeźbienia z ciemności jakiejś osobliwej postaci.

Po paru długich chwilach bez widocznych rezultatów widzowie zaczęli wiercić się niespokojnie. Jeden z królewskich żołnierzy nerwowo parsknął śmiechem. Nim jednak przebrzmiało echo jego chichotu, rozległ się inny dźwięk - słaby, lecz przenikliwy syk, przypominający odgłos pełzania wielkiego węża po kamieniach. Gdy dotarł do uszu widzów, ucichli zaniepokojeni.

Po chwili można było już rozpoznać źródło dźwięku. To stal ocierała się o marmur. Miecze u stóp Agohotha zaczęły drgać i przesuwac się po posadzce. Niektóre z ostrzy przemieszczały się ze zgrzytem po podłodze w zdawałoby się celowy sposób, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka przegarniała stos broni.

Szybkość ruchów mieczy narastała wraz z tempem mowy i ruchów czarnoksiężnika. Wreszcie ze szczękiem i zgrzytem miecze wzniosły się w powietrze, tworząc sięgającą wzrostu dorosłego mężczyzny, wirującą kolumnę.

Wypełniona ożywioną stalą powietrzna trąba wisiała przez moment w miejscu. Inkrustowane klejnotami głównie szlacheckich mieczy migotały wielobarwnie wśród pospolitego oręża. Wirujące ostrza powodowały raczej syczący szum niż szczęk, lecz w miejscu, gdzie podstawa stalowej zawieruchy dotykała posadzki, sypały się skry.

Gdy Agohoth wykonał obszerny gest ramieniem, wirująca kolumna mieczy pomknęła gładkim łukiem w poprzek sali. Przed ścianą, zwolniła i skręciła w bok. Pęd wzburzonego powietrza wydał wysokie kotary. Kolumna mieczy zawróciła i pomknęła w stronę przerażonych widzów. Nim zdążyli pierzchnąć na boki, ożywiony arsenał skręcił na środek sali i stanął, kołysząc się i zataczając ciasne kręgi.

Strabonus odwrócił się do Agohotha. Czarnoksiężnik przestał czytać pod nosem i nakazał odsunąć się drżącemu mężczyźnie ze zwojem. Mag jednak nadal sprawował kontrolę nad niezwykłym zjawiskiem, zaciskając rytmicznie dłoń w powietrzu.

- Wspaniale, czarnoksiężniku! - Król nachylił się ku młodzieńcowi o postronkowatych włosach. - I co dalej? Co jeszcze potrafisz za pomocą mieczy?

- Wasza wysokość, zaklęcie wymaga jeszcze jednego komponentu. - Agohoth nie spuszczał wzroku z wirujących ostrzy i nie przestawał gestykulować. - Przywołałem bojowego ducha, którego jedynym zadaniem jest zabijanie. - Urwał, nie radząc sobie ze skleceniem prostego zdania. - Zanim go odeślę, trzeba mu oddać w ofierze życie. - Rzucił krótkie, wyczekujące spojrzenie na monarchę.

- Złożyć mu ludzką ofiarę, tak? - mruknął Strabonus.

Ściągnął brwi i popatrzył z namysłem na Ivora, stojącego za czarnoksiężnikiem. Księżę cofnął się z obawą; jego zwężone oczy świadczyły, że dobrze rozumiał znaczenie słów Agohotha.

Po chwili król uśmiechnął się i łaskawie skinął głową Ivorowi.

Dając siostrzeńcowi wymownym spojrzeniem do zrozumienia, że zezwala mu na samodzielne dokonanie wyboru.

Ivor odwrócił się i szepnął parę słów strażnikowi u swego boku, równocześnie łowiąc niepewne spojrzenie jednego z generałów. Drugi, brodaty Torgas, stał między nimi w milczeniu, pochłonięty bez reszty widokiem roztańczonej stali. W jego spojrzeniu lśnił blask przerażenia.

Słudzy Ivora skinęli głowami i przysunęli się bezszelestnie do Torgasa. Na przyzwalający znak księcia obydwaj chwycili generała i wypchnęli go przed stłoczoną grupkę widzów.

Zaskoczony mężczyzna wydał zdławiony krzyk, potknął się i runął na śliską posadzkę. Próbował dźwignąć się na nogi, lecz nie będąc w stanie oderwać wzroku od wirujących ostrzy parę kroków przed sobą, potknął się o własny płaszcz i przewrócił z powrotem. Agohoth skwitował postępek księcia krótkim skinieniem głowy. Mag powiódł spojrzeniem ciemnych oczu znad ostrego nosa za generałem; w tym momencie jego oblicze przypominało polującego jastrzębia. Zręcznie uczynił kilka gestów, które spowodowały, że wir stali zaczął zbliżać się do odosobnionego dowódcy.

Torgas zdołał podnieść się z posadzki i zaczął powoli cofać się przed rozmigotaną kolumną w stronę swoich towarzyszy. Ci jęli już rozstępować się nerwowo, gdy nagle stalowy wir zatoczył łuk i odciął generałowi drogę odwrotu. Szybkość manewru w niezmierny sposób ożywionych mieczy odebrała Torgasowi resztki opanowania. Generał z krzykiem rzucił się do ucieczki w stronę żołnierzy przed wejściem.

Nie miał jednak najmniejszej szansy umknąć ożywiającemu miecze demonowi. Parę ruchów dłoni Agohotha i chwiejący się mężczyzna został zmuszony do skręcenia pod przeciwległą ścianę, a moment później - do zawrócenia. Torgas przeskoczył przez zwłoki zabitego strażnika i popędził w stronę zalegającego pod galerią po przeciwnej stronie komnaty cienia.

Nie wiadomo, czy Agohoth znużył się igraniem z ofiarą, czy też obawiał się, że Torgas znajdzie bezpieczne schronienie pod balkonem. Tak czy inaczej, postanowił zakończyć widowisko i wysunawszy energicznie dłoń przed siebie sprawił, że kolumna mieczy runęła na nieszczęsnego generała.

Gardłowy, przeszywający wrzask i szcęknięcie mielących ciało zaczarowanych ostrzy świadczyły o ich morderczej skuteczności. Przez chwilę srebrzystą kolumnę otoczyła czerwona fontanna krwi, bryzgającej łukowato na wszystkie strony, lecz zaraz potem hałas i ruch straciły na natężeniu.

Kolumna ostrzy skręciła w bok i oddzieliła się od poharatanej, szkarłatnej masy, która runęła na posadzkę. Miecze wirowały jeszcze przez chwilę, coraz niżej i wolniej, po czym z głośnym łoskotem zwały się na posadzkę.

## XII

### NIEPOŻĄDANI ŚWIADKOWIE

Po chwili niezręcznego milczenia, zgromadzeni w wielkiej komnacie ludzie ruszyli do przodu, by przyjrzeć się skutkom zaklęcia Agohotha. Czarnoksiężnik wyszedł przez drzwi jak zwyczajny śmiertelnik, nie racząc rzucić nawet słowa Ivorowi. Straż przyboczna księcia na jego rozkaz przestawiła wielkie świeczniki. Nim gwardziści zdołali zbliżyć się do szczątków Torgasa, jeden z doborowych weteranów Strabonusa odwrócił się pobladły i ze znękanym wyrazem twarzy przyłożył dłoń do ust.

Pozostali omijali zbrukaną krwią posadzkę i sięgali po swoją broń. Gdy przystąpili do czyszczenia główki mieczy, okazało się, że czar sprawił, iż stały się tak ostre, iż można było nimi rozszczebiać włosy.

- Uwaga! Między nami są szpiedzy! - rozległ się w tym momencie czyjś krzyk.

- Stać! - zawołał jeden z żołnierzy Strabonusa.

- Łapać zdrajców - zawtórował mu król, wznosząc miecz i dając znak do działania ludziom swoim i księcia.

Strażnicy rzucili się za trzema uciekającymi postaciami, których obecność wypatrzone pod balkonem w blasku przenoszonych świeczników. Jednym z intruzów była kobieta, rozpoznanie drugiego uniemożliwił zielony płaszcz leśnika, lecz trzeciego nie można było z nikim pomylić. Wielki, czarnowłosy, ubrany w zbroję złożoną z przypadkowych części mógł być to tylko Conan, kłopotliwy Cymmerianin.

- Weźcie ich żywcem, jeżeli zdołacie! - dorzucił Ivor do królewskiego rozkazu.

- Uciekająca trójka zdołała oderwać się od prześladowców. Intruzi dotarli do jednych ze schodów, prowadzących na galerię. Zwalisty barbarzyńca praktycznie wepchnął swoich towarzyszy na stopnie i ruszył wolniej za nimi, osłaniając ich tyły. Gdy znalazł się na szczycie schodów, zniknął z pola widzenia ścigających - tuż zanim bełt z kuszy roztrzaskał się o stopień, na którym barbarzyńca stał jeszcze przed chwilą.

- Za nimi! Ruszcie się! - krzyczeli wdzierający się na schody strażnicy.

W chwilę później pierwszy z nich natknął się na Cymmerianina na galerii. Po krótkiej, zażartej walce skrwawiony żołnierz runął bezwładnie na swoich towarzyszy. Ci, którzy nie zdołali ucześcić się balustrady schodów, potoczyli się w dół.

Ponawiane co chwila ataki okazały się nieskuteczne wobec siły i lepszej pozycji barbarzyńcy. Widząc to, Ivor poprowadził grupę wartowników drugimi, nie bronionymi

schodami. Wobec groźby wzięcia w kleszcze, zajadły wojownik porzucił swoją pozycję.

Strażnicy popędzili balkonem ku wyjściu w głębi. Jednoskrzydłowe drzwi nie miały zasuw i otwierały się w stronę galerii. Wartownicy uporali się z nimi bez trudu, lecz za progiem czekał na nich zdyszany, rozwścieczony barbarzyńca. Barki Cymmerianina niemal całkowicie zagradzały wejście. Za Conanem ciągnął się pusty korytarz; pozostali uciekinierzy zdążyli już zniknąć.

Drzwi były tak wąskie, iż mógł przez nie przejść tylko jeden człowiek naraz. Cesarski żołnierz, który dotarł do nich pierwszy, starał się zachować ostrożność. Zatrzymał się w progu i dźgnął przed siebie mieczem, by wypróbować siłę barbarzyńcy, ale potężny cios Conanowego dwuręcznego miecza rzucił go na kolana. Dwaj strażnicy za jego plecami natychmiast pchnęli włóczniami w stronę barbarzyńcy, lecz Cymmerianin przeciął mieczem jedną z nich, drugą zaś złamał o ościeżnicę, wsparłszy na niej cały ciężar zakutego w zbroję ciała.

Los towarzysza sprawił, że kolejni wartownicy unikali zbliżania się do wejścia. Kręcili się niepewnie w miejscu, czekając na kuszników. W końcu wypchnęli przed siebie jednego z nich, szczupłego mężczyznę o oliwkowej skórze. Kusznik starannie wybrał bert z kołczana przy pasie, umieścił go w rowku leża, uniósł broń - i ujrzał rozjuszonego Cymmerianina wypadającego z nie strzeżonego wejścia, by go zaatakować.

Ostrze miecza Conana trafiło w lakierowaną, wielowarstwową, napiętą cięciwę. Kusznik skulił się, lecz olbrzymia sprężystość łuku sprawiła, iż jedna z odciętych połówek sznura trafiła go ze straszliwą siłą w twarz. Mężczyzna zawył i zwałił się na podłogę, przyciskając dłonie do skrwawionych oczodołów.

Pozostali żołnierze przypadli do drzwi z gniewnymi okrzykami - lecz żaden z nich nie śmiał zaryzykować znalezienia się w zasięgu świszczącego w oszałamiającym młyńcu miecza Conana.

- Chodźcie do mnie, psy! - krzyknął wyzywająco barbarzyńca. - Tak wygląda kwiat kotyjskiej armii?! Przejdźcie przez próg, powiadam!

Szyderstwa barbarzyńcy pozostały bez odpowiedzi, bo żołnierze dobrze zdawali sobie sprawę, co może ich spotkać. Po chwili drugi kusznik uniósł swą broń, tym razem osłaniany przez dwóch strażników w ciężkich zbrojach. Niepotrzebny był do tego żaden rozkaz.

Conan spojrział śmierci w oczy i zdał sobie sprawę, że może być ona mniejsza od wróbla. Ślepy instynkt sprawił, że wzniosł przed siebie miecz w chwili, gdy zaśpiewała zwolniona cięciwa.

Impet uderzenia bełtu wstrząsnął ramieniem barbarzyńcy. Ostrze miecza pękło na

dwie części, lecz jakimś cudem zdołało zmienić tor pocisku. Nim utracony kawałek stali upadł na podłogę, żołnierze zaroili się w wejściu. Pierwszy z nich wepchnął włócznię pod nogi zrywającego się do ucieczki Conana. Pozostali okrążyli leżącego Cymmerianina i zaczęli odkładać go kopniakami oraz ciosami pięści i drzewców broni.

- Kazałem wziąć go żywcem! Muszę go przesłuchać! - wołanie Ivora przebiło się ponad nad łomot ciosów. - Co z pozostałymi dwoma?

- Już dawno umknęli, panie! - zameldował pozostały przy życiu generał. - Barbarzyńca osłaniał ich ucieczkę.

- Przeszukajcie korytarze i komnaty! Mogą jeszcze tu być więc odetnijcie wszystkie wyjścia z zamku! - Ivor utkwiał złowróżbne spojrzenie w poddanych. - Nikomu nie wolno rozpowiadać o tym, co się tu stało, zrozumiano?!

- Szybko to poszło, mój młody wicekrólu! - Stojący pośród grupy strażników w drzwiach Strabonus zaśmiał się gromko. - Już w chwil twego triumfu rozpadła się nieskalana jedność twojej sprawy. Owoc, po który sięgnąłeś, zaczyna gnić ci w ręce. Od tej pory co najmniej połowa poddanych będzie spiskowała przeciwko tobie. Czeką cię odwieczna zabawa władców: gra podstępów, zdrady i odwetu. Już nigdy nie zaśniesz w spokoju ducha, nie zaznasz chwili ukojenia! - Król zaniósł się rubasznym śmiechem, podczas gdy Ivor nakazał związać półprzytomnego Cymmerianina sznurami od zasłon. - Taki jest los monarchów, lecz musisz samotnie stawić mu czoło. Jeszcze tej nocy ruszam w nużącą drogę powrotną. Przyjmuję, że nadal chcesz trzymać się naszej umowy? - Zaczekał na niechętnie skinienie głową księcia, po czym stwierdził: - Bardzo dobrze. Przydziel mi zaufanego człowieka, bym mógł pokazać mu tajemne przejście, którym się tu dostałem, albo chodź sam, jeżeli nikomu na tyle nie dowierzasz. - Król zarechotał raz jeszcze na widok wrogiego spojrzenia Ivora, po czym wskazał szarpiącego się Conana. - Uważam, że powinieneś natychmiast zabić tego łotrzyka. Wygląda na takiego, który mógłby nam później narobić kłopotów. - Wyszedł z powrotem na galerię. - Hej, żołnierze, wychodzimy!



### XIII

## LOCH

Płonące pochodnie, kłębiące się ciemne kształty i chrapliwe głosy... Conan zmrużył zachodzące mgłą bólu oczy, by dojrzeć sylwetki tych, którzy go pojмали. Za każdym razem, gdy na tle blasku pochodni dostrzegał gwałtowny ruch, napinał mięśnie i wciskał głowę w ramiona dla ochrony przed spodziewanym uderzeniem, lecz jego wysiłki nie- wiele dawały. Miał związane za plecami nadgarstki, a skrępowane kostki połączono z resztą pęt odcinkiem sznura długości rozstawionej dłoni. Nie miał szans uniknąć ciosów prześladowców.

Uszu Cymmerianina dobiegło sieknięcie z wysiłku.

- Aaarh! - W trzewiach barbarzyńcy rozlała się fala szkarłatnej męki, gdy z boku trafiła go niewidzialna pięść. Conan skręcił się w więzach, zwalczając chęć zwymiotowania wszystkich wnętrzności, lecz natychmiast poczuł wzdłuż kręgosłupa odrętwiające pulsowanie nieznośnego bólu po kolejnym ciosie w kark. Tuż potem następny cios w oczodół, twardy jakby zadano go stalową maczugą, wstrząsnął wszystkimi kośćmi jego czaszki. Cymmerianin osunął się na kamienny mur.

- Gadaj, barbarzyńco, kto był z tobą dziś w nocy? - Rozległ się w pobliżu przenikliwy głos; Conan rozpoznał, że mówiącym był Ivor. - Z kim spiskowałeś? Jestem pewny, że nie tylko z najemnikami. - Cymmerianin poczuł, jak prześladowca zaciska palce na skórze jego brody i unosi mu głowę w górę. - Mów, rozkazuję ci!

- Pfuj!

Ślina, która pociekła z opuchniętych warg na jedwabny mankiet księcia, była różowa od spienionej krwi. Conan dosłyszał przekleństwo. Po ciosie w policzek uderzył skronią o mur. Na jego ciało spadła nowa seria uderzeń. Cymmerianin poczuł, że osuwa się po kamiennej ścianie. Zwalił się na posadzkę wśród fajerwerków rozkwitających przed oczyma gwiazdozbiorów.

- Twoje wysiłki na nic się nie dadzą - powiedział Ivor. W uszach Conana głos księcia pobrzmiwał niesamowitym echem na tle szumu w głowie. - Ten łotr prędzej odgryzie sobie język niż coś powie. To bez znaczenia, bo znam już odpowiedzi na moje pytania.

Gardła Cymmerianina dotknęła lodowata stal.

- Mam go zabić, panie?

- Nie, zajmie się nim kat. - Głos księcia cichł co chwila, jak gdyby Ivor na zmianę przybliżał się do Cymmerianina i odsuwał na niezmierną odległość. - Za mojego panowania

stare pałacowe podziemia obsadzono strażnikami i wyposażono specjalnie dla więzienia takich łotrów. Gdybym miał tylko trochę czasu... ale muszę dopilnować likwidacji najemników przez Agohotha i Braga. Podnieście go.

Conana chwycono brutalnie pod pachy i dźwignięto na nogi.

- Panie, doszły mnie pogłoski, iż zdjąłeś pieczęcie z lochu - rozległ się w tej samej chwili ostrożny głos. - Czy jesteś pewien, że postąpiłeś słusznie. Pamiętasz na pewno krążące o nim opowieści? W dawnych czasach kryły się tam okropności, o których pamięć jest wciąż żywa...

- Bzdury! - przerwał książę. - Nie zamierzam dać się odwieść od skutecznego rządzenia z powodu bająn starych bab. Mój ród musi odzyskać pełnię władzy! Pałac bez lochu jest jak człowiek bez wnętrzości. Doskonale, że krążą takie opowieści. Dzięki nim moi więźniowie będą się tym bardziej bali. Hm, podsunąłeś mi do- skończył pomysł. - Głos Ivora zaczął ponownie brzmieć bliżej ucha Conana. - Jeszcze tej nocy przykujemy renegata w lochu. Rano będzie wyłazić ze skóry, by wyznać nam swoje sekrety! - Złowieszczy głos jeszcze raz przycichł. - Czuję, że jego niechęć do czarów i kontaktów z zaświatami ma więcej wspólnego ze strachem niż prawością ducha. Wynieść go!

Conana ponownie dźwignięto w górę i powleczono nie kończącymi się korytarzami. Spętane stopy Cymmerianina obijały się boleśnie o stopnie pokonywanych kamiennych schodów. Barbarzyńcę mijały zdające się płynąć w powietrzu pochodnie, dobiegały go wykrzykiwane surowymi głosami rozkazy. Nieustannie potykał się i obijał sobie kolana. Dźwigający go brutalnymi szarpnięciami z klęczek prześladowcy boleśnie naciągali mu mięśnie ramion.

Wartownicy zatrzymali się wreszcie w zimnym, wilgotnym korytarzu, po którym niosło się echo kapiących kropel wody. Oparli Cymmerianina o masywne, pokryte śnieżką metalowe drzwi. Conan usłyszał ciepłe skrobanie klucza w zardzewiałym zamku.

Głowa barbarzyńcy opadła w tył. Dojrzał przez chwilę kamienny zwornik łuku wejścia: klinowaty blok, ozdobiony rzeźbionym symbolem na poły schowanego pod horyzontem słońca - nie wiadomo, wschodzącego czy zachodzącego. Balansując na skraju świadomości, Conan przez kilka chwil przyglądał się grze odbłyśków światła na osobliwym emblemacie. Nie wiedzieć czemu wywarł on na barbarzyńcy wielkie wrażenie.

Wreszcie rozległ się przenikliwy odgłos skrzypienia wielkich zawiasów. Conana raz jeszcze pchnięto naprzód.

Pomieszczenie, które ukazało się w świetle pochodni, stanowiło niezwykłą mieszaninę starego i nowego. Wytarte, zdradliwe stopnie opadały stromo do znajdującej się poniżej

poziomu korytarza podłogi. W kątach celi zalegały przygnębiające, złowieszcze cienie, lecz widać było, że dołożono wielu wysiłków, by połączyć splekane ściany. Część lochu zajmowały sterty przyciętych bloków kamienia i koryta z zaprawą. Świeże belki podpierały osiadający od starości łuk, prowadzący do pograżonych w całkowitych ciemnościach dalszych części lochu.

Prześladowcy pchnęli Conana pod boczną ścianę. Na prastarych kamiennych blokach zwisały lśniące kajdany. Cymmerianin potknął się i upadł na posadzkę. Dwaj mężczyźni podnieśli go i nie pozwolili się mu ruszyć, podczas gdy trzeci zamknął mu na szyi ciasną obrozę i przeciągnął łańcuch przez jej ucho.

Przez kilka dłużeń się w nieskończoność minut wartownicy rozklepywali w ostatnim ogniwie łańcucha wielki miedziany nit, by więzień nie zdołał zerwać obroży.

- Do rana powinno wytrzymać - oznajmił Ivor. - Rozetnijcie sznury i zabierzcie je, żeby nie spróbował się na nich powiesić. Jeden z was... ty! - Masz go pilnować. Zamknij drzwi i nie wchodź do środka. Chcę, żeby w samotności porozmyślał o swoim nieposłuszeństwie. Nastawiaj ucha na wypadek, gdyby zechciał wszystko wyznać, nim noc dobiegnie końca. - Księżę zwrócił się do skutego więźnia: - Zostawiam cię samego, barbarzyńco, pogromco czarnoksiężników i prześmiewco królów – chyba, że już teraz zechcesz uwolnić się od zdradzieckiej wiedzy, by nie stać się żerem dla zamieszkujących to podziemne królestwo upiorów. - Ivor przysunął się bliżej Cymmerianina. - He? Co mi odpowiesz?

Conan odruchowo napiął do ostateczności łańcuch, ocierając swój kark o chropowaty metal obroży. Nie zdołał jednak zacisnąć wyciągniętych dłoni na gardle księcia. Mógł odpowiedzieć jedynie pogardliwym prychnięciem.

- W takim razie idziemy. Życzę dobrej nocy. - Odwracając się, Ivor rozkazał jeszcze: - Zabieramy pochodnie ze sobą.

## XIV

### WIĘŹNIOWIE

Gdy drzwi ze skrzypieniem zamknęły się za księciem i strażnikami, Conan znalazł się w całkowitej ciemności i ciszy. Łomotanie bólu w czaszce Cymmerianina stało się nagle ogłuszającym hałasem, zdającym się rozsadzać otaczającą go pustkę. Przed piekącymi oczyma barbarzyńcy wirowały upiorne światła, tańczące na tle okalającej go ze wszystkich stron czerni. Mimo to czuł, że z wolna odzyskuje niespożyte, wyniesione z dzikich rodzinnych stron siły witalne.

Po nie kończących się, wypełnionych zawrotami głowy próbach Cymmerianin osunął się ostrożnie po murze, starając się uniknąć szorowania sińcami i zadrapaniami na grzbiecie po nierównych kamieniach. Zamarł nieruchomo, czekając, aż odzyska dech w piersiach i aż uspokoi się jego kołające serce.

Doszedłszy do siebie, zaczął przeciągać się i napinać mięśnie, by sprawdzić, jak mocno został poturbowany. Aczkolwiek skórzana przepaska chroniła jego pachwinę, pulsował w niej palący jak płynne żelazo ból, wnikający we wszystkie kończyny przy każdym, choćby najmniejszym ruchu. Paliło go też w piersiach; zdawało mu się, że wyczuł złamane żebro przez lnianą koszulę, w której został gdy prześladowcy zdarli z niego zbroję. Licząc za pomocą języka zęby, natrafił na parę obłuzowanych i jeden wyszczerbiony tak, że jego ostra krawędź przecinała wargi. Mimo to sama masa jego mięśni wystarczyła, by znacznie wytłumić siłę ciosów prześladowców. Cymmerianin czuł się w miarę nieźle - za co w milczeniu złożył podziękowania Gromowi, Mitrze i pomniejszych bogom.

Wspomnienie istot z zaświatów sprawiło, że jego myśli zwróciły się ku plotkom, że lochy są nawiedzone. Ivor mówił o stworach, żywiących się ludzkim mięsem... Dreszcz niepokoju spowodował, że włosy na karku i ramionach Cymmerianina stanęły dęba.

Usiłował przeniknąć nadwężonym słuchem i wzrokiem otaczające go ciemności, równocześnie wciągając w nozdrza ich woń, smakując na języku mrok, chłonąc skórą lodowate powiewy. W piersi barbarzyńcy wzbierał dławiący strach. Za jego reakcją nie krył się nawet cień przesądów; Conan wiedział bez cienia wątpliwości, że potworni mieszkańcy nocy istnieją naprawdę. Istnym cudem byłoby, gdyby w podziemnym labiryncie nie było żadnego z nich.

Cymmerianin usiłował opanować łomotanie serca, gotując się do walki tak, jak gdyby groził mu atak nieprzyjaciół w ludzkiej skórze. Nie zdołał jednak odzyskać spokoju; nie

sposób było chociażby podejrzewać, jaką postać mogą przybrać ewentualni napastnicy. Niebezpieczeństwo czyhało gdzieś w mroku; być może nawet w tej chwili uzbrojone w kły i pazury stwory skradały się ku niemu w ciemności. Barbarzyńca zacisnął szczęki do bólu, starając się wziąć w karby rozpętaną wyobraźnię.

Conan postanowił wreszcie zająć się czymś, co pozwoliłoby mu oderwać się od ponurych rozmyślań. Zacisnął dłonie na łańcuchu przy obroży, lecz próby ukręcenia go lub zerwania okazały się bezskuteczne. Łańcuch był nowy, wykuty z grubych ogniwi. Przetarcie miedzianego nitu przy szyi zabrałoby kilka dni żmudnego wysiłku. Pierścień przy ścianie również wykonano z solidnego metalu, a obroża tak ciasno obejmowała szyję Cymmerianina, że nie mógł dosięgnąć zawiasu na karku.

Barbarzyńca dźwignął się z wysiłkiem na równe nogi, przygryzając wargi, by nie jęczeć z bólu. Łańcuch łączył obrożę z pierścieniem na ścianie tuż nad jego głową. Cymmerianin obrócił się kilkakrotnie, by go napiąć.

Ogniwa były zbyt grube, by łańcuch dał się łatwo skrócić. Skrzypiący, trzeszczący dźwięk i osypywanie się kamiennych okruchów świadczyły, że pierścień był luźno osadzony w murze.

Uniesienie dodało barbarzyńcy sił. Przechylił się w tył, wparł obydwie stopy w sandały o mur i przenosząc częściowo ciężar ciała na łańcuch i szarpnął. Trzpień pierścienia utrzymał się w murze. Tak silny opór kazał domyślać się, że łączył się z blachą lub drugim pierścieniem po przeciwnej stronie ściany.

Obolały, zdyszany Cymmerianin osunął się na posadzkę, obrzucając obelgami tych samych bogów, którym chwilę wcześniej składał podziękowania. Nie przychodził mu do głowy żaden sposób ucieczki. Ogarnęła go bezmierna rozpacz na myśl o losie swoim i przyjaciół. Eulalia i baron Stefany wymknęli się ludziom księcia -przynajmniej na razie - Ivor zasugerował jednak, że wie, kim są. Czy szlachecka para miała szansę uciec z miasta na czas, by ostrzec najemników o nadciągającej zgubie?

Z drugiej strony, czy zamierzali spróbować? Cymmerianinowi przychodziły do głowy zawiłe, odbierające otuchę myśli. Skoro Tantuzjum znalazło się na skraju nowej wojny domowej, Stefany mógł dojść do wniosku, że lepiej pozbyć się zagrożenia w postaci ponad czterech tysięcy najemników. Conan wiedział z doświadczenia, że Kotyjczycy to przebiegła, niewierna nacja.

Pomyślał o śniadoskórej Drusandrze, jej gibkich towarzyszkach broni i własnych zadziornych kompanach. Wspomniał również Hundolfa: chociaż kapitan po balu pożegnał go w nie najlepszym humorze, Conan był pewny, że stary wojownik nadal darzył go sympatią.

Myśl, że najemnikom groziły krwawe zaklęcia Agohotha sprawiła, że Conan zacisnął pięści z wściekłości. Gwoli sprawiedliwości, szykowanym towarzyszom losem przejmował się bardziej niż torturami, które Ivor obiecał mu na rano.

Ranek... Conan daremnie próbował przeszyć wzrokiem ciemności. Czy miał prawo spodziewać się, że ujrzy jeszcze blask świtu? Skąd w tym grobowcu będzie wiedział, kiedy wszędzie słońce? Wyteżył słuch, starając się złowić choćby najcichszy odgłos, spowodowany przez pozostawionego przed wejściem do lochu wartownika lub kapanie wody ze ścian korytarza.

Panowała całkowita cisza. Cymmerianinowi wydało się jednak, że dostrzegł cieniutką pionową kreskę poświaty w miejscu, gdzie powinny znajdować się drzwi - jak gdyby na zewnątrz płonęła pochodnia. Zastanowił się, czy powinien przywołać strażnika. I co dalej? Zyskać jego zaufanie, postarać się, by wszedł w zasięg rąk Conana, udusić i odebrany mu mieczem spróbować rozciąć łań- cuch? Stwierdził, że ten plan nie ma szans powodzenia.

Nagle Conan zamarł. Coś zakłóciło ciszę - z przeciwnej strony, z głębi lochu, dobiegał ulotny, przerywany szmer. Zdawało się, że źródło zagadkowych odgłosów zbliża się w jego stronę.

Wyteżywszy słuch, Cymmerianin zorientował się, że dobiega go powolne szuranie stóp kogoś wycieńczonego i kulawego. Miał wrażenie, że przy drugim kroku rozlega się grzechotanie, jak gdyby niewidzialny nieznajomy ciągnął coś za sobą. Conan otworzył szeroko usta, by stłumić świst wydychanego powietrza. Starał się nie poruszać, zaciskając w dłoniach łańcuch, by ten przypadkiem nie szczęknął. Kroki rozlegały się coraz bliżej.

Ku przerażeniu Conana, niespodziewanie tuż koło jego ucha rozległy się ciche, spokojnie wypowiedane słowa. Cymmerianinowi wydało się, że nie jest to ludzki głos, lecz szelest szczyrzych łapek na starym pergaminie. Niewidoczny mężczyzna wypowiadał niektóre głoski tak piskliwie, że przypominały skrzywienie drzwi nie otwieranego od wieków lochu. Barbarzyńca nie miał jednak trudności ze zrozumieniem sensu słów.

- Nie staraj się nawet ukryć. Widzę cię wyraźnie we wpadającym przez szparę w drzwiach świetle.

Conan nie odpowiedział. Serce łomotało mu w piersiach, mózg gorączkowo podsuwał wizje groteskowych istot, mogących wypowiadać tak niezwykle akcentowane słowa.

- Wybacz mi, nieznajomy - szeptała dalej osoba w ciemnościach. - Nie chciałem cię przestraszyć. Moja doczesna powłoka jest wynędzniała, lecz pewnie i tak nie możesz jej dojrzeć w mroku. Obawiam się też, że od dawna nie miałem okazji użyć ludzkiej mowy. Wiele lat minęło, odkąd miałem poprzedniego gościa.

Niezwykły szept rozlegał się cały czas w tej samej odległości. Usta mówiącego znajdowały się najprawdopodobniej dość nisko, na wysokości głowy zgarbionego starca. Mimo to za sprawą lęku przed istotami z zaświatów ciarki nadal przechodziły Conanowi po plecach.

- Ostrzegam cię, diable, demonie, nocna maro, czymkolwiek jesteś, odstęp ode mnie! - rzekł Conan głosem nie mniej ochrypłym niż jego rozmówcy. - Tymi oto rękami walczyłem ze stworami z piekielnych otchłani i pozbawiałem je ich szkaradnej podobizny życia!

- Nie besztań mnie, nieznajomy, i nie groź mi siłą - odparł starczy głos nieco wyższym tonem, z domieszką urazy. - Jestem człowiekiem, tak ja ty więźniem tych ohydnych katakumb. - Rozległo się szuranie, pokrytych zapewne odciskami stóp o podłogę. - Nie zamierzam zrobić ci krzywdy. Po niezliczonych latach samotności, pragnę jedynie towarzystwa istoty mojego rodzaju.

- Wiem, że łziesz, piekielniku! - odezwał się podejrzliwie Conan. - Lochy zapieczętowano wiele lat temu. Jak ktokolwiek zdołałby w nich przeżyć? Skąd wzięłoby wodę i pożywienie?

- Nie brak ci słuszności. - W niesamowitym głosie zabrzmiała nuta wstydu. - Być może nie jestem już człowiekiem. Może przestałem być godzien towarzystwa tych, którzy stąpają po powierzchni ziemi? Istotnie, wiele lat temu, po zdawałoby się życiu całym, spędzonym w najgłębszych celach tych lochów, strażnicy przestali pojawiać się na korytarzu. Ustał szczepek przykuwanych łańcuchów, wrzaski torturowanych i wszystkie dźwięki, tak mi znajome, jak śpiew ptactwa i uliczny gwar. Zniknęły miski z owsianką i rozmiękłym chlebem, stanowiącymi moje jedyne pożywienie. Pojąłem, że lochy - i mnie wraz z nimi - pozostawiono własnemu losowi. Na szczęście niedługo później nadwerżone przez lata uwięzienia najslabsze ogniwa pętającego mnie łańcucha wreszcie puściły - i byłem wolny! - Ostatnie słowa starzec wypowiedział głośniejszym, zachichotał szyderczo, po czym podjął cichszym, jak gdyby przeproszającym tonem: - Rozumiesz wszak, że nie opuściłem lochu, gdyż zabezpieczono go zaporami i pieczęciami, których nie byłem w stanie pokonać. Mogłem jednak swobodnie krążyć po tych korytarzach i utrzymać się przy życiu! Nie winie cię, jeżeli doszedłeś do wniosku, że chociaż nie zginąłem, upadłem poniżej poziomu istoty ludzkiej. Czym bowiem miałem się żywić, pytam cię, jeżeli nie robactwem, gnieżdżącym się wśród kości moich dawno zmarłych współwięźniów, wychudłymi szczurami, karmiącymi się tym robactwem, i nietoperzami, śpiącymi pod sklepieniami najgłębszych lochów? Nigdy nie zdołałem jednak odkryć dróg, którymi dostawały się do podziemi i je opuszczały. Tysiące obmierzłych stworzeń stało się moją strawą, by utrzymać mnie przy życiu do tej chwili.

Okazało się, że to nawet całkiem zdrowa dieta - w każdym razie o wiele zdrowsza od owsianki... Woda? Ach! - W głosie starca na nowo zabrzmiało uniesienie. - Tej miałem pod dostatkiem, gdyż w najgłębszym korytarzu lochów znajduje się prastara studnia cytadeli. Prawda, że woda z niej jest nieco zatęchła, lecz zdatna do picia. Pełno w niej też osobliwych, bezokich ryb, prześlizgujących się między palcami. Gdy me stare, wątle dłonie zdołają którąś schwytać, wtedy, panie, mam prawdziwą ucztę - stwierdził z rozrzewnieniem starzec, po czym kontynuował zwykłym, pokornym i rzeczowym tonem: - Rozumiesz więc, nieznajomy, że ja, który poznałem rozkład lochów, chociaż chromy i spowolniały, zręcznie chwytam niewielkie stworzenia i widzę wyraźnie, że właśnie gładzisz dłonią otarcie od pęt - ja właśnie zdołałem utrzymać się przy życiu w tej obmierzłej matni. Mógłbym ci pomóc osiągnąć to samo.

- A co z potworami, które ponoć nawiedzają te podziemia? Miałeś z nimi do czynienia? - zapytał wciąż nie dowierzający rozmówcy Conan.

- Nie, panie. Jestem w stanie zaświadczyć, że tego rodzaju istoty tu nie trafiają. - W głosie starego więźnia ponownie zabrzmiał odcień ironii. - Gdybym bowiem się na nie natknął, wiedz nieznajomy, że z całą pewnością zjadłbym je do ostatniej kosteczki!

Chrapliwy śmiech, który nastąpił po ostatnich słowach, świadczył w przekonaniu Conana o tym, iż starzec jest niespełna rozumu. Mimo to Cymmerianin nie zdołał opanować rozbawienia. Przemieszana z trwogą wesołość sprawiła, że zrezygnował częściowo z podejrzeń co do osoby niezwykłego rozmówcy. Miał wrażenie, że starzec jednym wybuchem śmiechu zdołał wymazać z pamięci lata cierpień.

- Wspaniale! - mruknął Conan, krzywiąc się, gdyż wskutek śmiechu ból w jego żebrach odezwał się na nowo. - Zatem jesteśmy współwięźniami - a jeżeli nie i tak nic na to nie poradzę. - Oparł się o zimną, kamienną ścianę. - Jak się nazywasz, starcze?

Chrapliwy chichot ustał. Zapadła długa chwila ciszy. W końcu więzień zapytał proszącym tonem:

- Nie odpędzisz mnie, panie, jeżeli ci nie odpowiem? - Gorliwość w głosie niewidocznego towarzysza Cymmerianina była niemal histeryczna. - Czy możesz mnie winić, że słowa, którego nie słyszałem ani nie wypowiadałem od dziesiątek lat - po prostu nie pamiętam?

- Widocznie masz krótką pamięć - albo jesteś ostrożny. - Conan spróbował uspokoić starca. - Nieważne; powiedz mi zamiast tego, za co cię uwięziono. Gotów jestem się założyć, że nie popełniłeś żadnej zbrodni.

- Niestety! - Niepowstrzymany chichot sprzed chwili zastąpiło teraz ciche szlochanie.



- Lepiej zapytaj mnie, jak wykradać muchy z pajęczyn czy szukać gniazd, w których szczurzyce ukrywają swe młode! - wyjęczał starzec urywanym głosem. - Zapomniałem swe życie z czasów, gdy godzin byłem miana człowieka! Wszystko zginęło w mrokach przeszłości. Nie zdołam ci nic powiedzieć!

Conan zyskał pewność, że jego towarzysz doszczętnie postradał zmysły.

- Chcesz rzec, że nie myślisz już o wyrwaniu się na wolność, o ucieczce z lochów? - zapytał pewnym, nieco wyzywającym tonem. - Jeżeli tak, odejdz, na nic mi się nie przydasz!

- Istotnie, myślałem o opuszczeniu więzienia, chociaż zapomniałem, jak wygląda niebo - odpowiedział po chwili posępnie starzec, odzyskawszy spokój. - Wiem, że już nigdy nie zdołałbym spojrzeć na światło dnia. Wszakże mógłbym chodzić nocą pod odkrytym niebem...

- W takim razie przynieś mi któryś z gładów albo drewnianą belkę, żebym mógł rozbić łańcuch.

- To nie będzie potrzebne, przyjacielu. Zanim cię uwolnię, musisz mi jednak przyrzec, że zabierzesz mnie z lochów razem ze sobą. Gotów jesteś mi to przysiąc? - Rozmówca Cymmerianina wyczekująco zawiesił głos.

- Hę? Oczywiście, starcze!

- W takim razie zaczekaj tutaj. Za chwilę wrócę.

- A co mam do wyboru, staruszk... - zaczął mówić Conan, lecz zamilkł, słysząc ponownie urywane szuranie stóp.

Tym razem Cymmerianin miał wrażenie, że kroki oddalały się od niego nieskończenie powoli, jak gdyby była to zaplanowana tortura. Wsłuchiwał się w ich odgłos, zastanawiając się, na jaki szaleńczy pomysł wpadł starzec. Conanowi przemknęło przez głowę, że nie jest tak najgorzej, przynajmniej nie dobierają się do niego ludożercze bestie.

Wyciągnął w górę ramiona, starając się przynieść ulgę obolałym mięśniom. Po chwili kroki ucichły. Cymmerianin ponownie został sam w przytłaczających ciemnościach. Opuścił wzrok na posadzkę lochu. Nadal padało na nią pasmo blasku. Strażnik albo nic nie słyszał, albo wystraszył się dochodzących z lochu głosów.

Conan zaczął zastanawiać się, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze starego więźnia. Być może to niezwykle spotkanie przysniło się mu tylko; może padł ofiarą okrutnego żartu gnieźdzących się tu duchów? Barbarzyńca ponownie wyprostował się, wytężając wszystkie zmysły w obawie przed mogącym czaić się w ciemnościach niebezpieczeństwem.

Po pewnym czasie usłyszał dobiegające znad głowy skrzypienie i szelest. Szczur, pomyślał, gdy na jego zwróconą ku sklepieniu twarz posypały się okruchy zaprawy. W tej

samej chwili przypomniał sobie pierścień w ścianie. Z zapalem zacisnął dłonie na łańcuchu. Starzec pewnie odkręcił śrubę, przytrzymującą hak z drugiej strony muru! Szarpnął za łańcuch i poczuł, że nic już nie blokuje pierścienia. Po powtórnym szarpnięciu wysunął się do reszty. Przez chwilę podtrzymał łańcuch, by nie upadł z łoskotem na posadzkę, po czym złożył go powoli u stóp.

Przeniknęła go niepoohamowana radość. Czy było to błogosławieństwo, czy zapowiedź nowej udręki, przynajmniej nie był przykuty do muru w tej piekielnej dziurze! Mimo to nie mógł wędrować po podziemiach hałasując łańcuchami. Namacał pierścień - zakrzywiony na gorąco żelazny pręt. Przerdzewiały drugi koniec został ułamany lub ucięty; kończący go hak lub ćwiek pozostał po drugiej stronie. Ważne było to, że metalowe oczko tylko nieznacznie przewyższało szerokością łańcuch.

Conan przyklęknął i przeciągnął łańcuch przez klamrę obroży. Przepchnięcie tą samą drogą pierścienia nie wymagało wiele wysiłku. Cymmerianin zacisnął dłonie na obroży, rozgiął ją i zdjął z szyi.

Wolny od pęt, podniósł się na równe nogi.

- Widzisz, przyjacielu, zdołałem jednak wyświadczyć ci skromną przysługę - Zachrypnięty starzec zdołał wrócić niepostrzeżenie do wyzwającego się z okowów barbarzyńcy, odezwał się bowiem tuż obok niego.

- Wielkie dzięki, staruszk. - Conan skinął głową mimo ciemności. - Teraz dobierzmy się do wartownika! Jeżeli zdołasz go jakoś zwabić do drzwi, rozwałę mu łeb kawałkiem drewna...

- Nie, nie, przyjacielu! - W głosie wiekowego więźnia brzmiało teraz więcej rzeźkości i pewności siebie. - Ta droga ucieczki jest dla nas zamknięta... zbyt pilnie strzeżona. Chodź ze mną! Znam inną, nie pilnowaną przez nikogo. Wydostaniemy się nianie tylko z lochów, lecz w ogóle z pałacu.

Conan nie ruszył się z miejsca.

- Skoro o niej wiedziałeś, dlaczego nie skorzystałeś z niej wcześniej?

- Niestety! Drogę tarasuje głaz zbyt ciężki na me nędzne siły. Nie wątpię jednak, że zdołasz go usunąć dzięki swym potężnym mięśniom. Idź za mną!

- Ciemno tu jak w piwnicach Tartaru. - Conan wciąż się wahał. - Widzę jedynie zarys wejścia.

- Nie obawiaj się, młody człowieku, poprowadzę cię! - Głos starca stał się łagodny i kuszący. - Wyciągnij dłoń przed siebie i złóż ją po prostu na moim ramieniu.

- W porządku, lecz jeśli to podstęp...

Conan zamilkł, gdy jego ręka wsparła się na barku starca, sprawiającym wrażenie zawiniętych w mokre płótno ptasich kości. Niemal nie sposób było dać wiary, że ma przed sobą żywego człowieka, lecz pod lepkiem, miękkim materiałem wyczuwał sprężystą grę mięśni i więzadeł. Bezimienny więzień przykrył rękę Conana kruchą jak szkielec dłonią i powoli, krokiem stojącego nad grobem starca, zaczął prowadzić Cymmerianina w głąb lochów.

- Ostrożnie, młody panie, byś nie zmiądzzył mych wątłych kości - powiedział przewodnik Conana. Przy każdym kroku po nierównym podłożu lochu jego bark opadał w dół. - Nie chciałbym, byś czuł do mnie odrazę! Twoje przybycie sprawiło, że obudziły się we mnie wspomnienia czasów, zanim wtrącono mnie do tej pełnej przeciągów nory. Schyl tutaj głowę, przejście jest niskie. - Sięgnąwszy w górę, Cymmerianin poczuł nierówną belkę, zapewne wieńczącą łukowate przejście z frontowej celi lochów. - Powiedziałem, że nic nie pamiętam, lecz teraz zaczynam przypominać sobie coraz więcej ze świata na zewnątrz - kontynuował starzec. - Jest olbrzymi, prawda? Oślepiająco jaskrawy, lecz nocą jest przyjemnie chłodno i ciemno. Roi się w nim od ludzi, zwierząt i innych istot żywych, czyż nie? Pełno w nim jedzenia, picia... i bajecznych bogactw! - Starzec zapewne prowadził Conana korytarzem, ponieważ barbarzyńca czuł bliskość ściany. - Koth tak nazywała się kraina, w której mieszkałem! Wspaniałe strony.

- To miasto zwie się Tantuzjum - dodał Conan, by pobudzić pamięć swojego rozmówcy.

- Ach, tak! Dostojny gród na skalnej grani, przypominający gniazdo sokoła! Tyle w nim było krętych uliczek i zaułków pełnych ludzi, że przywodził na myśl olbrzymie szcurze legowisko. Nocą oświetlały go pochodnie i paleniska! Dobrze go poznałem - mamrotał z podnieceniem starzec. - Dawno temu chłonałem całą krasę Tantuzjum, bo miasto było moją niepodzielną własnością!

Conan starannie przestawiał stopy, by nadażyć za przyspieszającym kroku starcem.

- Byłeś władcą Tantuzjum?

- Tak. Moja wola była prawem - stwierdził z niezmaconym przekonaniem starzec. - Chłopi i szlachta jednako gięli przede mną kark i spieszyli do mnie w każdej potrzebie. Dlatego właśnie łańcuch na mojej kostce jest wykuty ze srebra.

- Srebra? - Conan wpadł na przewodnika, który niespodziewanie przystanął w miejscu.

- Tak, srebra. Jest stary i wytarty. Prawie się już rozleciał, lecz ciągle sprawia mi udrękę. Możesz go sobie zatrzymać, jeżeli masz dość sił, by go rozerwać.

- Spróbuję - powiedział Conan.

Przyklęknął, przesunął dłoń wzdłuż gołej ręki starca, sztywnej od brudu, wystrzępionej szaty oraz chudej jak gnat łydki do pokrytej sporymi odciskami kostki. Zacisnął gorliwie dłoń na łańcuchu. Mniej więcej tuzin ogniw zwieszało się nad skośnie obejmującym wychudłą nogę, do połowy przetartym pierścieniem. Sądząc po wadze i fakturze łańcucha, rzeczywiście wykuto go ze srebra.

Conan zacisnął obydwie dłonie na obręczy, napinając mięśnie obolałych ramion. Poczuł, jak metal wygina się z przypominającym jęk skrzypleniem i wreszcie pęka. Ostrożnie zdjął pęta z łydki starca i wstał.

- Niech ci los sprzyja, panie - zamruczał starzec, ruszając dalej korytarzem. - Przez wszystkie lata w niewoli marzyłem, by się uwolnić od tej blachy.

- Zaczekaj! - zawołał za nim Conan. - Rozbiję okowę kamieniem; zatrzymasz sobie połowę. Zasłużyłeś sobie na to, poza tym srebro pewnie chroniło cię do tej pory przed złymi mocami.

- Nie, weź je sobie. Nie potrzebuję amuletów ani bogactw; te stare kości niejedno jeszcze wytrzymają. Chodźmy, wyjście jest już niedaleko.

Conan wzruszył ramionami i wepchnął srebrny łańcuch w fałd skórzanej przepaski. Pozbywszy się ciężącego u nogi brzemienia, starzec szedł o wiele szybciej i ciszej. Dzięki swemu nadmiernie wyczulonemu wzrokowi lub doskonałej orientacji w rozkładzie lochów, prowadził Cymmerianina bez śladu wahania. Conan natomiast co chwila wpadał w kałuże lub zderzał się z pokrytymi nalotem saletry ścianami. Ledwie nadążając za starcem, nie był w stanie kontynuować rozmowy.

Kręta droga przez lochy prowadziła w dół, przez pochyle korytarze i schody wydeptane tak, że zamieniły się w śliskie pochylnie. Ciemność pozostawała wciąż nieprzenikniona dla oczu barbarzyńcy, powietrze zaś było coraz bardziej zatęchłe. Po bokach rozlegało się co chwila ukradkowe szuranie i tupot drobnych nóg.

Starzec doprowadził Cymmerianina do komnaty, która rozbrzmiewała pogłosem spadających kropeł. Nakazał mu uklęknąć i napić się. Gdy Conan zanurzył w wodzie złożone dłonie, poczuł, jak drobne, śliskie stworzenia starają się przecisnąć mu między palcami. Woda okazała się mdła i w jego odczuciu nieco zatęchła.

Więźniowie dotarli wreszcie do długiego korytarza. Nim doszli do jego końca, starzec kazał Cymmerianinowi stanąć.

- Oto nasza droga na wolność. Prosto przed nami - oznajmił, zaciskając dłoń na ramieniu barbarzyńcy i wysuwając go przed siebie.

- Nie popychaj mnie!

Starzec zacisnął chuda jak szkielet dłoń z zaskakującą siłą na jego nadgarstku, po czym pociągnął ją w dół i do przodu. Cymmerianin poczuł, że dotyka palcami ociosanego w kształt sześcianu kamiennego bloku, na którym wyryto jakieś godło. Barbarzyńca przyklęknął i powiódł obydwoma dłońmi po kamieniu. Był sporych rozmiarów, lecz osadzono go w niezbyt solidnej zaprawie.

- To ostatnia przeszkoda. Jeżeli usunie się ten kamień, droga na wolność stanie otworem. Nie zdołałem sobie z nim poradzić, lecz zdaje mi się, że nadeszła noc mego wyzwolenia.

Conan wodził palcami po szczelinach wokół kamienia, szukając dogodnego uchwytu. Dzięki dotykowi zorientował się, że wyryte na bloku godło przedstawiało wschodzące słońce - podobne do widzianego wcześniej symbolu. Jego obecność w lochu była zaskakująca, lecz nie wydała się Cymmerianinowi warta zastanowienia. Stara zaprawa wokół głazu łatwo się kruszyła; po chwili zdołał wydłubać jej wystarczająco dużo z jednej strony, by móc podważyć runiczny kamień.

Przykucnął pod ścianą i zaczął napierać na zwornik na zmianę w górę, w dół i na boki. Wkrótce poczuł, że gład się przesuwa, więc zaczął ciągnąć go ku sobie. Z początku kamień ustępował tylko na szerokość włosa, lecz wkrótce zaczął wysuwać się znacznie łatwiej, ze zgrzytem ocierających się o siebie ziaren. Kilka brył zaprawy wypadło ze szczelin, przez co kamień przechylił się w dół. Przez szpary wpadła do lochu srebrzysta poświata. Chociaż słaba, Conanowi wydała się oślepiająca.

- O to chodziło! Nie rezygnuj, młodzieńcze! Znow widzę naturalne światło! Jego okrutny blask jest jak ogień dla mojej wyschniętej, starej skóry, ale ciągnij dalej!

Conan szarpnął kamień jeszcze raz. Kwadratowy blok wysunął się z otworu pośród bryłek zaprawy, wpuszczając do podziemia potok blasku. Cymmerianin przykucnął i ujrzał, że źródłem światła jest księżyc będący niemal w pełni, opuszczający się już ku zachodowi. Barbarzyńca zmrużył oczy, nie mogąc znieść jego jasności. Odwrócił twarz do wnętrza lochu, zdolny dostrzec jedynie rozmyte powierzchnie nierównych kamiennych murów i stojącą za nim niewyraźną, zgarbioną postać.

- Jakie to dziwne! Jak wspaniałe! - zachwycił się stary więzień. - Czuję światło na twarzy! Mam wrażenie, jakby płynęło w moich żyłach jak płynny ogień! Tak wiele mi to przypomina: dni mej potęgi, moją młodość...

Wciąż mrużąc oczy, Cymmerianin zaczął wyciągać z muru kolejne kamienie i spychać je na bok. Gdy otwór zyskał wielkość wystarczającą do wyjścia na zewnątrz, Conan wystawił

głowę, by się rozejrzeć.

- Na Croma! - Miotając przekleństwa Conan cofnął się do wnętrza lochu. - Starcze, znalazłeś dla nas drogę ucieczki nie tylko z więzienia, ale i od życia! Powinieneś być wiedzieć, że za ścianą jest tylko urwisko, na którym postawiono pałac. Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek, zwłaszcza tak słaby jak ty, mógłby zejść na dół czy wdrapać się na górę.

- Nie troskaj się, młodzieńcze! Teraz, gdy wraca moja moc, nie będę miał z tym kłopotów. - Głos wiekowego więźnia istotnie stał się niespodziewanie głęboki i donośny. Conan miał wrażenie, że po korytarzach niesie się echo ukrytej w nim mocy. - Mogę dostać się bez przeszkód wszędzie, dokąd zechcę! Moi wrogowie myślą, że jestem martwy! Jak za dawnych lat, wyruszę na łów pod osłoną nocy, by zdobyć pożywienie na rojnych ulicach! - Słowa starca z każdą chwilą stawały się bardziej chępliwe i pewne siebie. - Miasto znów stanie się moim rewirem, a jego mieszkańcy mą służebną trzódką! Pełzający w prochu prostaczkowie ponownie nauczą się czcić mnie i odczuwać przede mną strach!

Conan przywykł po drodze puszczać mimo uszu paplaninę swojego towarzysza, lecz ostatnią mowę starzec wygłosił z niepokojącą mocą i pewnością siebie. Cymmerianin podniósł wzrok z pokrytej łatami blasku księżycy szaty na pogrążoną w mroku twarz wyzwolonego więźnia. O ile mógł się zorientować, rysy jego towarzysza stały się pełniejsze i bardziej ożywione, niż byłby sobie w stanie wyobrazić, poznawszy jego dzieje. W kwadratowych szczękach nadal tkwiły wszystkie zęby, napinając gładkie policzki. Błyskające oczy więźnia kryły się w cieniu; siwe, splątane włosy sięgały goleni.

- Naturalnie, żałuję lat straconych w lochach. - Mężczyzna popatrzył władczo na Cymmerianina. - Ponieważ jednak wszystkie przeszkody zostały usunięte z mojej drogi, mogę wrócić do życia - przyjmijmy grzecznościowo to określenie - by z nawiązką odbić sobie cierpienia! Muszę przyznać, że wiele się nauczyłem podczas pobytu w lochach. Spożywałem istoty, których nigdy bym wcześniej nie tknął. Okazało się jednak, że wielce dopomogły mi rozwinąć zdolność zmieniania postaci. Odpowiednią formą dla tej sytuacji jest na przykład chyża, skrzydlata istota z dużym zasobem sił, lecz o zmysłach o wiele czulszych niż moja dawna, nieporadna postać zastępcza - królewski orzeł. Istota ta jest jednak w równym stopniu, może nawet bardziej bezwzględny zabójcą. Popatrz sam!

Przed oczyma przerażonego Conana postać jego wybawcy zaczęła zmieniać kształt. Brudny, wystrzępiony strój popękał na nabrzmiewającej od lśniącego pierza piersi i osunął się na posadzkę. Równocześnie twarz przewodnika Cymmerianina uległa koszmarnemu przekształceniu, a zza jego grzbietu wyłoniła się para ciemnych, olbrzymich skrzydeł.

Bezbronny Conan wahał się przez chwilę, atakować czy uciekać. Obydwie

ewentualności zdawały się równie nie na miejscu, bowiem potworna przemiana dobiegała końca z przerażającą szybkością. W blasku księżycy zabłyśły ostre jak sztylety pazury i szerokie lotki na końcach skrzydeł.

Cymmerianin nie był później pewny, czyjego postępowaniem kierował łańcuch zawilej logiki, czy też po prostu skorzystał z tego, co znajdowało się pod ręką. Objął ramionami wielki, rzeźbiony kamień, dźwignął go mimo protestu mięśni oraz ścięgien i cisnął w ohydną, przypominającą nietoperza istotę.

Trafiona kamiennym blokiem zmiennokształtna istota runęła z krzykiem na posadzkę, zmiażdżona jego ciężarem tak samo, jak zwykły śmiertelnik. Wtedy jednak ujawniła się niezemska siła monstrum; wijąc się, zaczęła zsuwać z piersi masywny głaz. Widoczne części jej ciała przechodziły szaleńcze przemiany, przypominając rybie płetwy, odnóża owadów lub kończyny ludzkie czy gryzoni. Równocześnie istota wydawała równie zmienne, porażające wrzaski.

Conan skoczył rozpaczliwie naprzód i przygniótł ciałem kamień, by bestia nie zdołała się wyzwolić. Czuł, jak ciężki blok podskakuje jak korek na falach. Chwyił w dłoń mniejszy kamień i zaczął walić nim wciąż podlegającą opętańczym przemianom istotę - lecz z mizernym rezultatem.

Dopiero po chwili rzeźbiony blok zaczął ujawniać swą magiczną naturę. Z początku tylko wyryte linie załśniły ciepłą, wyraźnie kontrastującą z blaskiem księżycy poświatą, wkrótce jednak cały blok zaczął świecić palącym jak ogień kuźni Croma światłem. Kamień rozgrzał się, jak gdyby padały na niego promienie słońca. Conan zerwał się na równe nogi i przyglądał zagładzie bestii z upiorną fascynacją.

Nieziemskiej poświacie towarzyszyły kłęby dymu i przenikliwy, skwierczący syk. Hałas stopniowo zagłuszył okrutne wrzaski zmiennokształtnej istoty. Wkrótce posadzkę tunelu zalał czerwono-żółty blask, rzucając na ściany czarny cień Cymmerianina. Niesamowita światłość nie parzyła Conana; trawiła jednak bestię, wijącą się pod głazem jak wrzucony w rozgorzałe do białości palenisko kawałek szmaty.

Syk przycichł, poświata wreszcie zmaląła. Pomiędzy plamami sadzy i tłustym popiołem na dnie tunelu pozostał tylko poczerniały runiczny kamień. Pod wpływem odrażającego smrodu Conan zmarszczył nos i zmełł w ustach przekleństwo, po czym starannie wymijając szczątki bestii, zawrócił ku oświetlonemu blaskiem księżycy otworowi.

## XV

### ŚMIERĆ CZAI SIĘ W BLASKU KSIĘŻYCA

Gdy Conan przycupnął w szczybie rozsypującego się muru, to, co zdołał dojrzeć w ciemnościach, przyprawiło go o głęboką rozpacz.

Księżyc wisiał wysoko nad Kothem; jego blask osrebrzał szeregi porośniętych trawą wzgórz. Mimo to przed oczyma Conana roztaczała się wizja śmierci, nie zaś wyzwolenia.

Pod płytką rozpadliną, w której kończył się tunel, goła skała opadała skośnie na wysokość dwóch dorosłych mężczyzn, po czym przechodziła w pionowe, niknące z pola widzenia urwisko lub może nawet przewieszkę. Skała wyglądała na zwietrzałą i zdradliwą. Chociaż Conan rozciągnął się płasko na ziemi, nie zdołał wypatrzeć dna urwiska. Pamiętał jednak, że kiedyś podczas wędrówki pod miejskimi murami stwierdził, że skarpa po zachodniej stronie cytadeli jest nie do pokonania.

Gdy Cymmerianin zmieniał pozycję, spod stopy obsunął mu się obłuzowany w wiekowej zaprawie gład. Kamień stoczył się w ciemność; minęła długa chwila całkowitej ciszy, nim rozległ się odgłos jego upadku na niewidoczne skały w dole. Bez wątplenia upadek ze skarpy zakończyłby się śmiercią. Tunel najprawdopodobniej przebito na wypadek oblężenia; droga na dół wieść miała po linach. Wszelako u wylotu od dawna porzuconego chodnika daremnie byłoby szukać chociażby kawałka sznura.

Co wobec tego pozostawało Conanowi? Za nim były doczesne szczątki zamienionego w demona władcy, mroczny labirynt lochów i pilnie strzeżony pałac. Gdyby zawrócił, niewielkie miałby szansę pozostać przy życiu, a zgoła żadne - ostrzec przyjaciół o gotowanej im magicznej zagładzie.

Zejście po urwisku oznaczało niemal pewną śmierć; cień szansy na przeżycie gwarantowała Cymmerianinowi jedynie wyborna umiejętność wspinaczki. Długie lata pokonywania granitowych szczytów w rodzinnej krainie nauczyły go, o ile niebezpieczniejsze od wdrapywania się w górę jest schodzenie w dół - nawet wówczas, gdy przemierzało się w drugą stronę tę samą trasę. Droga ze szczytu nieznanego urwiska, nieustanne ślepe szukanie punktów zaczepienia dla stóp na niezdobytej skalnej ścianie równało się praktycznie samobójstwu.

Na tę myśl Conan uśmiechnął się posępnie. Próba zejścia na dół w środku nocy - nawet w jaskrawym blasku księżyca w pełni - po okrutnym pobiciu przez strażników była w istocie aktem czystego szaleństwa. Mimo to, jak gdyby dla zachęty, ze szczytu urwiska



widać było parę najemniczych namiotów; pozostałe zasłaniała garbata grzęda skał na północy. Panujący w obozowisku całkowity spokój świadczył, że Ivor nie przystąpił jeszcze do eksterminacji Wolnych Kompanii. Wciąż jeszcze była szansa, że Conan zdąży na czas.

Nie pozostawało mu więc nic innego jak zejść po pionowej skalnej ścianie. Bez dalszych wahań Cymmerianin usiadł ostrożnie na skraju przepaści. Ściągnął buty, związał je razem i przerzucił przez szyję tak, że zwisały znacznie poniżej barków. Odwrócił się twarzą do nierównej kamiennej ściany i zawisł nad urwiskiem, starając się znaleźć oparcie dla bosych stóp.

Powierzchnia skały okazała się chropowata i zimna. Zrazu Cymmerianin nie zdołał natrafić na żadne występy; jego ciężar utrzymywało tylko tarcie dłoni i podeszew stóp. Lgnąc niemal namiętnie do skalnej ściany, Conan ruszył skośnie w dół od wylotu tunelu.

Schodził powoli, zmieniając położenie tylko jednej kończyny naraz, świadom, że każdy nieostrożny ruch oznaczałby śmierć na dnie urwiska. Jego obolałe mięśnie zaczęły drżeć od wysiłku. Wreszcie Cymmerianin z ulgą natrafił palcami na drobną szczelinę, okazała się jednak tak wąska, że zdołał w nią wcisnąć jedynie krawędzie stóp, spychając w dół lawinę piachu i kamyków.

Przeniósłszy cały ciężar ciała na tę miniaturową skalną półkę, ostrożnie odchylił głowę. Popatrzył w przyprawiającą o zawrót głowy przepaść, oceniając doświadczonym okiem pęknięcia w niemal gładkiej powierzchni. Dolna część zbocza poprzecinana była szczelinami i występami, przechodząc u podstawy w rumowisko głazów. Perspektywa dotarcia na dół wydawała się teraz trochę bardziej realna.

Conan przesunął się po półce w bok, wypychając palcami stóp skalny gruz ze szczeliny. Zatrzymał się w miejscu, gdzie występ skręcał w górę. Stało przed nim niemal niemożliwe do wykonania zadanie przeniesienia ciężaru ciała ze stóp na dłonie.

Odczekał chwilę, by łomoczące serce zdołało się uspokoić, po czym zacisnął w garści łodygę sterczącego z pionowej szczeliny w skale chwastu. Ostrożnie ugiął nogi, zwracając kolana w bok i przyciskając je do nierównej powierzchni urwiska.

Korzenie rośliny nie wytrzymały obciążenia. Skalna ściana zaczęła oddalać się od Cymmerianina, który jednak w ostatnim momencie zdołał zacisnąć drugą dłoń na półce, na której przed chwilą stał. Zawisnął na jednej ręce, wiedział, że chociaż niemal wyrwał ramię ze stawu, zdołał powstrzymać upadek. Zdał sobie sprawę, że na nierównej skale zostawił spory płat skóry.

Oblany lodowatym potem, zaczął podciągać się na drżących rękach w bok. Wreszcie dotarł do upatrzonego miejsca. Musiał zdobyć się teraz na rozpaczliwe posunięcie:

rozluźnienie uścisku, by osunąć się na nadkruszoną skalną półkę, znajdującą się poniżej w odległości większej niż jego wzrost. Nie zastanawiając się długo, rozprostował palce.

Zsuwając się, odbił się stopami i kolanami od skraju występu, lecz zdołał wczepić weń dłońmi i powstrzymać upadek. Przytulony do powierzchni urwiska, podciągnął się na, jak się okazało, dość solidny występ. Zatrzymał się na nim długo, czekając, aż odzyska równy oddech i aż zelżeje ból w poobijanych nogach. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie znajdzie drogi na dół, za nic nie będzie w stanie wrócić na górę.

Odzyskawszy siły, powoli zaczął schodzić dalej. Zeskoczył na drugi występ, potem na trzeci. Każdy z nich stanowił wyzwanie dla poczucia równowagi i przestrzennej orientacji Cymmerianina. Czuł rosnącą nadzieję, lecz miał wrażenie, że słabnie i coraz mniej może polegać na swojej sile. Dotarł na tyle nisko, że nieznacznie przekrzywiwszy głowę, był w stanie dostrzec pogrążony w cieniach szczyt graniczącego z urwiskiem wzgórza. Odległość była jednak nadal na tyle duża, że upadek oznaczałby śmierć, kalectwo lub w najlepszym razie utratę przytomności.

Opuszczając się z trzeciego występu, Conan natrafił na szeroką, płytką szczelinę. Zdołał wcisnąć się do środka, zapierając dłońmi i stopami o skraj rozpadliny. Dzięki niej łatwo pokonał najbardziej stromą część urwiska. Blisko dolnego krańca skalnego komina w płytkich szczelinach po bokach rosły kępki trawy. Conan zacisnął rękę na jednej z nich, zadowolony, że znalazł dodatkowy punkt oparcia. Po chwili dostrzegł kącikiem oka ruch i poczuł odrażające mrowienie na dłoni. Na jego ramię wdzierał się rój szarych pajaków.

Cymmerianin zdołał stłumić strach, lecz dreszcz obrzydzenia wystarczył, by stracił oparcie i zaczął ześlizgiwać się po urwisku. Krucho skała pod stopami nie wytrzymała jego ciężaru. Conan runął bezwładnie w dół ze zduszonym krzykiem na ustach.

W chwilę później spadł nogami naprzód na stertę skalnych odłamków. Zaczął się po niej zsuwać z rozpostartymi szeroko ramionami i nogami. Wraz z lawiną kamieni odbił się o zagrzebany do połowy głąz i potoczył dalej. Łąki, urwisko i księżyc wirowały szaleńczo przed jego oczami, a ostre skały boleśnie rozdzierały mu skórę. Wreszcie zatrzymał się na usianym kamieniami, porośniętym rzadką trawą zboczu.

Czując wciąż pulsowanie nerwów w łokciach i kolanach, potrząsnął głową, by pozbyć się zawrotów. Ból przenikał całe jego ciało, lecz jakimś cudem nie odniósł żadnych poważnych obrażeń. Popatrzył na pokryte kurzem, poobcierane kończyny. Nie dostrzegł pajaków. Srebrna obręcz z za przepaski również zniknęła, pozostawiając bolesną pręgę w pachwinie.

Przez chwilę siedział nieruchomo z głową zwróconą w górę. Nie mógł dojrzeć wylotu

tunelu, chociaż urwisko zalane było księżycowym blaskiem. Nad skrajem zbrocza górowały pałacowe mury. Nie widać było wychylających się przez nie strażników, nie słychać było wołania na alarm. Najwyraźniej nikt nie dosłyszał uczynionego przez Cymmerianina hałasu.

Gdy przejaśniło się mu w głowie, przeniknęło go cudowne poczucie wolności. Doznał przypływu radości i równocześnie niepokoju. Rozplatał skręcone wokół szyi rzemienie butów i wciągnął je na obolałe, posiniaczone stopy. Chwiejnie dźwignął się na nogi i ruszył w stronę obozu.

Dotarł do ledwie widocznej drogi dla wozów, okrążającej urwisko i miejskie mury. Podążył jej skrajem, wpatrując się w zwieńczenie murów, gotów w każdej chwili runąć w chaszczę zarastające przydrożny rów. Linia umocnień biegła równoległe do łuku urwiska. Na widocznym dla niego krótkim odcinku muru panowały ciemności, nie słychać było nawet rutynowych nawoływań wartowników. Conan przyspieszył kroku, zmuszając obolałe kończyny do niesienia jego ciężaru. Nieco dalej szczyt urwiska opadał, przechodząc w pokryte tarasami zbocze. Za zwieńczonym blankami bastionem zamku ciągnęły się nieprzerwanie gładkie mury Tantuzjum. W tym miejscu biegły prosto, podobnie jak droga. Daleko przed sobą Cymmerianin dojrzał ruch.

Skręcił w bok i jak cień przemknął się na skraj pierwszego z tarasów, dzięki czemu mógł posuwać się dalej choć częściowo w ukryciu. Nie- daleko przed bliższą z dwóch broniących wjazdu do miasta wież, wrzała gorączkowa krzątanina. Cymmerianin dojrzał sylwetki szóstki ludzi; na ich twarze padał blask rozpalonego na strażnicy ogniska. Chociaż blanki wieży zasłaniały płomienie, widać było wzbijającą się pionowo w nieruchomym powietrzu kolumnę żółto podświetlonego dymu.

Podszedłszy bliżej, Conan ujrzał, że jednym z mężczyzn na szczycie wieży był Agohoth. Wysoki, chudy czarnoksiężnik gestykulował zawzięcie. Nie wyglądało na to, by wykonywał magiczne gesty; wydawał raczej instrukcje otaczającym go ludziom. Paru mężczyzn przeciągnęło nad skraj wieży coś ciężkiego. Popędzani przez Agohotha, dźwignęli na parapet wielkie naczynie ze spiżu lub innego metalu. Conan zdołał dojrzeć w blasku ognia rozszerzający się lejkowato wlot i wypukłe boki.

W chwili, gdy się zatrzymał, mężczyźni przechylili naczynie do przodu. W mrok za krawędzią wieży zaczęła wylewać się powoli szarawa substancja. Nie była to ciecz, lecz raczej coś w rodzaju mgły, która osuwała się powoli wzdłuż muru, rozsnuwając wijące się, chwiejne pasemka jak macki. Opadłszy do podstawy wieży, opar kłębił się i wirował przez chwilę w miejscu, jak gdyby był obdarzony rozumem i wahał się, co ma zrobić, po czym przetoczył się przez osłaniający bramę mur w dół stoku - w kierunku obozu najemników.

Struga oparu nadal nieprzerwanie wylewała się z naczynia na szczycie wieży. Agohoth przychylił się przez skraj parapetu i z natężeniem przyglądał się zjawisku, mówiąc coś po cichu do towarzyszących mu ludzi. Conan odniósł wrażenie, że zza ramienia czarnoksiężnika dojrzał księcia Nora.

Nie sposób było orzec, co może zdziałać niesamowita mgła, lecz Conan nie wątpił, że niesie ona śmierć. Żałował, że nie może wdrzeć się na szczyt wieży i złamać Agohothowi karku gołymi rękami, lecz wiedział, że taka próba byłaby skazana na niepowodzenie. Zrezygnowawszy z tej myśli, Cymmerianin starannie rozejrzał się dookoła.

Przed zamkniętą bramą miejską stało zaledwie paru wartowników, nie odrywających wzroku od przesuwającego się obok nich ociężałe, sięgającego na wysokość dorosłego człowieka oparu. Strażnicy starannie unikali znalezienia się na jego drodze. Również ludzie na szczycie wieży pochłonięci byli bez reszty obserwowaniem niezwykłego dymu. Conan zsunął się ze skraju tarasu i niepostrzeżenie ruszył w stronę obozu.

Nim dotarł do podnóża wzniesienia, zamarł. Dostrzegł przed sobą mężczyznę stojącego obok osiodłanego konia. Bez wątpienia był to żołnierz z kordonu, ustawionego przez kompanię Braga. Ukryty za krzakiem najemnik nosił porzecz zdradzieckiego dowódcy, twarzą zwrócony był w stronę namiotów.

Na szczęście w pobliżu nie było widać jego kompanów. Conan ruszył na ugiętych kolanach w dół stoku. Po chwili rozległ się zduszony krzyk i trzeszczenie łamanych kręgów. Cymmerianin opuścił trupa na murawę i odpiął jego pas z mieczem.

Koń najemnika zaczął parskać i drobić nogami, lecz Conan sięgnął po wodze i ściągnął w dół jego łeb. Wskoczył na siodło i pogonił wierzchowca w kierunku obozu, wołając wystarczająco głośno, by pobudzić pijanych i umarłych:

- Do broni, bracia! Zostaliśmy zdradzeni! Obóz jest otoczony! Wyłażcie z wyr, leniwe psy!

Krzycząc z całych sił, nie oglądając się na boki, Conan wjechał między namioty. Przerażony koń potykał się o krzyżujące się linki i kołki, rozlegały się wołania wyrwanych ze snu najemników.

- Wstawać, łotry! - nie przestawał krzyczeć Conan. - Wstawajcie i walczcie z bandą Braga, ale strzeżcie się czarnoksiężskiej mgły!

W blasku księżycy obóz wyglądał jak szachownica cieni i lśniących od rosy namiotów. Tu i ówdzie zaczęły rozlegać się trzeźwiejsze głosy. Nieliczni wartownicy, którzy wybiegli na spotkanie Cymmerianina, spiesznie uskakiwali przed jego rozpędzonym wierzchowcem. Gdy przed barbarzyńcą z mroku wyłonił się skraj tarasu, Conan stanął

w strzemionach i zmusił wystraszony konia do szaleńczego skoku na wyższy poziom.

- Pobudźcie się, wojowniczk! Księżę rozkazał Bragowi i czarnoksiężnikowi powybijać nas!

Gdy Conan wjechał do obozu kobiet, ujrzał, że Drusandra wystawiła już głowę ze splątanymi od snu włosami przez klapę namiotu. Cymmerianin ściągnął wodze tak mocno, że koń stanął dęba.

- Do broni! Ostrzeż swoje towarzyski, że Agohoth zesłał na nas trującą mgłę!

Gdy Cymmerianin odczytał zrozumienie w jej wzroku, zawrócił konia w stronę namiotów kompanii Hundolfa.

- Hej, tam! Wyłazić śpiochy!

Śladem przejazdu Cymmerianina przez obóz niesły się krzyki i szczęknięcie broni. Wkrótce rozległo się również rżenie siodłanych koni. Słyszając, że najemnicy przekazują dalej jego ostrzeżenie, Conan zawrócił w stronę górnej części obozu. Gdy dojechał do jego środka, na drodze stanęła mu płynąca między namiotami struga szarego oparu. Ściągnął wodze; koń stanął w miejscu, wzbijając kłęby pyłu.

- Strzeżcie się mgły! Zesłał ją na nas Agohoth! - krzyknął Conan do wychodzących z pobliskich namiotów mężczyzn.

Mgła spływała teraz szybciej, była jednak rzadsza, niemal przezroczysta. Upiorna powódź spadała kaskadami z tarasów i opływała namioty, rozsnuwając wszędzie wzbijające się w górę wąskie pasma.

Conan dostrzegł na poły ubranego najemnika przebiegającego niedaleko niego przez pasmo oparu bez widocznej szkody, lecz sam nie zamierzał zetknąć się z pełzającą przy ziemi rzeką szarości. Zawrócił konia w boczną alejkę między namiotami, by wyprzedzić czoło rozprzestrzeniającej się mgły. W chwilę później wierzchołek Conana wpadł kopytami w przepływającą między namiotami strugę oparu. Cymmerianin poczuł w nozdrzach kwaśną, odrażającą woń.

- Hundolf, wstawaj! Zostaliśmy zdradzeni! Na koń, człowieku! Jesteś tam?!

Mgła dotarła już między namioty jego oddziału i wznosiła się coraz wyżej. Jej szare zasłony wisiały między podpórkami winorośli.

- Mogłem się domyślić, że nikt inny nie byłby zdolny wyć między namiotami jak obdzierana ze skóry małpa! - dobiegł z namiotu niechętny głos kapitana. - Co to za wariactwo?!

- Nie wariactwo, ale podła zdrada! - Conan opowiedział, co się stało, tak zwięźle, jak potrafił. Jego relacja wywołała grad przekleństw i gniewnych okrzyków zbrojących się wokół

niego i Hundolfa najemników. Cymmerianin zsiadł z kradzionego konia, na pół żywego wskutek dźwigania pokaźnego ciężaru barbarzyńcy. Klepnął wierzchowca, by go odgonić, i zabrał się do siodłania swojego czarnego ogiera. – Naszą jedyną nadzieją jest przedarcie się na koniach przez kordon kompanii Braga, zanim zginiemy od trującej mgły - zakończył. Przywiązał do siodła juki, tarczę, lancę i topór bojowy, po czym wsiadł na konia. - Czy jesteś już gotowy, Hundolfie?

- Tak, Conanie. Nie powinienes jednak tak się gorączkować w poranek przed bitwą. Nie warto. - Kapitan o beczkowatej piersi wyłonił się z namiotu i uśmiechnął do swojego zastępcy. - Śmierć to cierpliwa pani; zaczeka na ciebie.

- Hundolf zdążył włożyć napierśnik i hełm. Wziął swoją broń i ruszył w stronę zagrody dla koni, gdzie jeden z najemników przytrzymał jego wierzchowca.

- Hundolfie, trzymaj się z daleka od mgły! - zawołał Conan za przyjacielem, wjeżdżającym w ścielący się na wolnej przestrzeni szary opar. - To sprawka czarnoksiężnika...

Reszta jego wołania utonęła w potwornym hałasie, dobiegającym ze szczytu wzgórza. Zrazu nastąpił oślepiający błysk, a później górą przetoczył się piekielny łoskot. Zasysając powietrze, ogień pomknął w stronę obozów jak seria piorunów. Zdawało się, że sama ziemia wiję się w koszmarnej męce. Conan ujrawszy rozprzestrzeniającą się burzę płomieni obejrzał się na Hundolfa, zanurzonego po pas w wysrebrzonym przez blask księżyca oparze. W jednej chwili kapitan otwierał usta do krzyku; w następnej ogień otoczył go, a podmuch wyrzucił w górę. Conan ujrzał, jak osmalone, zmiążdżone ciało dowódcy szybuje nad drzewami, chylącymi się jak smagane wiatrem zboże.

Po chwili rozległa się jeszcze potężniejsza eksplozja. Fala powietrza zmiotła Cymmerianina z grzbietu zataczającego się wierzchowca. Zwierzę runęło na ziemię i Conan przestraszył się, że zostanie przezeń zgnieciony. I on, i koń uwięzli jednak w miękkim, obezwładniającym płótnie namiotu. Minęło kilka długich chwil, nim barbarzyńca zdołał się wyswobodzić, podczas których ziemia dygotała, a powietrze rozdzierały oślepiające rozbłyski.

Zdyszany koń zdołał wreszcie podnieść się na nogi, oswobodzając stopę Cymmerianina. Conan zdarł z siebie osmalone płótno i skoczył za spłoszonym wierzchowcem, by chwycić jego wodze.

Z nieba spadał grad grudek ziemi, śmieci i ciemnych kropeł. Cymmerianin zdał sobie sprawę, że to krew. Zasłonięty przed chwilą przez mgłę obóz spowijały teraz kłęby dymu i pyłu, prześwietlane blaskiem księżyca. W wielu miejscach płonął ogień, lecz zdawało się, że czarodziejski atak już się skończył. Barbarzyńcę otaczały ze wszystkich stron resztki

namiotów, spod których dobywały się jęki bólu i oszołomienia. Ludzie i konie, których ognista furia nie powaliła na ziemię, pierzchali na oślep. Z oddali dobiegały odgłosy walki. Conan domyślił się, że nadciągają najemnicy Braga.

Prowadząc konia ze sobą, Cymmerianin przystanął parokrotnie, pomagając podnieść się paru kompanom. Zachęcał ich, by utworzyli szyk i przygotowali się do obrony obozu. Gdy najbardziej przytomni z nich zdołali pojąć, o co mu chodzi, wskoczył na siodło i zaczął zjeżdżać w dół stoku.

Wśród płacht płótna, stert wyrwanych z ziemi winogron i z wolna dochodzących do siebie ludzi Conan ujrzał napawające grozą całe i porozrywane trupy mężczyzn oraz koni. Część zwłok była zwęglona, inne dosłownie przenicowane przez potworną siłę czarów Agohotha.

Podła śmierć - haniebny kres dla Hundolfa i Crom jeden wie, ilu innych, pomyślał Conan. Jego twarz przybrała wyraz, wzbudzający trwogę wśród mijających go ludzi.

Mimo to czar Agohotha okazał się niezupełnie udany. Wjeżdżając w głąb obozu, Cymmerianin zorientował się, że tu zniszczenia są mniejsze. Wkrótce znalazł się w niższej, nietkniętej części obozowiska, gdzie najemnicy nadal siodłali konie i gotowali się do walki. Conan zdołał dotrzeć między namioty na kilka minut przed rozpętanym się piekielnej pożogi; gdyby nie alarm, jaki podniósł, czarnoksiężnik zapewniłby się z podpaleniem mgły, póki ta nie rozprzestrzeniłaby się po całym obozie. Wówczas zagłada spotkałaby pewnie wszystkie kompanie.

Płomienie i groza wzbudziły w najemnikach desperację. Conan ruszył brukowanym traktem w poprzek strumienia pieszych i koni. Wielu wojowników zdołało wdziać rynsztunek, lecz nikt nie kierował ich krokami, Cymmerianin rozejrzał się w poszukiwaniu sztandarów czy formujących się oddziałów, lecz w obozie panował całkowity chaos.

Gdy dotarł do opustoszałych namiotów oddziału Braga, dołączył do niego drugi jeździec.

- Conanie! Nie masz po co jechać dalej! - rozległo się wołanie. - Droga jest zatarasowana!

- Witaj, Tranos! - Głos Conana brzmiał posępnie i przygnębiająco nawet w jego własnych uszach. - Skoro została zagrodzona, będziemy musieli się przebić, zanim psy Braga zagryzą nas podstępnie na śmierć albo księżę ruszy wojsko z miasta. - Conan minął tłustego najemnika, który ruszył jego śladem. - Co to znaczy, zatarasowana?

- Najlepsza jazda Braga zajęła pozycję w poprzek traktu przed obozem. Zabijają wszystkich, którzy próbują przejść. Lepiej przedzierać się z boku obozu.

- Naprawdę?

Conan pognął konia, zostawiając dawnego towarzysza złodziejskich eskapad daleko za sobą. Cymmerianin minął stojący otworem, pusty pawilon Braga i paru jeźdźców, czekających niezdecydowanie na skraju drogi. Przed sobą dojrzał barykadę zamykającą obóz, a za nią na zalanym księżycowym blaskiem stoku kilku konnych kopijników. Barbarzyńca spiął konia do jeszcze szybszego biegu.

- Jedzie Conan! Chce zmierzyć się z kopijnikami! - zawołał jeden z najemników na poboczu.

- Dzielny wojownik - stwierdził drugi. - Ktoś powinien go powstrzymać.

Nie zważając na ich słowa, Conan sięgnął za siebie i wsunął dłoń w rzemienie tarczy. Wolną ręką namacał drzewce włóczni, lecz ostatecznie postanowił użyć topora - ciężkiej broni o dwóch szerokich, łukowatych ostrzach. Zacisnął dłoń na stylisku tuż za nimi i wyciągnął rękojeść z pętli.

Kopyta czarnego ogiera dudniły na kamieniach, wierzchowiec przyspieszał na opadającym w dół odcinku drogi. Conan poprawił się w siodle, owinął nadgarstek dowiązanym do rękojeści topora rzemieniem i uderzył silnie konia płazem po boku. Łoskot kopyt stał się jeszcze głośniejszy.

Jeźdźcy na drodze ustawili się w półokrąg. Najwyższy wojownik w środku szyku wystawił lancę poziomo przed sobą i zmusił konia do galopu. Pierzasty hełm i namalowany na tarczy pysk wilka pozwoliły Conanowi zorientować się, że jest to Brago we własnej osobie.

Konie gnały ku sobie po białej wstędze traktu, ich kopyta krzesaly iskry na wystających z ziemi kamieniach. Conan zacisnął wodze w dłoni pod tarczą i wzniosł topór. Spodziewając się ciosu z góry, Brago zastawił się puklerzem na wysokości ramienia i wycelował wyostrzony stalowy grot lancy w serce przeciwnika. Jego oczu nie było widać w ocienionym wizjerze hełmu, lecz spod osłony na nos sterczały płowe wąsy nad ułożonymi w surowym, drapieżnym uśmiechu ustami. Odległość między jeźdźcami malała w przerażającym tempie.

Wojownicy zderzyli się z łoskotem i szczękiem metalu. Conan odepchnął lancę Braga tarczą skośnie w górę, nim jej grot zdołał go choćby musnąć, a topór barbarzyńcy zatoczył łuk od dołu, muskając grzywę wierzchowca jego wroga.

W najniższym punkcie swego toru ostrze topora znalazło się na wysokości kopyt konia Braga, po czym pomknęło w górę. Rozplatało więzadła w pęcinie, rozcięło wyprawioną skórę siodła i masywne kolano jeźdźca. Conan zwiększył moc uderzenia, wykonując półobrót



w siodle, gdy szerokie ostrze mknęło w górę.

Cios trafił zdradzieckiego kapitana w podbrzusze, znacznie poniżej tarczy, rozpruł brzeg napierśnika i poszedł dalej. Rozległ się koszmarny, zduszony wrzask ginącego człowieka. Podwładni Braga ujrzeni ze zdumieniem, że ich dowódca został rozrąbany na pół, a części jego ciała spadają na ziemię oddzielnie po obu stronach wierzchowca.

Niemal natychmiast Conan ruszył do ataku na kolejnego jeźdźca. Rząd najemników na koniach, przybywających śladem Cymmerianina z obozowiska, błyskawicznie uderzył na legionistów. Część zdemoralizowanej kompanii Braga rzuciła się do ucieczki, lecz pozostali wojownicy wytrwali przy swoich towarzyszach broni. Przez noc poniosło się echo ścierających się mieczy.

## XVI

### KAPITANOWIE

- Dopadliśmy zbrodniarza!

Conan z trudem powracał z mrocznej otchłani snu. Miał wrażenie, że jego głowę spowija brudny wołok, serce łomotało mu w piersiach od nagłego przebudzenia. Mimo to odzyskał gotowość do walki szybciej, niż by podejrzewał: gdy tylko otworzył oczy, dostrzegł, że dzierży w zdrętwiałej dłoni wyciągnięty z pochwy miecz.

Cymmerianin dźwignął się na kolana na posłaniu z pogniecionych futer między korzeniami strzelistego dębu. Przytrzymał się dłonią krzepkiego pnia, powiódł wzrokiem po otaczającym go kręgu gniewnych ludzi.

- Zeno, zmiłuj się! - powiedział jeden z nich. - Cymmerianin spał jak zabity przez wiele godzin - chociaż nie mam pojęcia, jak mógł nie obudzić się do południa mimo całego tego zamieszania! - Mężczyzna rzucił odruchowo spojrzenie na skulonego pod drzewem barbarzyńcę, po czym popatrzył ponownie na zarumienionego, rudowłosego wojownika. - Powinieneś pozwolić mu dojść do siebie, nim zaczniesz rzucać oskarżenia.

- Nie! Sprawiedliwości zbyt długo nie mogło stać się zadość! - Zeno odtrącił ramię pragnącego go powstrzymać najemnika. - Czy ten łotr dał Stengarowi czas na przygotowanie się do walki? A może pozwolił dojść do siebie Lallowi?! - Kędzierzawy najemnik był odziany w sięgający po szyję brudny skórzany strój. Nie przestając krzyczeć, dla dodania sobie otuchy poklepywał po rękojeści broni przy pasie. - Nie pozwolę, by dopuścił się kolejnej zdrady! Zdołał się pozbyć Hundolfa i rządzi się jego oddziałem, jak gdyby dostał go w spadku!

- To potwarz! - warknął Conan. - Usiłowałem ratować Hundolfa - i ciebie również, bezwartościowe ścierwo!

- Tak jest - poparł barbarzyńcę młodzieńczo wyglądający wojownik. - Byłem przy Hundolfie; Cymmerianin ostrzegł kapitana, gdy pochłonęła go ognista mgła.

- Nie ufam jego dziwnie opatrnościowym ostrzeżeniom! - krzyknął Zeno. - Wiem jedno: Conan zniknął wieczorem z obozu, by wdać się w jakieś ciemne sprawy w pałacu. Jestem pewny, że dowiedział się w jakiś sposób o zdradzieckim planie Ivora. - W tonie Zenona pobrzmiwała oskarżycielska nuta. - Ten uzurpator zwałił się nam na głowy w środku nocy, a tuż potem rozpętała się czarnoksiężska zagłada! Przeżyłem nie dzięki jego tak zwanej pomocy, ale mimo niej, za sprawą własnego sprytu i zręczności!

- A co z Bragiem? - rozległ się jeszcze jeden głos. - Conan zabił go i przerwał

pierścień okrażenia. Bez jego pomocy pewnie nie zdołalibyśmy się wyrwać.

- Bzdury! Szukał czezej chwały! Sam zdołałem przedrzeć się z grupą towarzyszy przez linię najemników Braga po południowej stronie obozu. - Słowa Zenona spotkały się z przytaknięciami otaczających go wojowników. -Pytanie brzmi, jak długo jeszcze pozwolimy temu barbarzyńcy wpychać się między lepszych od siebie, co do tej pory z taką łatwością czynił?

W zebranych wokół dębu tłumie wybuchły gwałtowne kłótnie. Raz jeszcze, podobnie jak podczas konfrontacji w obozisku, zarysowały się dwa obozy: część najemników zaczęła przesuwać się w pobliże Conana, inni podchodzili do Zenona. Nachmurzony Cymmerianin dostrzegł, że spór, aczkolwiek zażarty, miał ograniczony zasięg. Nad głowami skłóconych najemników dojrzał, że ich towarzysze spokojnie rozpalali ogniska, rozbijali namioty i wiązali bezładnie konie na stoku przeciwległego wzgórza.

- Mówię wam, przede wszystkim musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, kto po śmierci Hundolfa będzie dowodzić jego oddziałem. - stwierdził donośnym głosem stary najemnik o pobrużdżonej twarzy i siwym zaroście. Rozejrzał się po polanie, ściągnawszy w uśmiechu przypominające rzemienie usta. - Mamy dwóch chętnych do tej roli byczków. Powiadam, że zamiast się o to kłócić, powinniśmy załatwić to w tradycyjny sposób. Niech się biją o to stanowisko!

Propozycja najemnika spotkała się z głośnymi okrzykami poparcia. Tłum natychmiast zaczął się rozstępować, zostawiając szeroką przestrzeń Conanowi i jego rywalowi. Zeno wszedł na jej środek, gładko wyciągając miecz z pochwy.

- Stawaj do walki, Cymmerianinie, jeśli się odważysz! Spróbuj tym razem złamać mój miecz!

Milczący, przepelnięty gniewem Conan ruszył do przodu. Jego broń zatoczyła łuk i uderzyła potężnie w miecz Zenona... tylko raz, bowiem siła ciosu zmiotła ostrze młodzieńca w dół i na bok. Zamiast wnieść broń do kolejnego ataku, Conan naparł ciałem na swojego przeciwnika, uniemożliwiając mu wyprowadzenie ciosu. Miecz Cymmerianina upadł upuszczony na ziemię, gdy barbarzyńca zacisnął ręce wokół tułowia Koryntiańczyka.

- Aaach! Zachciewa ci się zapasów, co?! - zdołał wykrztusić z siebie spazmatycznie Zeno, niezdolny do zaczerpnięcia tchu.

Najemnik starał się kopnąć Conana, równocześnie szorując mu po plecach ostrzem długiego miecza. Skórzany kaftan Cymmerianina skazał jednak na niepowodzenie obydwie te metody obrony. Barbarzyńca spychał swojego przeciwnika w tył i kręcił nim wokół siebie, równocześnie zacieśniając coraz bardziej chwyt. Po paru chwilach Cymmerianin zdołał

dźwignąć bezskutecznie wierzgającego nogami Zenona nad ziemię. Choć Koryntiańczyk nie był ułamkiem, w ramionach Conana przypominał antylozę pochwyconą przez lwa. Zeno nie zamierzał się jednak poddawać. Wciąż zaciskając miecz w dłoni, drugą ręką starał się bez powodzenia dosięgnąć ukrytego w wysokim bucie sztyletu.

Conan po chwili przerzucił ramię nad barkiem przeciwnika i zacisnął wielką pięść na siedzeniu skórzanych spodni Zenona. Dźwignął swoją ofiarę poziomo nad głowę i ze sieknięciem cisnął ją przed siebie. Zeno wypuścił miecz z dłoni, by się na niego nie nadziać, i wylądował z łoskotem na wężlastym korzeniu dębu. Po upadku nie zdołał wstać; stękając z bólu, niemrawo wiercił się z twarzą przyciśniętą do murawy. Omijając Cymmerianina szerokim łukiem, dwaj towarzysze porucznika pospieszili, by się nim zająć.

- Proszę! Czy dzięki temu zasłużyłem sobie na rangę kapitana - przynajmniej na razie?

Zacisnąwszy srogo kwadratowe szczęki, Conan powiódł po grupie najemników wyzywającym wzrokiem. Odpowiedziały mu entuzjastyczne okrzyki i wylatujące w górę nakrycia głów. Cymmerianin wszedł pomiędzy wojowników; niektórzy poklepywali go serdecznie po ramionach, inni cofali się ostrożnie.

- Horus, przelicz żołnierzy, którzy nam zostali, zwłaszcza podoficerów - zwrócił się do wiekowego najemnika. - Obowiązki dowódcy wzywają mnie teraz gdzie indziej.

Opuścił krąg wojowników, stłoczonych w głębokim cieniu dębu i wyszedł na zalaną światłem słońca polanę. Na trawiastym stoku i wzdłuż brzegu strumienia powstał bezładny obóz. Wzgórze i rzeka stanowiły niewystarczającą obronę, zwłaszcza przed środkami, których mógł użyć przeciwko najemnikom Agohoth. Setki żołnierzy rozciągnęło się na trawie, opatrując rany swych towarzyszy, pakując ekwipunek oraz dyskutując o nocnej walce i ucieczce.

Conan przystanął przy napełnionej wodą kotle, uniósł przepołowioną tykwę do ust i zacerpnął kilka głębokich łyków. Kolejną porcją ochlapał sobie twarz i otrząsnął się. Przyglądając dłonią włosy, ruszył na spotkanie mężczyzny, przechodzącego wzdłuż rzędu związanych koni. Krępy wojownik był odziany w spłowiałą płaszcz, jaśniejszy od jego brązowej skóry, a jego głowę chronił stalowy hełm z ostrym szpicem. Zbliżywszy się do niego, Conan zawołał:

- Bądź zdrow, Aki!

- Ach, Conanie, to przykre, że Hundolf zginął - odparł pustynny wódz po turańsku, wiedząc, że barbarzyńca biegle posługuje się tym językiem. - Wiem, że był dla ciebie kimś więcej niż dowódcą. Uważałem go za swojego dobrego przyjaciela.

- Oczywiście - przytaknął Conan. - Chciałem cię zapytać, dlaczego zamierzasz

odjechać ze swoim oddziałem?

- Ach, zapomniałem, że jesteś teraz kapitanem. - Oficer zmrużył brązowe oczy. - Zająłeś miejsce Hundolfa; jego ludzie na pewno będą cię słuchać. - Przez chwilę spojrzął z zadumą w obojętną twarz Cymmerianina. - Odpowiem ci, przyjacielu: odjeżdżamy, ponieważ nasza służba skończyła się. Szeregi mojej kompanii zostały - jak wy, Hyborianie, to określicie? - przerzedzone. Miałem szczęście, ponieważ straciłem tylko paru ludzi, lecz nie łudzę się, że zdołamy się oprzeć kolejnym dżinom tego diabła Agohotha. Dlatego odjeżdżamy. - Na śniadej twarzy najemnika pojawił się mars. - Nie wiem, dokąd chcecie się udać, ja zamierzam dostać się do wschodniego Szemu. W którymś z tamtejszych miast- państw na pewno znajdzie się dla nas robota.

- Zamierzasz pozwolić Ivorowi cieszyć się zyskami, które nam się należą? - Conan uniósł brwi i utkwił spokojny wzrok w drugim dowódcy. - Potrafiłbyś z tym żyć, Aki? Myślisz, że zdołałbyś zachować szacunek swoich ludzi?

- Wszyscy mnie szanują! - odpowiedział ostro pustynny wódz, zwężając oczy. - Na Tarima, niechby tylko któryś spróbował inaczej! - Splunął w bok i wbił w Cymmerianina prowokujące spojrzenie.

- I ja także cię szanuję. - Barbarzyńca spokojnie skinął głową. - Wiem, że pragniesz jedynie uczciwego zwycięstwa i jak najlepszych łupów dla swojego oddziału. Upraszam cię jednak, nie wyjeżdżaj jeszcze z Koth. Chcę porozmawiać z tobą i pozostałymi kapitanami. Wszyscy poza Hundolfem przeżyli atak, prawda?

- Tak.

- W takim razie zaczekaj jeszcze trochę. Zbiorę resztę.

Aki Wadsai niechętnie skinął głową. Przyglądał się przez moment zawracającemu w stronę obozu Conanowi, po czym rozejrzał się wśród wojowników w poszukiwaniu znajomych twarzy. Po chwili wypatrzył Bilhoata w towarzystwie innych najemników z kompanii Vilezzy. Na widok Cymmerianina były złodziejaszek odłączył się od pozostałych i podszedł do niego z uśmiechem.

- Widzę, że zdołałeś zachować skórę na grzbiecie, chociaż wpadłeś w kłębowisko intryg i czarów. Na dodatek zostałeś wybawcą Wolnych Kompanii! Oto Conan, jakiego zawsze znałem!

Conan dobrodusznie skinął głową.

- Szukam twojego dowódcy, Bilhoat.

- Vilezzę? To proste; siedzi w tamtym namiocie i pije, żeby zobojętnieć, żeby podsycić w sobie pasję albo i po to, i po to.

- A co z Drusandrą? Czyjej kompania dotarła do obozu?

- Tak. Słyszałem, że rozbiły namioty w górnym biegu strumienia, w wąskim jarze pod kataraktami. Dostać się tam można tylko po stromym zboczu. Rozstawiły warty, by ustrzec się naszych natrętnych kamratów. - Bilhoat wyszczerzył złośliwie zęby. - Mimo to paru wojaków naradzało się, czy nie wyprawić by się później na łowy.

- Odradź im to. - Conan położył przyjacielowi dłoń na ramieniu. - Bilhoat, chcę, byś przyprowadził Drusandrę na naradę dowódców.

- Spróbuję - odparł z powątpiewaniem Stygijczyk. - Mam nadzieję, że te wywijające mieczami wiedźmy nie powieszają mnie na najbliższym drzewie.

- Jeżeli Drusandrą będzie się wzbraniać, powiedz jej, że osobiście gwarantuję jej bezpieczeństwo w obozie. - Cymmerianin uśmiechnął się z ironią. - Powinno ją to zezłościć wystarczająco, by przysłała. Tymczasem pogadam z Vilezzą.

Bilhoat ruszył w górę zbocza, a Conan odszedł w przeciwnym kierunku. Po drodze dogonił go Horus. Stary żołnierz przedstawił raport o stratach w kompanii Hundolfa.

- Conanie, ludziom zależy na silnym dowództwie; mamie się czują, porzuceni na łaskę losu we wrogim kraju - rzekł stary wojownik. - Większość z nich będzie stać przy twym boku do ostatniego tchu.

- Doskonale. Na razie zostań ze mną, jako mój zastępca.

Wyrwanie Vilezzy z pijackiego uzalania się nad własnym losem zabrało Conanowi nieco czasu. Pokryty brudem dowódca zdołał się wreszcie umyć i ubrać. Gdy wraz z Cymmerianinem wyszedł z pogrążonego w mroku namiotu na zewnątrz, Bilhoat wracał już do obozu. Parę kroków za nim podążały czujnie Drusandra i Ariel, nie zdejmując dłoni z rękojeści mieczy. Powitały je gwizdy i okrzyki. Na widok Conana płowowłosa wojowniczką skinęła zdecydowanie głową.

Kapitanowie i ich zastępcy zebrali się w pawilonie Akiego. Podczas ucieczki spod Tantuzjum zdołano zabrać jedynie płótno i cztery podpórki namiotu. Dwudziestka pustynnych wojowników przegoniła kręcących się wokół pawilonu najemników i objęła wartę w pewnym oddaleniu. Gdy dowódcy rozsiedli się wewnątrz ze skrzyżowanymi na wschodni sposób nogami, Conan zwrócił się do nich:

- Jako dowódca kompanii Hundolfa, proszę was, byście nie rozwiązywali swoich oddziałów ani nie wyprowadzali ich z Koth. - Rozejrzał się po najemnikach. - Wspólnie stanowimy liczącą się siłę. Możemy wywalczyć zapłatę od Ivora lub sprawić, że poczuje konsekwencje zdrady na własnej skórze.

- Wspaniały pomysł! - zawołał Vilezza. - Możemy wycisnąć z księcia żołąd przez

pustoszenie jego ziem. Zostało nas przecież dość, by puścić z dymem każdą budę na tych przeklętych wzgórzach i ugasić pożary kotyjską krwią! Pokażemy tym kundlom, co znaczy ostra stal! - Pijacka zapalczywość sprawiała, że mówił coraz głośniejszym głosem, nie dając wtrącić ani słowa pozostałym. - Może nie zdobędziemy bogatych łupów, ale wystarczy nam, by przez jakiś czas zabawić się i zapełnić brzuchy. Jeżeli będziemy mścić się za dnia i przemieszczać nocą Ivor i jego piekielny czarownik nie zdołają nas dopaść.

- Przenigdy, ty zapijaczona, ohydna świni! - Drusandra uniosła się na kolano, zaciskając dłoń na głównej rękojeści miecza. - Jeżeli marzy ci się gwałcenie i mordowanie kobiet tej prowincji, spróbuj tego, ale na własne ryzyko! Ja i moje towarzyszkę pokażemy ci, co znaczy z nami zadrzeć!

- Spokojnie. Milczcie, obydwójce! - przerwał im ostro Conan, po czym natychmiast podjął spokojniejszym tonem: - To prawda, że czeka nas walka, ale nie z prostym ludem. - Powiódł surowym wzrokiem po twarzach dowódców. - Wielu mieszkańców tych stron odwróciło się od Ivora, wielu innych wkrótce go znienawidzi. Nie ma sensu zabijać przyszłych sprzymierzeńców. - Zmarszczył brwi. - Musimy zaatakować bezpośrednio księcia i jego siły - wysłać liczne podjazdy lub może nawet przystąpić do oblężenia.

- Conanie, pomyśl, jakie to oznacza straty w ludziach i sprzęcie! - Aki Wadsai potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. - Spustoszenia, wywołane przez ognistą mgłę i utratę oddziału Braga sprawiły, że nasze siły zostały poważnie uszczuplone.

- Oddział Hundolfa - to jest mój - nadal liczy blisko tysiąc ludzi. - Conan skrzyżował ramiona na piersi. - Cały czas docierają do nas kolejni żołnierze, również z dawnej kompanii Braga. - Zwrócił się ku pozostałym kapitanom. - Drusandro, jak poradziły sobie twoje diablice? Wszystkie ocalały? Doskonale. Twój oddział, Vilezza, również poniósł o wiele mniejsze straty od mojego.

- Dzięki tobie, Conanie. - Zingarańczyk uczynił pulchną dłonią gest podziękowania.

- Jeżeli chodzi o zapasy, istotnie, straciliśmy większość taborów - kontynuował Conan. - Przez jakiś czas będziemy musieli łowić zwierzynę i, niestety, w rozsądnych granicach łupić. Są jednak w Koth grupy, które przyjdą nam z pomocą. Znam osobiście królewski ród Khoraji; jesteśmy niecałe dwadzieścia mil od tego królestwa. Założę się, że Khorajanie zechcą sfinansować powstanie przeciw tak niebezpiecznemu sąsiadowi, jakim jest Ivor...

Przerwał mu odgłos koni wjeżdżających na dozorowaną przestrzeń przed pawilonem. Odwróciwszy się, ujrzał dwóch jeźdźców zsiadających ze spienionych wierzchowców. Żołnierz w turbanie wszedł spieszenie do namiotu i skłonił się przed Akim.

- Panie, ci ludzie chcą rozmawiać z barbarzyńcą.

Conan podniósł się gładko na równe nogi, by powitać przybyszów - mężczyznę i kobietę. Ta ostatnia miała na sobie zakurzony strój, który Conan pamiętał z poprzedniej nocy. Wydawało mu się, jak gdyby było to wieki temu; na wspomnienie tego, co stało się później poczuł przenikające do szpiku kości znużenie.

- Eulalia! Randalf! Udało się wam wymknąć z pałacu!

- Tak, Conanie! - Pociągająca mimo wymiętego stroju i wyraźnego wyczerpania szlachcianka podeszła do Cymmerianina i uściśnęła mu rękę swymi szczupłymi dłońmi. Srodze zdruzony Randalf w pokrytym zakrzepłą krwią, o wiele za dużym płaszczu, zatrzymał się za nią i przywitał barbarzyńcę zdecydowanym skinieniem głową. - Baron Stefany również zdołał wyrwać się z miasta ze swoją służbą - kontynuowała Eulalia. - Wrócił do swojej posiadłości, by bronić jej granic. Ogłosił otwarty bunt przeciwko Ivorowi i przysłał nas do ciebie jako swoich emisariuszy.

- Zjawiacie się w dogodnym czasie. - Conan odwrócił się do pozostałych dowódców. - Eulalia i Randalf byli ze mną w pałacu zeszłej nocy, gdy Ivor zawarł ze Strabonusem zdradziecki pakt. Podobnie jak ja, zdołali uciec dzięki sprytowi i orężu. Zaświadczą, że w prowincji i samym Tantuzjum powstaje ruch sprzeciwu wobec Wora.

- Istotnie, tak właśnie się dzieje - rzekł Randalf. - Najgorsza biedota znalazła się na skraju rebelii. Nawet górale na obrzeżach podległych mi włości przestali popierać księcia. Kiedy dowiedzą się o jego ugodzie z królem, staną do otwartej walki.

- Widzicie: daleko do tego, by Koth zjednoczył się przeciwko nam. - Conan rozejrzał się po swoich towarzyszach. - Miejscowe stronnictwa gotowe są błagać nas o wsparcie.

- Więcej, Conanie - dodała Eulalia. - Baron ręczy, że wraz z popierającymi go ziemianami i pasterzami zapewni zaopatrzenie wszystkim najemnikom, którzy pozostaną w Koth, by walczyć z Ivorem.

- To nie wystarczy - wtrącił się Vilezza. - Jeżeli mamy walczyć, musimy otrzymać obiecany przez Ivora żołd, zapłatę za dodatkowy czas i udział w łupach. Jeżeli wasz baron się na to zgodzi, rychło zrównamy Tantuzjum z ziemią.

- Wolalabym walczyć przeciw siedzącemu obok mnie łotrowi, niż jakimukolwiek zdradzieckiemu księciu. - Drusandra spojrzała wrogo na Zingarańczyka. - Jeżeli opowiem się po waszej stronie, to tylko po to, by pomóc bezbronnyim kobietom i mężczyznom tego kraju, nie zaś, by powiększać ich niedolę.

- Doskonale, kobieto, walcz wraz ze swoimi piekielnicami za darmo! - zawołał z oburzeniem Vilezza. - I tak buntownicy nie będą mieli z was wielkiego pożytku. Co do



mnie, dowodzę dwunastoma setkami doborowych wojowników. Muszą dostać sprawiedliwą zapłatę, inaczej nie kiwną palcem!

- Na co nam się zdadzą pieniądze, jeżeli Agoth zetrze nas swoimi czarami na proch?  
- odezwał się wreszcie Aki Wadsai, kręcąc ze znużeniem głową. - Wszystkie łupy świata nie przydadzą się nam na nic, jeżeli zginiemy. Nie mamy o czym dyskutować, jeżeli nie zdołamy w jakiś sposób zabezpieczyć się. Marnując tu czas, zachowujemy się jak szaleńcy.

- Święta prawda. - Conan popatrzył na pustynnego wodza. - Ja również czuję zdrowy respekt przed czarownikami z kitajskiej gildii, która uczyła Agoth. Obydwaj walczyliśmy na Wschodzie; mało kto wie równie dobrze jak my, na co stać adeptów czarnej magii. - Wzruszył ramionami. - Mimo to, można ich pokonać albo uniknąć. Możemy toczyć podjazdową wojnę i wykonywać pozorowane ruchy, by mag nie trafił w nasze pobliże.

- To dziwne przypomnieć sobie, że cesarz Turanu przysłał Agotha, by wspomógł bunt Ivora - zastanawiała się na głos Drusandra. - Ciekawe, co cesarz Yildiz myśli o odnowieniu przymierza przez księcia i Strabonusa? Może odwoła czarnoksiężnika albo każe go zabić, by jego wrogowie nie wykorzystali umiejętności maga do swoich celów?

- Myślisz, że Yildiz jest w stanie to uczynić? - Aki Wadsai potrząsnął energicznie głową. - Agoth nie podlega już jego rozkazom, odpowiada wyłącznie przed swoimi kitajskimi mistrzami - niezależną, mroczną siłą. Gildia zwykła w każdym konflikcie służyć obydwóm stronom, dbając wyłącznie o własne, nieprzeniknione interesy. - Wódz pokręcił posępnie głową. - Myślę, że Kitajczycy wielce by się ucieszyli, gdyby zdołali rozszerzyć swe wpływy w hyborejskich królestwach na Zachodzie. Niech to będzie dla was ostrzeżeniem.

- Cesarz pewnie nie zdziwi się niestałością Agotha - powiedział Conan. - Może wysłał go właśnie po to, by czarnoksiężnik szerzył niezgodę i zniszczenie w stolicy Strabonusa. - Cymmerianin roześmiał się. - Na miejscu Strabonusa za żadne skarby nie wpuściłbym go na dwór. Zostawcie Agotha mnie - kontynuował. - Crom jeden wie, że krew mnie zalewa na myśl o czarach tak samo jak was. Mimo to miałem z nimi niejedną raz do czynienia i żyję. - Przeszedł kilka kroków między emisariuszami i siedzącymi na ziemi dowódcami. - Nie tak dawno temu pomagałem księżniczce regentce Yasmeli umocnić się na tronie Khoraji. Przyszło mi stoczyć walkę z czarnoksiężnikiem - powstałym z martwych magiem, który połknąłby naszego marnego zaklinacza bez popijania. - Powiódłszy spojrzeniem po pełnych niedowierzania twarzach towarzyszy, dodał pogodnym tonem: - Doszło do tego przez przypadek; do walki skłoniła mnie świątynna wyrocznia. Tak czy owak, przysięgam, że dotrwam do końca tej kampanii. Jak słyszeliście, Stefany i jego zwolennicy staną po naszej stronie. Jeżeli mnie nie opuścicie, wspólnie pokażemy Ivorowi, co znaczy

uczciwe postępowanie. Jeśli zaś chodzi o dowodzenie - wzruszył ramionami - wszyscy jesteśmy doświadczonymi oficerami. Powinniśmy jakoś dogadać się w sprawach strategii.

- Będę walczyć u twego boku, Conanie, jeżeli Aki Wadsai pozostanie z nami - jako pierwszy odezwał się Vilezza.

- Ja również. - Drusandra rzuciła Zingarańczykowi prowokujące spojrzenie.

- Co powiesz, sługo Tarima? - Conan utkwiał wzrok w śniadej, nieprzeniknionej twarzy koczownika. - Skoro nasi nieprzyjaciele łączą swe siły, powinniśmy zrobić to samo.

Pustynny jeździec skłonił wreszcie głowę.

- Dobrze, Conanie. - Wstał, by ucisnąć dłoń uśmiechniętego Cymmerianina i skulił się, gdy zadowolony barbarzyńca klepnął go z całej siły po ramieniu. - Pod warunkiem, że Stefany i jego zwolennicy zaproponuj ą nam godziwą zapłatę.

- Jestem pewna, że baron okaże niepospolitą hojność - zapewniła nomada Eulalia, podchodząc do niego z promiennym uśmiechem.

- Conanie, nie możemy rozbić tu obozu na stałe - Drusandra odciągnęła Cymmerianina na bok za rękaw. - To śmiertelna pułapka, poza tym nie mogę tu zapewnić bezpieczeństwa moim towarzyszkom.

- Zapewne. - Conan pogładził się w zadumie po szczęce. - Musimy znaleźć bezpieczne miejsce w odległości dogodnej do zaatakowania Tantuzjum. Zanim rozpoczniemy oblężenie miasta, będziemy musieli również rozprawić się z czarnoksiężnikiem...

Walna narada dowódców przeciągnęła się do późnego popołudnia. Po jej zakończeniu Aki Wadsai zaoferował Eulalii i Gandalfowi względnie wygodne kwatery w swojej części obozowiska, pozostali kapitanowie i ich zastępcy zaś wrócili do własnych oddziałów.

Conan, którego myśli wciąż zaprzętały plany walki i warunki zapłaty, dotarł samotnie pod wielki dąb. Był zadowolony, że może zastanowić się bez przeszkód.

Właśnie wtedy, gdy przemierzał spłacheć zdeptanej przez najemników trawy, usłyszał za sobą szelest deptanych chwastów. Cymmerianin błyskawicznie odwrócił się i sięgnął po miecz, w jednej chwili zamieniając się w czujnego dzikusa z pustkowi.

Podążający za Conanem mężczyzna przystanął w odległości kilku kroków. Blask zachodzącego słońca pozwalał rozpoznać go bez trudu.

- Zeno! - Conan sprężył się, na razie nie wyciągając miecza. - A więc nie zakończyliśmy porachunków!

- Nie, Conanie. - Najemnik stał tuż poza zasięgiem broni, gładząc palcami rękojeść swego miecza. - Podczas dzisiejszego pojedynku upokorzyłeś mnie bardziej, niż mógłby znieść jakikolwiek wojownik - rzekł zniżonym, niemal chrapliwym głosem. - Czy jesteś

oszustem czy uczciwym człowiekiem, lepiej byłoby, gdybyś mnie zabił.

- Być może. - Conan nie spuszczał wzroku z krępego najemnika.

Gotowy do walki Zeno stał nieco sztywno, zapewne obolały po wcześniejszym upadku.

- Ciekaw jestem, dlaczego tego nie zrobiłeś.

Ponieważ jedyną odpowiedzią Cymmerianina było milczenie, Zeno kontynuował:

- Szukałem cię później, by pomścić obelgę, lecz wokół ciebie kręciło się zbyt wielu najemników. Potem odbyłeś naradę z dowódcami - przyglądałem się temu z tłumu. - We wzroku rudowłosego wojownika pojawiła się mieszanina determinacji i niepewności. - Byłem zbyt daleko, by dosłyszeć, o czym rozmawialiście, lecz nie mam wątpliwości, że pozwoliłeś sobie na niepospolitą bezczelność, dzikusie z Północy. Bezgraniczną, obrzydliwą bezczelność. - W spojrzenie najemnika wkradła się odrobina mimowolnego szacunku. - Nie tylko zawładnąłeś kompanią Hundolfa, lecz zdołałeś sobie podporządkować wszystkie pozostałe, czy ich dowódcy zdają sobie z tego sprawę czy nie.

Conan zmarszczył brwi i obojętnie wzruszył ramionami.

- I co z tego?

- To, że zdołałeś dokonać więcej niż ja... niż osiągnąłbym na twoim miejscu. - Zeno ściągnął brwi z namysłem. - Chociaż był moim przyjacielem... wiem, że Stengara trudno było znieść. Nie jestem już pewny, czy zabicie go było z twojej strony zbrodnią. - Zawahał się, po czym podjął na nowo: - Możliwe, że nadajesz się na dowódcę, chociaż wcześniej tego nie dostrzegłem. - Spuścił wzrok. - Tak czy inaczej, gotów jestem oferować ci swoje usługi.

Conan skinął głową i powiódł spojrzeniem po Zenonie.

- Mógłbyś być dobrym oficerem - o ile najemnicy cię zechcą.

Rudwłosy najemnik wyprostował się pod wpływem wzroku Cymmerianina.

- Nie sądzę, by ktokolwiek inny niż ty, kto miałby ochotę rzucić mi wyzwanie, poradziłby sobie ze mną tak łatwo.

Conan popatrzył na niego jeszcze przez chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Wobec tego załatwione! - Ruszył naprzód i uściśnął serdecznie nadgarstek Zenona na najemniczą modłę. - Razem ze starym Horusem będziecie moimi zastępcami. - Nagły ruch Conana sprawił, że krępy wojownik sprężył się przez moment, lecz Cymmerianin jedynie z satysfakcją poklepał go po ramieniu. - Najbliższe dni zabierze mi dojście do ładu z pozostałymi kapitanami i resztą najemników. Pewnie okaże się, że będziesz mieć niemal równie wielką władzę nad kompanią jak Hundolf.

Conan kazał Zenonowi urządzić zbiórkę i zostawił go, by porozmawiać z Horusem.

Stary wojownik przyglądał się z bezpiecznej odległości ich rozmowie.

- Naprawdę zamierzasz zaufać Koryntiańczykowi? - zapytał zahartowany wojak. - Nie zapomni o urazie do ciebie i będzie próbował zwrócić oficerów przeciw tobie.

- Wkrótce znajdzie się okazja wypróbować jego umiejętności i wierność. - Cymmerianin wzruszył ramionami. - Jutro o świcie ruszamy.

## XVII

### OSTRZA GÓR

W wąskiej dolinie rzeki Khorgas rozlegał się łoskot kopyt. Tam, gdzie łąki dochodziły do samego brzegu strumienia, tętent cichł, lecz w miejscach, gdzie droga wiodła po wyschniętych zboczach wzgórz, hałas narastał przy akompaniamencie grzechotu osuwających się skalnych odłamków i żwiru. Łomotowi kopyt towarzyszyły przez cały czas okrzyki i szcęknięcie rynsztunku źle wyposażonych oddziałów, rozpaczliwie starających wymknąć się silniejszej armii.

Rzeka toczyła swe wody przeważnie wśród pól i pastwisk. Okolone stromymi stokami wzgórz dno doliny upstrzone było chatami chłopów pańszczyźnianych i rzadkimi domostwami pośledniej szlachty. Przedwieczny wstrząs wznosił wszelako barierę dla biegu rzeki: przegradzając dolinę w poprzek grań ostrych, kruszących się skał.

Strumień w powolny, lecz niepowstrzymanie cierpliwy sposób uporał się z przeszkodą: wyrył sobie drogę u podnóża stoku po drugiej stronie niecki. Rzeka, którą niemal na całej długości można było bez trudu pokonać w bród, tu zamieniała się w ciąg kaskad i głębokich rozlewisk. Trakt z konieczności wiodł w tym miejscu skrajem wyłaniających się na powierzchnię ziemi połaci gołych, łupkowych skał, zamieniając się w zwykłą ścieżynę. Szlak biegł kawałek niebezpiecznie blisko nad kataraktami, nim rozszerzał się ponownie, zbiegając w rzadko zalesioną dalszą część doliny.

Właśnie po tym zboczach galopowały dziś niedobitki najemnych sił. Najnędniejsi wojownicy dosiadali najmarniejszych chabet i osłów. Za nimi posuwała się kawalkada zwierząt pociągowych. Orszak zamykała straż tylna: tuzin uzbrojonych w lance i tarcze Szemitów w stalowych hełmach, dosiadających żwawszych południowych ogierów. Uformowani w rzadką linię członkowie ariergardy nerwowo oglądali się na opuszczaną dolinę, podczas gdy ich wierzchowce z wysiłkiem wspinały się po skalistym trakcie.

Gdy ostatni z mułów taboru zniknął za wzniesieniem, spomiędzy kępy drzew w dolinie wyjechał galopem konny zwiadowca.

- Naprzód, kuzyni! Wrogowie następują mi na pięty! - zawołał w szemickim dialekcie.

Dotarłszy na zbocze, zajął miejsce w szyku za pozostałymi jeźdźcami. Końskie kopyta wzbijały na pnącym się w górę trakcie długi obłok kurzu.

Po chwili zza drzew w dole wypadła co najmniej setka zbrojnych w purpurowych strojach. Ich konie posuwały się różnym galopem, stalowe zbroje żołnierzy rzucały jaskrawe

odblaski słońca. Ścigający najemników oddział cesarskiej armii Koth rozsypał się w szeroką tyralierę, lecz gdy żołnierze dotarli na nierówny grunt, musieli zacieśnić szyk, a ich tempo jazdy spadło. Przez chwili niezdecydowanie krążyli u podstawy zbocza. Po wykrzyczanym gromko rozkazie dowódcy bezładny orszak konnicy natychmiast zamienił się w pojedynczy szereg i ruszył traktem za pierzchającymi najemnikami.

Stromy odcinek drogi był wąski i kręty, co zmusiło jeźdźców do zwiększenia odległości między sobą. Chociaż pierwsi żołnierze kotyjskiego oddziału dotarli już do względnie równej grani nad kataraktami, nie zjechali na oślep pomiędzy karłowate sosny. Dowodzący nimi młody oficer dostrzegł bez trudu, iż tropy uciekinierów w tym miejscu niknęły. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby najemnicy zaczęli się na swych prześladowców. Zdecydował, iż lepiej poczekać na resztę oddziału i ruszyć dalej z pełnymi siłami. Zdawał sobie sprawę, iż minie trochę czasu, nim reszta zbrojnej szpicy podąży za nim w głąb jaru. Pchnął naprzód dwójkę zwiadowców, a ze stopniowo docierających na szczyt skalnej grzędy jeźdźców uformował obronny, łukowaty szyk w poprzek traktu.

Dowodzący całym oddziałem starszy oficer, Tosc, dotarł na szczyt dopiero wtedy, gdy znalazła się tam ponad połowa Kotyjczyków. Tosc dowodził pościgiem za najemnikami od świtu, gdy tylko patrole doniosły o wypatrzeniu ognisk uciekinierów. Dowódca nakazał żołnierzom natychmiast ruszać dalej, a swemu podwładnemu wytknął kąśliwie, że skoro najemnicy nie trudzili się zorganizowaniem obrony na szczycie, jest mało prawdopodobne, by posunęli się do tego w głąbi doliny. Oddział ruszył szerokim frontem między strumieniami i zboczami wzgórz.

Gdy Kotyjczycy wjechali kilkadziesiąt kroków między drzewa, natrafili na trupy dwóch swoich towarzyszy. Każdego ze zwiadowców strąciło z siodła co najmniej pół tuzina strzał. Żołnierze zaczęli nerwowo rozglądać się po otaczających ich ze wszystkich stron zaroślach ze zdwojoną podejrzliwością. Gdy za ich plecami rozległ się zgiełkliwy chór bojowych okrzyków i ogłuszające grzechotanie kamieni, nie zdołali utrzymać nakazanego szyku.

Tosc zawrócił konia i pognął w górę zarośniętego sosnami stoku, lecz łupkowe zbocze pełne było najemników. Zaczajeni w zasadzce niedawni uciekinierzy zasypywali strzałami i kamieniami zciśniętą na wąskim odcinku drogi część kotyjskiego oddziału. Niektórzy podważali skalne odłamy drzewcami włóczni i spychali je w dół. Tuzin ludzi wcisnął się w szczelinę przy szczycie grani. Oparli się plecami o litą skałę, splekli ręce i zaparłszy się nogami w sterczący blok kamienia, zdołali zepchnąć go w dół zbocza. Oficerowi pozostało tylko przeglądać się, jak skalna bryła zsuwa się wśród lawiny kamieni oraz żwiru, zmiatając

do rzeki odcinek traktu i kilku jeźdźców z wierzchowcami.

Kotyjski dowódca pogalopował wraz z częścią żołnierzy w stronę grani. Po drodze przyglądał się niepowodzeniom swych podwładnych, którzy usiłowali szturmować gniazda obrony wroga. Cesarscy żołnierze - ci, którzy zdołali zmusić swe konie do wspinaczki po stromym zboczu - po dotarciu do pozycji najemników byli spychani włóczniami z siodeł.

Dowódca zawrócił w głąb jaru. Odcięty od reszty wojsk Tosc, nie widział sposobu, by się przedrzeć. Wykrzykując rozkazy, poprowadził swoich ludzi do desperackiej szarży na skrytych w lesie nieprzyjaciół.

Tymczasem na dnie doliny pojawiło się już mnóstwo najemników. Salwa z łuków zmiotła z koni wysuniętych do przodu jeźdźców. Tosc ujrzał, jak młody podoficer zsuwa się na ziemię, dławiąc się krwią z przebitego pociskiem gardła. Łucznicy wycofali się między drzewa, ciągle wypuszczając strzały.

Wjechanie w las osłabiło impet szarży Kotyjczyków. Konnica daremnie starała się dogonić pierzchających w zarośla pieszych, ponosząc po drodze srogie straty i tracąc łączność z dowództwem.

Po chwili pojawiło się nowe zagrożenie, zwiastowane tętentem kopyt, chlupotem rozbryzgiwanej wody i ostrym graniem myśliwskich rogów. Setka najemnej jazdy pokonała bród nad kaskadami i wbiła się w nie osłoniętą flankę Kotyjczyków. Cesarska konnica mogła wreszcie walczyć z takim samym rodzajem wojsk przeciwnika, lecz znalazła się w bardzo nie sprzyjającym położeniu, jej siły bowiem zostały w pościgu przerzedzone i rozproszone. Mimo to Kotyjczycy walczyli ze zrodzoną z desperacji zażartością. Tosc zginął jako jeden z ostatnich, strącony z siodła mieczem wrzeszczącego na całe gardło barbarzyńcy, galopującego na czarnym jak węgiel ogierze.

- A niech cię, Conanie, toż to pogrom! - zawołał szemicki oficer, ściągając wodze zbryzganego krwią konia obok Cymmerianina. - Zwyciężyliśmy, o ile zza szczytu nie pojawi się reszta kotyjskiego legionu!

- Nie, Elael! - Barbarzyński wojownik roześmiał się - Uprzątnięcie drogi zabierze Kotyjczykom wiele godzin. Minie pewnie parę dni, zanim zdołają przeprowadzić tabory na drugą stronę.

- A myślałem, że marny z ciebie generał, kiedy pozwoliłeś większości swojej armii wysunąć się tak bardzo przed najgorszych ciurów! - Szemita wyszczerzył przedzielone licznymi lukami zęby. - Widzę, że był to fortel, by zyskać czas na przygotowanie zasadzki!

- Owszem - Cymmerianin skwitował rzeczowo pochwałę towarzysza. - Znalazłeś się w srogich opałach: musiałeś poganiać naszych najbardziej opieszłych ludzi, by uciec przed

najszybszymi z Kotyjczyków, ale doskonale ci się to udało. Teraz bez trudu będziemy mogli zaszyć się na wzgórzach.

Kapitan Vilezza zatrzymał konia po drugiej stronie Conana.

- Może powinniśmy zorganizować obronę właśnie tutaj? Moglibyśmy bronić się w tej dolinie do końca świata.

- Nie. - Cymmerianin zmarszczył brwi. - Musimy polegać na błyskawicznych atakach i uciezkach. Nie wolno nam dać się wciągnąć w dużą bitwę. - Obrzucił śniadego mężczyznę chłodnym wzrokiem. - Brak nam zapasów, ale możemy szybko się przemieszczać. Jeżeli dotrzemy do granicy z Khorają, może znajdziemy tam sprzymierzeńców. Poza tym jestem pewny, że żaden kotyjski generał nie poważy się na wjechanie za nami do Khoraji bez jednoznacznych rozkazów ze stolicy.

- Doskonale, Conanie. - Gdy Vilezza się uśmiechał nastroszyła się czarna szczecina na jego podbródku. - Baw się dalej w wielkiego wodza. Wyciągnąłeś nas z kłopotów, chociaż deptał nam po piętach cały kotyjski legion. - Gdy Cymmerianin zawrócił konia i odjechał stępa, kapitan zwrócił się czujnym, zniżonym głosem do Szemity: - Założę się, że nie podałem nam prawdziwych powodów, dla których chce jechać do Khoraji.

Po uporządkowaniu spraw na tyłach kolumny najemników, orszak pod dowództwem Conana ruszył w drogę do granicy. Po drodze jego grupa minęła kolumnę taborów oraz wysunięte oddziały armii i dotarła do granicy jako jedna z pierwszych. W miarę jak posuwali się naprzód dolina zwężała się, objęta teraz już nie wzgórzami, lecz zwieńczonymi lśniącymi czapami śniegu górami, rzeka Khorgas zaś zamieniła się w rażno szumiący strumyk.

Conan i jego towarzysze zatrzymali wreszcie konie na łące pełnej dzikiego kwiecia. Rozprostowując zdętwiałe odjazdy w siodle nogi, Cymmerianin ruszył stromym nasypem, prowadzącym do kwadratowej wojskowej wieży, zbudowanej na skalnym występie u podnóża góry. Spiżowe wrota stały otworem; wewnątrz barbarzyńca zastał Zenona i sześciu innych najemników. Wojownicy podziwiali z wąskich okien widok na dolinę. Uciekająca armia zbliżała się do twierdzy po trakcie, nad którym dominowała wyniosła forteca.

- Granicznego posterunku pilnowało ośmiu strażników - powiedział Zeno. - Uciekli, gdy się zbliżyliśmy. Nie ścigaliśmy ich, zgodnie z twoim rozkazem.

- Dobrze. Zostaniecie tutaj, by osłaniać nasze tyły. Zabraniam wam niszczyć wieżę. - Conan podszedł do poobijanej drewnianej szafki na ubranie w głębi strażnicy. Znalazł w niej mnóstwo zielonych zimowych płaszczy khorajańskich pograniczników. - Jeżeli zjawią się legionieści, włóżcie je i spróbujcie ich zawrócić, bądźcie butni i pokrzykujcie, że żadna armia nie może wkroczyć bezkarnie na niezależne ziemie Khoraji i tym podobne. Jeżeli mimo to



przekroczą granicę, wycofajcie się. Zorganizujemy obronę głębiej w dolinie.

- Na strychu są całe kosze strzał - rzekł Zeno, skinąwszy głową. - Jeżeli potrzeba, możemy odpierać Kotyjczyków przez wiele dni.

- Nie, potrzebuję każdego oficera i każdego żołnierza - Conan uśmiechnął się i pokręcił głową. - Wkrótce mi się przydasz.

Wyszedł z twierdzy i podjechał z resztą straży przedniej przez łąki i zagajniki do miejsca, gdzie zaczynało się porośnięte trzcina jezioro zajmujące niemal całą szerokość doliny. Najemnicy oczyścili wąski pas ziemi między brzegiem jeziora i zboczem, po czym za pełnym wody rowem ułożyli barykadę z kłód drewna.

Kiedy nadjechał Aki Wadsai i złożył meldunek o rozmieszczeniu posterunków obronnych po zwróconej w stronę Khoraji stronie obozowiska, Conan mógł go uspokoić:

- Jeżeli Khorajańscy górale zapragną nas stąd przepędzić, zaatakują nas ze szczytów - zapewnił towarzysza. - Zwyczajne szańce na nic się nam nie przydadzą. Czy chcemy, czy nie, musimy polegać na ich dobrej woli.

## XVIII

### POWTÓRNE SPOTKANIE

Pod koniec dnia, gdy rozpalano ogniska, a myśliwi znosili do obozu jelenie, gołębie i ryby na wieczorny posiłek, spotkali pierwszych Khorajańczyków. W obozie złożył wizytę czteroosobowy patrol. Żołnierze w lekkich zbrojach i uniformach królewskiej gwardii wjechali dostojnie między ogniska na jednakowych białych wierzchowcach. Herold zsiadł z konia i zagadnął znajdujących się w pobliżu oficerów.

- Mówią, że w imię króla Khossusa i szlachty Khoraji masz jechać z nimi - powiadomiła Conana Drusandra, gdy ten dołączył do oficerów. - Odniosłam wrażenie, że osoba z królewskiego rodu czeka na ciebie niedaleko stąd. Nie powiedziano nam jednak, kto ani gdzie. - Powiodła po Cymmerianinie baczny spojrzeniem. - Nie wiedziałam, że obracasz się w tak wysokich kręgach.

- Ja również. - Conan ruszył w stronę pasącego się nad brzegiem jeziora swojego konia.

- Paru z nas powinno pojechać z tobą - stwierdził zapalczywym tonem Vilezza, gdy Cymmerianin wrócił z osiodłanym wierzchowcem. Zingarańczyk wyglądał na zawiedzionego, że nie otrzymał królewskiego zaproszenia. - Skąd wiemy, że nie szykuje się jakaś zdrada?

- Osobiście nie obawiam się zasadzki. Zamierzam otwarcie rozmówić się z khorajańską świtą. - Conan wskoczył gładko w siodło. - Jeżeli lękasz się zdrady z mojej strony, narażałbyś się na większe niebezpieczeństwo jadąc ze mną, niż zostając tutaj z moimi i twoimi oddziałami.

Vilezza przez chwilę rozważał argument Cymmerianina, po czym kiwnął głową.

- Bardzo dobrze, Conanie. Jedź, będziemy na ciebie czekać - ale najpóźniej do jutra, do południa - rzekł zdecydowanym głosem, jednak na tyle cicho, by nie słyszała go czekająca khorajańska eskorta. - Potem postaramy się wywalczyć drogę odwrotu z gór - sam nie wiem jeszcze, przez Koth czy Khoraję.

- Dobrze. Wrócę do tego czasu.

Conan skierował konia między wierzchowce asysty, po czym wspólnie ruszyli w stronę górnego wylotu doliny. Orszak ruszył rażno stromymi, krętymi górskimi ścieżkami. Mimo światła zniżającego się słońca, w cieniu dolomitowych szczytów panował przenikliwy chłód. Nieskalana, malownicza okolica zaczynała jednak nudzić Cymmerianina po

całodziennej podróży. Poczul więc ulgę, gdy wypatrzył lśniąca tafle wysokogórskiego stawu i piętrzącą się nad nim bryłę zamku.

Warownię zbudowano na skalnej wyniosłości nad brzegiem. Otaczał ją mur, wzmocniony parą okrągłych wieżyczek. Po wjechaniu na dziedziniec po zwodzonym moście nad fosą, Conan z zaskoczeniem stwierdził, że część warowni zwrócona w stronę jeziora była pozbawiona murów; z brzegiem sąsiadowały werandy i pomosty, do których przycumowane były galery i łódki do wypoczynkowych przejażdżek. Kolejne piętra wybudowanej ze wspaniałego marmuru rezydencji zwały się, opatrzone galeriami z kunsztownymi krużgankami, nad całością górowała zaś zgrabna kopuła.

Conan zsiadł z siodła i pozostawiając pieczę nad wierzchowcem swojej asyście, ruszył w stronę wysokich, podwójnych drzwi pałacu. Za wejściem znajdowała się wysoka komnata, oblicowana szarym marmurem o różowym żyłkowaniu. Dwie służki w półprzejrzystych szatach pospieszyły na jego powitanie z misą, płótnami i taboretami. Zasiadłszy na wyściełanym siedzeniu, Cymmerianin dał sobie obmyć w perfumowanej wodzie skurzone stopy i sńiade ramiona.

Po chwili usłyszał znajomy głos, dobiegający zza drzwi w głębi przedsionka. Natychmiast zerwał się na równe nogi, odprawił zajmujące się nim kobiety i bosy ruszył w stronę wejścia w głąb pałacu.

Przechodząc przez złocone odrzwia, przystanął. Przed sobą miał wystawną komnatę sypialną, pozbawioną ścian od strony jeziora. Na posadzce kładły się różowawe promienie zachodzącego słońca. Wąskim pasemku wody utorowano drogę do wnętrza; wlewała się do owalnego, wykładanego marmurem basenu na środku komnaty. Brodziła w niej nieskrępowana obecnością służącego w lamowanej złotą nicią tunice, naga jak ją bogowie stworzyli regentka Khoraji, księżniczka Yasmela.

- Conanie! Nie spodziewałam się...

Yasmela zarumieniła się, lecz nie odwróciła głowy ani nie starała się okryć. Służący, chociaż nie był wojownikiem, gorliwie ruszył w stronę barbarzyńcy, by bronić swej pani. Conan nie mógł oderwać wzroku od wyłaniającego się z wody jak błydy kwiat ciała księżniczki, nie zważając na szarpiących go gorączkowo w tył służkom.

- Zaczekajcie! Wszystko w porządku, pozwólcie mu zostać! - rozległ się melodyjny głos Yasmeli. Woda zapluskala o płyty marmuru, gdy księżniczka bez pośpiechu wyszła na brzeg basenu i wzięła z rąk służy kąpielowe prześcieradło. - Możesz odejść - polecila mu. - Wy również, ale dopilnujcie, byśmy nie musieli czekać długo na wieczerzę - polecila kobietom.

Po ich odejściu Conan podbiegł w stronę księżniczki.

- Yasmela! Stęskniłem się za tobą, dziewczyno! Chodź, niech cię obejmę...

Nim zdołał do niej dotrzeć, Yasmela owinęła się szczelnie krótkim prześcieradłem i stanęła za stolikiem z rzeźbionego onyksu.

- Nie, Conanie, nie zbliżaj się! To nie czas na...

Wojownik zatrzymał się nagle, nachylił się przez stół ku księżniczce i zacisnął dłoń na skraju ciemnego, lśniącego kamienia tak, że mu zbieleły kłykcie.

- Nie bój się, kobieto, nie zamierzam ci wyrządzić krzywdy. - Zrobił nachmurzoną minę. - Bądź jednak po trzykroć przeklęta, jeżeli zamierzasz znów zwodzić mnie miesiącami tak, jak na swoim dworze...

- Nie, Conanie, obiecuję! Tęskniłam za tobą przez cały czas, tak jak i ty pewnie. Musimy jednak wiele sobie powiedzieć, załatwić wiele spraw.

Mimo wzburzenia, Conan stwierdził, że jest w stanie uwierzyć dziewczynie, stojącej naprzeciw niego w niemal przezroczystym od wilgoci prześcieradle. W jej spojrzeniu było tak wiele ciepła, które pamiętał, nic zaś z późniejszego irytującego pochłonięcia własną osobą.

- Dowiedziałam się od mojego szpiega, jaką rolę odegrałeś w kotyjskiej rebelii, Conanie. Myślę, że nie powinnam być zaskoczona - wszakże dowodziłeś z wielką zręcznością armią mej ojczyzny.

- Zapewne. - Cymmerianin złożył ramiona na piersi. - Tym razem jednak nie dokonałem tego przez wzgląd na kaprys boga, kapłana... czy księżniczki. - Popatrzył na Yasmelę nieprzeniknionym wzrokiem. - Trafiłem tu na skutek moich czynów, nieprzewidzianego rozwoju wypadków i rozlewu krwi.

- Obecnie książę Tantuzjum pragnie pokoju z kotyjskim suwerenem, lecz ty postanowiłeś trwać w otwartym buncie.

Yasmela bez fałszywego wstydu odrzuciła prześcieradło i podeszła do rzeźbionego krzesła, na którym złożono jedwabny kostium, przystrojony drobnymi, połyskującymi piórami. Księżniczka związała luźno spódnicę na gibkich biodrach, zgrabnie wciągnęła bluzkę i zapięła ją na perłowy guzik. Cymmerianin patrzył na nią wzrokiem wygłodniałego kota. Piersi Yasmeli kusząco kołysały się pod tkaniną.

- Zgadza się. Ten zdracza gotów był sprzedać nas wszystkich hurtem do zambulańskiego zamtuza. Co myślisz o tym diable wcielonym?

- O Ivorze? Nigdy go nie spotkałam, lecz doskonale poznałam jemu podobnych na własnym dworze! - Yasmela wróciła do stołu i wsparła kolano na jednym z onyksowych krzeseł, nie spuszczać wzroku z Cymmerianina. - Zaczynają mnie męczyć ci małoduszni,

pełni pychy szlachetkowie. Wykręcają się przed wszystkimi poleceniami ze stolicy, głosząc, że bronią swojego honoru i swobód, chociaż w rzeczywistości zależy im wyłącznie na władzy - możliwości nieskrępowanego łupienia kraju i wycisku poddanych. Dlaczego lud nie dostrzega, że panujący monarcha jest w istocie jego sprzymierzeńcem w walce z tymi zaściankowymi tyranami?

- Dane mi było poznać króla Strabonusa Kotyjskiego. - Conan wzruszył ramionami. - Nie różni się wcale od sprzeciwiających mu się satrapów.

- Być może. Nawet mój brat, król Khossus, nader ich przypomina. - Yasmela westchnęła i popatrzyła porozumiewawczo na Conana. - Od czasu, gdy uwolniłeś go z lochów w Ofirze, rządzi coraz gorzej, zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałam. Dzień w dzień jest coraz bardziej pochłonięty kwestiami dyplomacji i protokołu, nocami zaś folguje sobie, żłopiąc wino lotosowe i zabawiając się ze sprowadzonymi z zagranicy tancerkami. Tymczasem istotne sprawy kraju dostały się w ręce nadwornych łotrów i intrygantów. - Księżniczka osunęła się na krzesło, splatając ramiona nad obszytym piórami dekoltem. - Dla dobra naszego rodu jestem zmuszona coraz częściej brać sprawy we własne ręce. Chociaż idzie mi to całkiem nieźle, pod rządami Khossusa nie mam żadnej oficjalnej władzy. - Potrząsnęła głową z desperacją. - Brat nie ma żadnego pojęcia o panowaniu! Często wspomina o wydaniu mnie za mąż za jakiegoś tłustego szemickiego króla w zamian za korzystne traktaty kupieckie!

Conan słuchał cierpliwie Yasmeli. Teraz, gdy regentka okryła dobrze przezeń zapamiętane kształty, łatwiej było zwrócić uwagę na niepospolite piękno jej twarzy, zielonkawe oczy, subtelną, oliwkową karnację. Ciemne włosy księżniczki spływały ku jej brwiom. Za każdym razem, gdy potrząsała głową, ich wilgotne, zawijające się końce spadały na ramiona. Stanowiła wspaniałą zdobycz, którą Cymmerianin niegdyś posiadał. Mimo to, gdy żaliła się na płynące z jej pozycji troski, Conan przypominał sobie wszystkie powody, dla których zdecydował się nie zostawać u jej boku.

- Istotnie - rzekł po jej ostatniej skardze. - Khossus mówił o potrzebie wyszukania dla ciebie odpowiedniego męża, gdy tłumaczył mi, dlaczego nigdy nie mogłbym otrzymać w Khoraji naprawdę znaczącego stanowiska czy tytułu.

- Tytułu mojego małżonka, czyż nie? - Yasmela spojrzała przenikliwie na Conana. - Obawiam się, że to prawda. Może jednak...

Urwała raptownie, gdy zza wejścia do komnaty rozległ się odgłos kroków. Trójka służących powróciła niosąc jedzenie na tacach z błękitnego kryształu. Rozstawili na stole między Cymmerianinem i księżniczką barwny jak tęcza zestaw dań: nadziewane, połyskujące

od sosu łowne ptactwo, gorący, wonny bochen złotego chleba i stos kandyzowanych i przyprawionych egzotycznych owoców. Obok znalazły się dzbany z winem i sztuce. Służący pozostali przy stole, dzieląc jedzenie na porcje, dopóki księżniczka nie odprawiła ich z komnaty.

- Wierzę, że stanęliby w mojej obronie, ale wolę nie mówić przy nich, co leży mi na sercu - stwierdziła Yasmela. - Powinnam była zabrać zaufaną Vatesę, ale chciałam, by nadstawiała uszu w pałacu podczas mojej nieobecności.

Przez pewien czas obydwójce jedli w milczeniu. Księżniczka zaledwie przegarniała potrawy po talerzach, przyglądając się, jak Conan nagarnia sobie wielkie porcje, po których błyskawicznie nie zostawało śladu. Tymczasem zapadał zmierzch. Jezioro stało się gładkie jak lustro, odbijające przechodzący z purpury w ciemny błękit nieboskłon, okolony czarnymi zębami górskich szczytów.

Gdy barbarzyńca wreszcie odsunął zasłany resztkami jedzenia talerz, powróciły służące. Sprzątnęły stół i zapaliły trzcinowe lampki, a dzbany z winem zastąpiły kryształową karafką z przejrzystym południowym trunkiem. Yasmela odprawiła kobiety i przeszła do szerokiej sofy z boku komnaty. Conan okrążył stół za nią, zabierając wino ze sobą. Księżniczka poczekała, aż Cymmerianin usiądzie, po czym sama ulokowała się w przyzwoitej odległości na jedwabnej poduszce.

- Widzę, że się nie zmieniłeś - stwierdziła. - Wciąż jesteś bezpośrednim i otwartym barbarzyńcą.

- Ty za to jesteś inna, niż cię pamiętam. - Nie wypuszczając karafki z dłoni, Conan odchylił się na oparcie i nachylił się, by przyjrzeć się księżniczce. - Dorosłaś i dojrzałaś od naszego ostatniego spotkania.

- To prawda. - Yasmela zarumieniła się po jego uwadze. - Od tamtej pory miałam... partnerów. Zyskałam znaczną wiedzę, na czym polega władza. - Spojrzała barbarzyńcy prosto w oczy. - Nauczyłam się też cenić uczciwość i zalety bezpośredniego działania.

- Bardzo dobrze. - Conan zaczął przesuwac się w jej stronę, lecz znieruchomiał widząc, że zeszywniała i nieznacznie odsunęła się od niego. - Nie wątpię, że twoimi kochankami byli szlachetnie urodzeni dworzanie, odpowiedni dla twojej pozycji w królewskim rodzie.

- Och, Conanie! Oszalałabym, gdybym musiała dalej znosić karesy dworskich fircyków! Puszą się i zasypują mnie gładkimi słówkami, lecz zawsze okazuje się, że knują coś w ukryciu lub pragną wciągnąć mnie w jakąś intrygę. Doszło do tego, że ginę z braku uczciwego słowa czy gestu!

- Zapewne. Pamiętam, jak się czułem, gdy usiłowałem dopchać się do ciebie przez tłum dworskich sług i eunuchów. Miałem wrażenie, że grzęznę w smole. - Conan wzruszył niecierpliwie ramionami. - Ta złość w dużej mierze sprawiła, że zdecydowałem się porzucić... to wszystko...

- Razem ze mną-przytaknęła Yasmela, wypowiadając słowa, przed którymi zawahał się Conan. - Mimo to, twoja siła i otwartość byłaby przydatna na dworze takim jak khorajański. Uważam, że ludzie o prostych, niezachwianych poglądach najlepiej nadają się do budowania królestw i władania nimi.

- Być może - gdyby nie brakowało mi rodowodu i tytułów, umożliwiających wpuszczenie na dwór. - Conan zmarszczył brwi z zadumą. - Może gdybym zarządził Ivora i koronował się królem Tantuzjum, stałbym się odpowiednią partią dla khorajańskiej księżniczki. - Wlał sobie resztkę wina prosto w gardło. - Zakuwając w jarzmo swych bliźnich, okazałbym się godnym wstępu do wysoko urodzonego towarzystwa.

- Wątpię, czy nawet to zadowoliliby mojego braciszka i jego kręcących nosami doradców. - Yasmela uśmiechnęła się. - Mimo to, ludzie twojego charakteru wiedzą, jak radzić sobie z większymi nawet przeszkodami. - Musnęła grzbiet ogorzałej ręki barbarzyńcy swą dłonią. - Conanie, zastanów się, czy nie zechciałbyś wrócić ze mną do stolicy, by dyskretnie wspomagać mnie w pałacowych rozgrywkach. Oczywiście, nie miałbyś oficjalnej pozycji - najwyżej w najemnych wojskach. Obiecuję ci jednak, że zagwarantowałabym ci daleko idące... przywileje.

- Miałbym być twoim łamignatem? - Conan zmarszczył brwi. - Twoim naczelnym szpiegiem? Nie zwykłem tak postępować. Poza tym, jak myślisz, jak długo twój brat tolerowałby podobne postępowanie z twojej strony?

- Khossus stracił wyczucie tak bardzo, iż staje się to groźne. - Yasmela spuściła z zawodem oczy. - Nie nadaje się na króla. Należałoby... uszczuplić jego władzę.

- Wypruć mu flaki, tak? - Conan nachylił się w stronę księżniczki i z natężeniem zajrzał jej w oczy. - Yasmelo, nie spodziewałem się, że usłyszę takie słowa...

- Nie! - Młoda kobieta schwyciła jego rękę, wbijając w nią twarde jak orzechy paznokcie. - Nie trzeba mu wyrządzać krzywdy, jedynie odsunąć od władzy. W swoim czasie mogłabym otwarcie objąć rządy, a mój brat musiałby się z tym pogodzić.

- A co z dworzanami i ludem Khoraji? - Conan przyciągnął Yasmelę do siebie, by złagodzić jej napięcie. - Oni myślą jak Khossus.

Yasmela odrzuciła głowę w tył ze zniecierpliwieniem.

- Od czego jest twoja wielka najemna armia jeżeli nie od uciszania takich jak oni?

Conan zadumał się na chwilę, po czym potrząsnął głową.

- To niewykonalny plan, Yasmelo. Nie powinnaś nawet rozważać ściągnięcia do stolicy najemnej armii.

- Czyżby? - Księżniczka pochyliła się w stronę Conana. Jej oddech muskał jego policzek. - Skoro nie przyszła ci do głowy taka możliwość, po co ściągnąłeś tutaj swoje oddziały i zgodziłeś się ze mną spotkać?

- By wzmocnić moje szansę w Kom. - Conan powiódł wzrokiem po jej nieskalanie gładkiej skórze i wsunął dłoń pod pukle ciemnobrązowych włosów. - Chciałem ci zaproponować przymierze innego rodzaju...

- Ach! - tchnęła, niemal niesłyszalnie Yasmela. Przysunęła się do Cymmerianina tak blisko, że musnęła ustami jego policzek. - Zgoda, niech będzie to przymierze innego rodzaju...

Przyciągnęła barbarzyńcę do siebie. Odpowiedział jej gwałtownym uściskiem.

Obydwoje nie mogli bardziej różnić się pod względem charakteru, urodzenia czy budowy. Zwalisty, zahartowany barbarzyńca przypominał krzepkie, samotne sosny z północnej puszczy. Delikatność i piękno księżniczki przywodziły zaś na myśl raczej orchideę z parnych tropików. Każde z nich było doskonale przystosowane do radzenia sobie z przeciwnościami losu - we własny, odmienny sposób - mimo to te dwa przeciwieństwa na jakiś czas stały się całością.

Spokojna, rześka noc przemijała. Lekkie jak puch zasłony wystarczały do osłony przed niosącym się od jeziora powiewem. Gdy blask świtu ozłocił szczyty na przeciwległym brzegu, obydwójce obudzili się, lecz długo jeszcze nie opuszczali sofy.

Wreszcie Conan wstał, poczłapał po kamiennej posadzce i wskoczył głową naprzód w chłodne wody jeziora. Drobne fale poniosły się przez wycięty w marmurze kanał do basenu na środku komnaty. Cymmerianin skierował się w przeciwną stronę; płynąc tuż pod powierzchnią wypłynął daleko ku środkowi jeziora. Po paru minutach wrócił, wspiał się na brzeg i skrajem dłoni strząsnął z siebie krople wody.

Księżniczka zasiadła przy stole, zastawionym pod jego nieobecność chlebem, owocami, serem i innym prostym, lecz wyśmienitym jadłem. Conan dołączył do Yasmeli zajmując drugie onyksowe krzesło; oboje jedli przez pewien czas w milczeniu, sycąc się swoim widokiem i zetknięciem ud.

- Moglibyśmy spotykać się tak częściej, Yasmelo - powiedział wreszcie Conan. Sięgnął po granat do stojącej po jej stronie stołu tacy i zaczął obierać skórzasty owoc. - Domyślasz się pewnie, że moi najemnicy potrzebują bezpiecznego obozowiska w dogodnej



do uderzenia na Tantuzjum odległości. Po zdradzieckim ataku Ivora brak nam też zapasów. - Przyłożył do warg oderwany kawałek owocu, wysysając krople wspianiałego soku. - Powinnaś wraz z bratem wyposażyć nasze wojsko, nawet wysłać własne oddziały na parę potyczek. Moglibyśmy do woli nękać zatraconego księcia, a ja wracałbym tu co jakiś czas... dla nabrania sił.

Yasmela odwróciła głowę.

- Nadal odmawiasz zastanowienia się nad moją wczorajszą ofertą? Nie pojedziesz ze mną do stolicy?

- Nie, dziewczyno, intrygi są nie w moim stylu. - Conan potrząsnął czarną grzywą. - Mam porachunki z Ivorem. - Podsunął księżniczce na dłoni kawałek karmazynowo nakrapianego wnętrza granatu. - To może przynieść o wiele większe korzyści.

- W takim razie walcz o te większe korzyści, ale beze mnie. - Kobieta odepchnęła dłoń barbarzyńcy z owocem. - Nie mogę dopuścić, by twoje oddziały toczyły boje z sąsiadującymi królestwami chroniąc się w Khoraji. Nie mogę też poradzić bratu, by na to przystał. - Rzuciła mu ulotne spojrzenie i ponownie odwróciła głowę. - Gdybyśmy stali się zbyt wielkim utrapieniem dla Koth, Strabonus wysłałby przeciwko nam legiony. Tak czy inaczej, Khoraja nic by na tym nie zyskała.

- Strabonus jest zaprzątnięty niedopuszczeniem do rozsypania się jego własnego cesarstwa. - Conan pogłodził Yasmelę po ramieniu i nachylił ku niej, bezskutecznie próbując zajrzeć jej w oczy. - Wątpliwe, czy chciałby walczyć na szerszym froncie. Poza tym, nasze połączone siły z łatwością odparłyby jego napaść.

Yasmela zabrała ramię spod dłoni Cymmerianina.

- Czy masz rację, czy nie, utrudniłoby to tylko realizację moich planów na dworze. - Wyraz jej twarzy twardy i chłodny, nie pasował do dziewczęcych grymasów. - Dla odmiany, niezwykle łatwo byłoby uznać najemne oddziały za łupieżcze bandy. Wkrótce przyszłoby wam walczyć z całą khorajańską jazdą! - Zajrzała Cymmerianinowi w oczy, przybierając spokojną, zdecydowaną minę. - Nic innego nie mogę ci obiecać, Conanie, jeżeli do jutra twoja armia nie opuści naszych granic.

Barbarzyńca pochylił głowę, wbijając wzrok w skórkę granatu. Po chwili uderzył w stół nasadą dłoni.

- Niech cię diabły porwą, kobieto! Nie widzisz, że przydałoby ci się takie przymierze? Nie zdajesz sobie sprawy, jak groźnym sąsiadem stanie się Ivor, jeżeli uda mu się umocnić swą władzę?

Yasmela zacisnęła dłonie na krawędzi stołu i wyprostowała się.

- Możecie uniknąć pościgu Kotyjczyków, kierując się na wschód, przez przełęcz Eribuk. Legiony Strabonusa nie śmieją jeszcze gwałcić naszych granic.

- Wiedziałas od samego początku, że tak mi odpowiesz? - Conan zaklął ponownie, zacisnął kciuk oraz palec wskazujący na podbródku Yasmeli jak kleszcze i zwrócił ku sobie jej twarz. - Naprawdę ludzisz się, że moja obecność na dworze pomogłaby ci w pałacowych intrygach?

Na widok łzy, która stoczyła się z kącika ciemnobursztynowego oka regentki, Cymmerianin wypuścił jej podbródek z dłoni i wstał. Boso ruszył po swoje rzeczy, złożone i pozostawione przez służbę na stoliku z boku komnaty. Ubrał się bez słowa, urywanymi, gwałtownymi ruchami, obserwowany spod oka przez siedzącą ze spuszczoną głową Yasmelę.

Po przypasaniu miecza Conan podszedł raz jeszcze do księżniczki. Sięgnął pod jej podbródek, ponownie zwrócił jej twarz ku sobie, po czym złożył pocałunek na jej czole.

- Myślę, że dobrze sobie poradzisz w rozgrywkach ze szlachtą, Yasmelo. Niech nadal nie braknie ci ostrożności i zdecydowania.

Wypuścił jej twarz z dłoni, wyszedł z komnaty i przemierzył pusty przedsionek. Główne wejście do pałacu stało otworem, nie pilnowane przez strażę. Chociaż dziedziniec również był pusty, osiodłany koń Conana stał u podnóża schodów. Cymmerianin wskoczył na siodło i skierował wierzchowca w stronę bramy. Otworzył mu ją stary, gruby odźwierny.

Malowniczość drogi do obozu pogłębiła jedynie melancholię Conana. Blask porannego słońca padał na przeciwległą stronę górskiej doliny; za każdym zakrętem otwierał się widok na kolejne szczyty i szumiące między sosnami wodospady. Błękitne niebo nad głową upstrzone było rzadkimi, kłębiastymi obłokami; zdawało się kpić z posępnej myśli Cymmerianina, że już nigdy tu nie wróci.

W pewnej chwili uszu barbarzyńcy dobiegło człapanie kopyt gdzieś w przodzie. Conan zboczył ze szlaku i skierował konia między drzewami w stronę źródła dźwięku. Wkrótce stwierdził, jest to kolumna co najmniej czterdziestu mułów.

Wystarczyła mu jeszcze tylko chwila, by stwierdzić, że zwierzęta eskortuje jedynie pięciu khorajańskich żołnierzy. Cymmerianin spiął konia ostrogą, wrócił na trakt i zjechał po coraz łagodniejszym stoku. Zdołał dogonić kolumnę mułów przy rozwidleniu dróg i ruszył wzdłuż niej, pożądliwie przyglądając się zwierzętom. Dźwigały zbyt ciężkie juki, by ustępować przed jego koniem. Conan spostrzegł, że wiozły kosze ze złożonymi namiotami, bronią i zapasami.

Z dwóch dowodzących karawaną mężczyzn, oficer wyglądał na bardziej doświadczonego. Przyjrzał się bez niepokoju Conanowi, trzymając lejce w obydwu

rozluźnionych dłoniach.

- Dokąd jedziecie? - zawołał Cymmerianin.

- Zapewne w tę samą stronę co ty. - Oficer niedbale uniósł brwi i skinął głową w stronę zalesionej doliny. - Do obozu najemników.

Conan zmrużył oczy, opuszczając pozornie mimowolnym ruchem dłoni do rękojeści miecza.

- Czyżby w Khoraji panował zwyczaj wysyłania trybutu obcym armiom?

- To specjalna misja, zlecona przez księżniczkę. Regentka ma wielu zwolenników w siłach zbrojnych. - Oficer uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalał mu żołnierski dryl. - W razie, gdyby moi przełożeni przesłuchiwali mnie, gdzie podziały się te zapasy, mam odpowiedzieć, że zostały skradzione przez pospolitych rabusiów. - Mężczyzna rzucił przez ramię porozumiewawcze spojrzenie swojemu podwładnemu i wrócił wzrokiem do barbarzyńcy. - Nie wiem, jakie jest przeznaczenie tych darów, lecz na pewno nie odmówiłbym ich Conanowi, bohaterowi spod przełęczy Szamla, wybawcy mojego kraju.

- Oczywiście! - roześmiał się Conan. - Chyba cię poznaję; służyłeś w Kompaniach Włóczników, prawda? Może nawet graliśmy wspólnie w kości „Pod Zaszlachtowanym Dzikim”?

Nawiązując ożywioną rozmowę, dwaj jeźdźcy ruszyli na czele orszaku w głąb doliny.

## XIX

### WILKI ZE WZGÓRZ

Odludne wzgórza ciągnęły się we wszystkie strony. Ich garbate stoki rozpościerały się na wiele mil przed i za maszerującą na wschód formacją, jak gdyby nauczyły się dyscypliny od najemnych kompanii. Ustawione w zębate rzędy skalne strażnice południowych rubieży Koth zdawały się mieć niesamowity charakter; wśród ich porośniętych chaszczami, zwietrzałych stoków łatwo było poczuć się zagubionym i nic nie znaczącym pyłkiem.

Conan pomyślał, że być może właśnie to wprawiało podążających za nim ludzi w ponury, drażliwy nastrój. Wzgórza różniły się diametralnie od łagodnych, opromienionych słońcem stoków khorajańskich gór, wpadających w oko równie łatwo, jak krągłości śpiącej kobiety. Droga przez nie zamieszkane okolice Koth okazała się kręta i stroma; każdy dzień marszu uświadamiał najemnikom na nowo, że pokonanie setki pagórków wysokości stu łokci każdy było równie nużące, jak wspięcie się na pojedynczy szczyt, sięgający dziesięciu tysięcy łokci.

Z drugiej strony, na nastrój żołnierzy mogła wpływać pogoda. Od rana chmury stopniowo gęstniały; obecnie przetaczały się nad głowami wędrowców jak szare młyńskie kamienie. Wydawało się, że lada chwili zaczną szorować o zaokrąglone wierzchołki prastarych wzniesień, by zmielić na proch nieroztropnych śmiertelników, ważących się między nie zapuścić.

- Stokroć niech będzie przeklęty ten dziadowski trakt - mruknął Vilezza z siodła wierzchowca, człapiącego tuż za koniem Cymmerianina. - Dlaczego biegnie po szczycie każdego pagórka i schodzi w głąb każdego wąwozu? Tylko ślepcy mogli wytyczyć go w ten sposób!

- Słyszałam, że pradawne trakty czasami zataczają łuki, by ułatwić dostęp do zaklętych kapliczek i nawiedzanych miejsc.

Smętne spojrzenie wypowiadającej te słowa Drusandry świadczyło, że ogarnął ją ten sam nastrój co pozostałych. Zingarańczyk rzucił jej wątpliwe spojrzenie.

- Naprawdę, wojowniczo? Jak wiele jest wokół nawiedzonych polan? Osobiście zaczynam wątpić, że ta wyprawa okaże się dla nas korzystna. Po co mamy pozwolić przeganiać się po opłotkach prowincji Ivora w złudnej nadziei, że dostanie nam się po parę złotych mitr?

- Jestem przekonana, że ten przemarsz okaże się co najmniej równie korzystny jak

wyprawa do Khoraji. - Drusandra wzruszyła ramionami i obejrzała się na Conana.

- To prawda-przytaknął Vilezza. - Skoro powetowaliśmy sobie nieco straty, możemy zabrać się do podziału skromnych zysków i ruszyć na południe w poszukiwaniu bardziej opłacalnego zajęcia. - Rozejrzał się po nieruchomych wzniesieniach i zadrżał. - Te wzgórza są piekielnie... trudne do pokonania.

- Tak, ale jeszcze trudniej je sforsować naszemu wrogowi - i bardzo dobrze. - Aki Wadsai jako jedyny z oficerów nie odczuwał wyczerpania ani irytacji po całodziennym marszu. Zdecydowanie lepiej czuł się w tym niższym, suchszym terenie. Wyprzedził nieco swoich towarzyszy i w szorstko brzmiącym miejscowym narzeczu zwrócił się do jadącego przed czołem armii harangijskiego przewodnika: - Jak sądzę, wy, górale, spodziewacie się, że odludzie i kręte drogi uniemożliwią zapuszczanie się najeźdźcom w te strony?

Okutany w futra przewodnik wykręcił się w siodle niewielkiego, lecz krzepkiego konika i odpowiedział tak szybko, iż Conan ledwie był w stanie uchwycić sens jego słów:

- Niezliczone armie próbowały wysłać harcowników w te wzgórza. Nieprzeliczone trupy cudzoziemców stały się dzięki nam pastwą wilków, niedźwiedzi i orłów tej krainy. - Przysadzisty mężczyzna powiódł wzrokiem wzdłuż najemniczej kolumny i uśmiechnął się, obnażając silne, brunatne zęby. - Cudzoziemcy zawsze zapuszczają się w te strony na własne ryzyko.

Vilezza obejrzał się za siebie. Podwójna kolumna jeźdźców ginęła z pola widzenia za kamienistym stokiem. Zingarańczyk spojrział na Conana.

- Możemy ufać tym górskim małpom? Dlaczego właśnie teraz wspomina o cudzoziemcach?

- Na szczęście przybywamy jako przyjaciele. - Aki Wadsai zwrócił się do przewodnika, siląc się na uprzejmy uśmiech. - Walczymy ze wspólnym wrogiem. Jeśli los będzie nam sprzyjał, znajdziemy na tych wzgórzach bezpieczne obozowisko, skąd będziemy napadać na znieawidzony Koth.

- Tak. Pokażcie zadającym się z owcami Kotyjczykom, co potraficie. - Przewodnik zmarszczył brwi, jeżąc się na wspomnienie ciągnących się od pokoleń waśni. Pokiwał z wigorem głową, przez co zakołysał się spiżowy szpic jego wyścielanego futrem hełmu. - Znajdzie się dla was doskonałe miejsce na obóz. Nasi wodzowie zaprowadzą was w bezpieczną okolicę.

- Myślę, że mamy ją właśnie przed sobą - stwierdził Conan.

Minął właśnie fałd skalistego wzgórza. Wraz z towarzyszami utkwiał wzrok w roztaczającym się przed nimi oszalamiającym widoku ginącej w obłokach wypiętrzonych,

ostrej grani.

Jej bliższy koniec przechodził nieco poniżej nich w płaską równinę, wyglądającą na nadającą się do rozbicia obozu i obrony. Płaskowyż miał w przybliżeniu kształt klina, przypominającego łeb salamandry. Z dwóch stron wyniesiony był nad sąsiednimi wąwozami; z trzeciej zlewał się ze stromymi stokami ostrej jak brzytwa turni. Można się było nań dostać pochyłą skalną grzędą, ciągnącą się ku przedniemu szpicowi klina. Ten naturalny pomost mijał róg płaskowyżu; skąd można było łatwo odpierać ataki za pomocą kusz i katapult.

- Widzicie te drzewa na krańcu przeciwnego stoku? Tam na pewno jest źródło. - Conan wskazał dłonią zarośniętą pozostałym dowódcą, wodzącym wzrokiem po roztaczającej się przed nimi scenie. Konie najemników zaczęły schodzić pochyłym szlakiem. - Cała armia wytrzymałaby tu długie oblężenie.

- Mój oddział rozlokuje się z tyłu płaskowyżu, przy źródle - oświadczyła Drusandra, wyprzedzając na swym koniu mężczyzn. - Jeżeli zostaniemy zaatakowani, my powstrzymamy napastników przed wdarciem się po urwisku.

- Mądry plan - przyznał Aki Wadsai. - Pamiętaj jednak, że jesteśmy narażeni również na czary tego piekielnika Agohotha.

- Widzicie te rzędy skał na środku? Ciekawe, czy są dziełem natury, czy kurhanami jakiejś pradawnej rasy? - Oliwkowoskóry Vilezza ściągnął brwi, wpatrując się w parę nierównych białych grzbietów, ciągnących się równolegle wzdłuż grani na środku płaskowyżu. - Takie grobowce cieszą się złą sławą.

- Skały są zbyt wielkie, by mogli je tu umieścić śmiertelnicy - orzekł Conan.

Jego uwagę zwróciła w tej chwili ożywiona dyskusja Akiego i przewodnika. Harangijczyk zdawał się mocno zaniepokojony uwagą, okazywaną przez najemników płaskowyżowi. Rozglądał się dookoła, przewracając oczyma.

- To Zamanas, bardzo złe miejsce! - Skrzywił się nerwowo; opuszczone w dół kąci jego ust świadczyły o rozterce. - Tylko głupcy ważą się tu zapuszczać!

- Być może, wojowniku. - Wódz z pustyni pokiwał gorliwie głową, by go uspokoić. - Z nami jednak będzie pewnie inaczej. Porozmawiamy o tym z waszą starszyzną.

Podczas gdy Aki Wadsai starał się uśmierzyć niepokój Harangijczyka, Conan podjechał do Drusandry.

- Tak czy inaczej, płaskowyż Zamanas byłby dla nas znakomitym miejscem do obrony - szepnął wojownicze.

Niezwykły płaskowyż długo jeszcze pozostawał w polu widzenia zjeżdżających po stoku najemników. Oficerowie i ich podwładni krótko mogli swobodnie rozglądać się po

okolicy. Najmroczniejsze popołudniowe chmury stłoczyły się nad skalną granią, spuszczać na nią strumienie od dawna gromadzącego się w nich deszczu. Pionowe bicze wody chlastały stok, błyskawice przedły swe nici między zębatymi szczytami. Parę piorunów trafiło bliźniacze monolity na środku płaskowyżu. Dopiero gdy jeźdźcy znaleźli się w łuku między zasłaniającymi widok wzniesieniami, burza zaczęła powoli ustępować. Echo gromów coraz rzadziej obijało się o stoki wąwozów.

Przewodnik powiódł najemników z dala od pozornie najdogodniejszej drogi, po połąci gołych skał, gdzie ewentualni ścigający nie mieli szans wypatrzeć śladów kopyt, a potem w dół, na dno głębokiego jaru. Dalej orszak podążył wzdłuż spienionego strumienia, już wezbranego po niedawnej nawałnicy. Bieg potoku zaprowadził najemników pod czop litej skały, pozornie jeszcze wyższy na tle wspierających go nierównych kamiennych ścian. Podczas gdy żołnierze z czołowych oddziałów armii zsiadali z koni w półmroku stromych brzegów wąwozu, w wiosce na wzgórzu podniesiono bramę z kłód, by wpuścić do środka wybranych oficerów i ich świty.

Domostwa z obrzuconego tynkiem kamienia po obydwóch stronach jedynej ulicy osiedla miały stożkowate dachy. Z dziur w poszyciach wznosiły się ku niebu pasma dymu, na zewnątrz wisiały nie wyprawione skóry, roztaczając nieświeży zapach. Wieśniacy i wieśniaczki - przeważnie uzbrojeni wyłącznie w zawieszzone u futrzanych pasów długie noże - śmiało stali na progach, bacznie obserwując mijających ich przybyszów. Jeźdźcy kilkakrotnie musieli zwalniać lub stawać, gdy dumnie wyprostowani górale przechodzili im niespiesznie przez drogę.

Najemnicy zsiadli wreszcie z wierzchowców przed kamienną budowlą, większą od pozostałych chat. Na jej dach składały się liczne kopuły. Kornie kłaniający się sługa wprowadził przybyszów do mrocznego wnętrza o licznych kolumnach. Wokół płonącego na środku ogniska rozpostarto mnóstwo futer. Blask płomieni odbijał się od zakrzywionych mieczy u pasów kilkunastu stojących pod ścianami Harangijczyków. Prócz nich przy ognisku siedziało pięciu mężczyzn w futrach i błyszczącym metalowym rynsztunku.

Było to pięciu starców o dzikim wyglądzie. Ich siwo-czarne brody i włosy były przycięte w rozmaity sposób. Gdy goście rozsiedli się na ziemi po bliższej wejścia stronie ogniska, siedzący w środku wódz, płaskonosy mężczyzna z długimi, siwymi warkoczykami, zwrócił się do nich w prymitywnej odmianie języka kotyjskiego:

- Dlaczego wyprawiliście się na wzgórza? Hetmani Dolinnych Osiedli powiadomili mnie, że szukacie u nas pomocy.

- Pomocy i schronienia - odparł siedzący ze skrzyżowanymi nogami Aki Wadsai,

prostując się. - Chcemy, byście przyłączyli się do walki z Ivozem, księciem Koth. Potrzebujemy bezpiecznego obozu, skąd moglibyśmy nękać jego wojska.

- My, Harangijczycy, jesteśmy wojownikami, nie żołnierzami - odpowiedział z pewnym rozdrażnieniem płaskonosy młody mężczyzna po prawicy starca. - Chętnie przyłączymy się do rokującego niezłe łupy zajazdu, ale nie zamierzamy maszerować wraz z waszymi kompaniami.

- Każda pomoc będzie dla nas cenna - przytaknął Aki Wadsai.

- Jeżeli szukacie miejsca na obóz, w głębi wzgórz możecie znaleźć wiele dogodnych do obrony okolic - rzekł pierwszy z wodzów, marszcząc surowo brwi. - Jeśli was przyjmiemy, jaką mamy gwarancję, że jako cudzoziemcy nie zwrócicie się przeciwko nam i nie zaczniecie kraść naszego bydła i hańbić naszych kobiet - przerwał na chwilę - i chłopców? - dokończył, mierząc ostrym wzrokiem Drusandrę.

- Czcigodny wodzu, wolelibyśmy raczej nadzieć się na własne miecze - odrzekł Aki Wadsai.

Starzec spojrział na niego zmrużonymi oczyma, wobec czego kapitan wyjaśnił.

- Zdajemy sobie doskonale sprawę, iż podobne postępowanie w rodzinnych stronach nieprzejednanych harangijskich wojowników równałoby się śmierci.

- Tak czy inaczej, nie zamierzamy zostać tu długo, wodzu! - dodał Vilezza, pochylając się naprzód. - Albo szybko zadamy śmiertelny cios tantuzjańskiemu satrapię, albo opuścimy wasze strony, by gdzie indziej szukać zarobku.

- Chcecie ruszyć do walki jak najszybciej, tak? - Płaskonosy starzec z zadumą wyrównał siwe warkoczyki na złotym pancerzu na piersi. - Gdzie zamierzacie uderzyć?

- Na równinach na zachód od Tantuzjum - odparł Conan wobec wahania pozostałych dowódców najemników. - To bogate okolice, lecz Kotyjczycy są w stanie utrzymywać na nich tylko średniej wielkości garnizon w Vareth. Większość królewskich oddziałów pozostanie w stolicy.

Harangijczyk zastanawiał się przez chwilę, po czym zaczął naradzać się szeptem ze swoimi sąsiadami.

- Owszem, to zamożna prowincja. Można spodziewać się po niej wspaniałych łupów - dobiegły Cymmerianina słowa siedzącego w środku wodza. Starzec powiódł wreszcie z zadowoloną miną po najemnikach i powiedział: - Przyjaciele z obcych krajów, sądzę, że nasze przymierze może okazać się pożyteczne. Jeśli zaś chodzi o umocniony obóz...

- Wiemy, gdzie chcielibyśmy go założyć - przerwał mu Cymmerianin. - Na wzgórzach, zwanych Zamanas. - Towarzysze Conana sprawiali wrażenie równie



zaskoczonych rym stwierdzeniem jak garstka wodzów. Rozległ się chór nerwowych szeptów. Po żarliwym proteście Vilezzy Conan mruknął: - Pamiętaj, człowiecze, że skoro Harangijczycy tak boją się płaskowyżu, przynajmniej nie grozi nam, że ich złodzieje i rozbójnicy będą zapuszczać się do naszego obozu.

- Nie znasz tych wzgórz - zwrócił się do Cymmerianina płaskonosy. - Dlaczego chcesz rozbić obóz właśnie w miejscu, cieszącym się od wieków złą sławą?

- Dostojni wodzowie, stanowimy armię i nie możemy przemieszczać się tak łatwo, jak wasze łupieżcze wyprawy. - Conan przeniósł ciężar ciała na kolana i powiódł poważnym wzrokiem po Harangijczykach po drugiej stronie pełgających płomieni. - Mimo to musimy być gotowi do błyskawicznego ataku. Zapuściliśmy się dopiero dzień drogi w te wzgórza, lecz już teraz trudno nam będzie staczać walki z kotyjskimi oddziałami. - Zacisnął skrzyżowane dłonie na ramionach i raz jeszcze omiół spojrzeniem wodzów. - Zamanas leży blisko dolin, ma dogodne położenie. Doskonale nadaje się na obóz dla nas.

Naczelnny wódz przez chwilę naradzał się z Harangijczykiem po swej prawej stronie, po czym przemówił:

- Taki wybór może dokonać się wyłącznie za wolą duchów, a tylko szaman jest w stanie ją objawić. Chodźcie.

Nakazawszy wszystkim powstanie, dźwignął się z trudem na nogi. Para pacholków natychmiast pospieszyła mu na pomoc. Wodzowie i dowódcy wyszli pod eskortą zbrojnych Harangijczyków na główną drogę wioski.

Chociaż było jeszcze jasno, nachmurzone niebo zdawało się niecierpliwie czekać na zachód słońca. Wieśniaczki i dzieci wodziły pozbawionym ciekawości wzrokiem za starszyzną wioski i przybyszami.

Chromy wódz zrezygnował z jazdy konno; zamiast tego, powiódł orszak wojowników drogą o wyżłobionych koleinach, po czym skręcił w wąski, ślepy zaułek. W jego końcu, pod skalnym urwiskiem, znajdował się jedyny drewniany dom, jaki dane było ujrzyć przybyszom w całej wiosce. Rozsypaną się chatę sklecono z powykręcanych, nie oheblowanych desek. Przez szpary między nimi widać było płonący na palenisku ogień. Na wbitych od zewnątrz w szpary kołkach wisiały niezliczone czaszki zwierząt, amulety ze skór i kości oraz pęczki korzeni. Ziemia przed chatą poczerniała od często rozpalanych ognisk, chociaż obecnie uprzątnięto sprzed niej nawet popioły.

Ku zaskoczeniu przybyszów, starzec padł na kolana przed szafasem szamana i zawołał:

- Ojczy! O, ojczy, błagamy, racz wyjść do nas i obdarzyć nas swym

błogosławieństwem!

Po pierwszym wezwaniu wewnątrz chaty nic się nie poruszyło. Dopiero gdy starzec zawołał ponownie, przez szpary dało się zauważyć przemieszczającą się przed paleniskiem sylwetkę. Po chwili obszarpana zasłona w wejściu została odsunięta w bok. Z wnętrza chaty wyłonił się półnagi mężczyzna; wyświechtane futra osłaniały jego przyrodzenie. Chociaż był wychudzony i pomarszczony, wyglądał na młodszego od tego, który zwał go „ojcem”. Szamanowi zostało tylko jedno oko; tam gdzie było drugie, znajdowała się jedynie blizna w zapadniętym oczodole. Czarownik zatrzymał się parę kroków przed chatą i przyjrzał surowo orszakowi proszących o radę. Pełną napięcia ciszę po jego pojawieniu się przerywał tylko huk dalekich gromów nad wzgórzami.

- Lepiej bacznie pilnować się harangijskich szamanów - szepnął Aki Wadsai do Conana. - Ten wyłupił sobie oko i urządził mu pogrzeb z wszelkimi honorami, by stać się zdolnym do zaglądania w świat duchów.

Wódz nie wstając z klęczek przed świętym mężem, wyrzucił spieszenie potok słów w niezrozumiałym dialekcie-zapewne streszczenie próśb Conana. Starzec z warkoczykami wyciągnął dłoń w stronę piętrzącego się nad doliną za dachami wioski bladego urwiska. Conan zdał sobie sprawę, że Harangijszyk wskazuje bliższy skraj napawającego górali lękiem płaskowyżu.

Chociaż wódz jeszcze nie skończył mówić, szaman nagle zwrócił głowę ku Cymmerianinowi i utkwiał w nim przeszywające spojrzenie swego jedynego oka. Starzec umilkł wreszcie i dźwignął się z ziemi, cały czas okazując czarownikowi wielki szacunek. Kulejąc, zrobił parę kroków w tył i zajął miejsce między swoimi ziomkami ustawionymi w półokrąg. Święty mąż podszedł do Conana kołyszającym krokiem i uniósł ku niemu głowę.

- To ty pragniesz nocować na wzgórzach Zamanas? - odezwał się, okazując, że całkiem nieźle zna kotyjski. - Jesteś barbarzyńcą z Północy. Czyżbyś bał się potęg z zaświatów mniej niż tutejsi barbarzyńcy?

Conan z trudem nie cofnął się przed bliskością szamana i bijącą od niego wonią.

- Obawiam się sił magii, czcigodny starcze. Nieraz już groziła mi przez nie śmierć.

- Zapewne. Twój przeciwnik, książę Tantuzjum, korzysta z usług potężnego czarnoksiężnika, który właśnie w tej chwili obmyśla twoją zgubę.

- Owszem, Kitajczyka Agohotha - przytaknął z powagą Conan. - Maga, potrafiącego ze straszliwymi skutkami rozkazywać martwym przedmiotom i żywiołom.

- To niebezpieczny człowiek. - Święty starzec zmrużył jedyne wyblakłe oko. - A jednak czarnoksiężnicy nieraz już nawiedzali Tantuzjum. Ojciec księcia Ivora sam był

magiem bez sumienia Powiadano, że żywił się zwłokami i potrafił zmieniać swój kształt. W końcu wtrącono go do lochu, by ulżyć wstydy jego brata, Strabonusa Kotyjskiego.

- Poznałem ojca Ivora - przytaknął Cymmerianin. - Parę dni temu zabiłem go własnymi rękami w podziemiach księżęcego pałacu.

Towarzysze Conana zareagowali na tę nowinę szmerem zaskoczenia, lecz stary szaman kiwnął jedynie głową, jak gdyby było to zaledwie potwierdzeniem znanego mu już faktu.

- Pewnie w twoim barbarzyńskim umyśle powstała myśl, że Agohothowi trudniej będzie rzucić czary na jedno z świętych miejsc Harangijczyków?

Mierzony cyklopowym spojrzeniem szamana, Conan bez słowa wzruszył ramionami. Zapadło długie, pełne napięcia milczenie. Czarownik odwrócił się i utkwiał wzrok w skraju odległego płaskowyżu. Wreszcie zwrócił umazane sadzą oblicze w stronę przybyszów.

- Ostrzegam cię, Conanie Łamignacie, przed pochopnym podejmowaniem takiego kroku. - Rysy starca ściągnęły się w surowym wyrazie. - Na nasz świat wpływa wiele rodzajów magii, wiele form zła. Mogą one nie chcieć dać się zaprząć do twych nędznych planów. - Conan nadal stał w bezruchu. - Skoro jednak nie brak ci śmiałości, by poważyć się na takie ryzyko, ruszaj na wzgórza.

Szaman wzruszył ramionami, odprawiając Cymmerianina. Powiedział parę słów do płaskonosego wodza i zniknął za kołyszącą się zasłoną w wejściu do chaty.

- Chodźcie - powiedział Harangijczyk do najemników. - Moi ludzie zaprowadzą was na płaskowyż Zamanas. Niech duchy wzgórz chronią was tak jak bezradne dzieci, skoro ważycie się na takie szaleństwo.

## XX

### PLASKOWYŻ

Minęło kilka dni. Był jeszcze wczesny poranek, gdy Conan wyłonił się właśnie z niskiego wejścia do ośmiokątnego pawilonu. Za jego plecami rozlegał się szmer sennych kobiecych głosów. Cymmerianin kiwnął głową Sidrze, Gundarce o kasztanowatych włosach, pełniącej wartę przy namiotach wojowniczek. Kobieta przywitała go bezczelnym, cynicznym uśmiechem i ponownie znieruchomiała w czujnej pozie, trzymając w jednej dłoni tarczę, a drugą złożony na rękojeści miecza przy pasie.

Idąc w stronę głównej części obozu Cymmerianin powitał ochoczym okrzykiem rozczochranego najemnika, który właśnie wybierał się w krzaki za potrzebą. Mężczyzna popatrzył na dowódcę, a potem na namiot kobiet ze zrozumieniem. Żołnierze najwyraźniej pogodzili się już z tym, iż Conan zwykle spędzał noce w pawilonach wojowniczek, chociaż Cymmerianin zdawał sobie sprawę, że krążą na ten temat zawistne szept i złośliwe szyderstwa.

Blżej środka płaskowyżu panował większy ruch, bowiem ostra jak brzytwa grań nie zasłaniała tu wschodzącego słońca. Mężczyźni wygrzewali się w ciepłe na skałach i gawędzili, gotując się do kolejnego dnia bezczynności ze znużeniem i pewną dozą rozdrażnienia. Cymmerianin starannie ignorował kąśliwe docinki, którymi go witali.

Po pewnym czasie obozowania rozwiął się wcześniejszy strach najemników przed płaskowyżem Zamanas. Przejazd z wioski okazał się łatwy, aczkolwiek harangijscy przewodnicy zatrzymali się przy strumieniu twierdząc, iż za ich pamięci nikt z plemienia nie zapuścił się na jego drugą stronę. Kamienisty trakt prowadził po łagodnym zboczu, rzadziej porośniętym krzakami niż okoliczne wzgórza. Tuż pod szczytem płaskowyżu znajdowała się ułatwiająca obronę skarpa.

Wierzchołek wzniesienia był płaski, równy i dobrze odwadniany. Tworzyła go zwietrzała różowa skała, nie mająca nic wspólnego z łupkami, z jakich zbudowane były sąsiednie wzgórza. Na płaskowyżu znajdowała się jednak ziemia, rosły drzewa i dość trawy dla zwierząt. Nie było tu żadnych jaskiń czy ruin, w których mogłoby czyhać niebezpieczeństwo - jedynie dwa nierówne, blade monolity, wznoszące się w centrum. Po dokładniejszych oględzinach można było dojść do wniosku, że okrągłe, twarde jak żelazo kolumny są dziełem natury, nie zaś rak ludzkich.

Już pierwszego dnia, gdy nie zaszło nic, co mogłoby zakłócić spokój najemników, żołnierze pogodzili się z nową, spokojną okolicą. Przez kolejne dni wypoczywali i naprawiali

ekwipunek. Doświadczeni hazardziści wzbogacali się, po czym byli okradani lub zakłuwani nożami, dlatego też Conan zaczął się martwić się bezczynnością podwładnych.

Barbarzyńca nałożył sobie owsianki z kotła swojej kompanii, parującego nad paleniskiem z węgla drzewnego. Podczas gdy żuł uzupełniające śniadanie suszone figi, przywitał go Aki Wadsai.

- Niech Tarim ci sprzyja, Conanie. - Najemnik przykucnął obok Cymmerianina w wystudiowanej, starannej pozie pustynnych jeźdźców. - Nie było wiadomości od buntowników?

- Nie, Aki. Powinniśmy wysłać jeszcze jednego gońca na wypadek, gdyby poprzedniego spotkało po drodze nieszczęście lub nieprzeparta pokusa zdrady.

- Owszem. - Aki Wadsai zmarszczył brwi. - Dworka Eulalia obiecała, że przekaże wiadomość, co się tam dzieje. Mam nadzieję, że księżę nie zdusił buntu.

Conan przytaknął.

- Wygląda na to, że kotyjskie legiony zgubiły nasz ślad. Szkoda; przydałoby się, by podążyły za nami. Może wróciły do Tantuzjum pomóc Ivorowi uporać się z kłopotami. - Wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, nasi hultaje stają się niespokojni. Lepiej, żeby wkrótce zaczęło się coś dziać...

Przerwał mu krzyk od strony części płaskowyżu przy skraju urwiska wydzielonej dla ludzi Conana. Cymmerianin podniósł się z ziemi, wskoczył na skalny kopczyk i wyjrzał w tamtą stronę, podejrzewając, iż wołanie może alarmować o zbliżaniu się lub ataku nieprzyjaciela. Zorientował się jednak, że jego ludzie szukali jedynie lin.

- Parę moich górskich małp władowało się w kłopoty - powiedział Akiemu. - Zajmę się tym, zanim dojdzie do rozlewu krwi.

Drugi kapitan ze zrozumieniem skinął dłonią na znak zakończenia rozmowy.

Conan ruszył szybkim krokiem, nie pobiegł jednak, by nie ściągać uwagi reszty najemników. Po paru chwilach dotarł do skraju urwiska, gdzie zebrała się spora grupka jego ludzi. Niektórzy śmieli się i gwizdali, wyglądając w dół; inni wpatrywali się w podstawę zbocza z wyraźną troską. Jeden z zaniepokojonych mężczyzn zauważył Conana i podbiegł do niego.

- Kapitanie, Gandarowi z Północy zachciało się zejść po urwisku. Chciał złapać dla nas na obiad tłustą jaszczurkę, ale coś mu się stało i teraz nie może wspiąć się z powrotem. - Mężczyzna z niechlujną brodą zamrugnął gorączkowo. - Zachowuje się, jak gdyby zwariował albo nie wiedział, co się z nim dzieje. Potrzebujemy liny..

- To on ten tam na dole, czy ratownik? - przerwał mu Conan. - Dlaczego tak

wrzeszczy?

Cymmerianin wskazał wysmukłego najemnika, sądząc po wyglądzie Vanirczyka, kulącego się w płytkim zagłębieniu kilkadziesiąt kroków pod skrajem płaskowyżu. Jedna z nogawic bosego mężczyzny była porwana i zakrwawiona; szarpały nią kapryśne porywy wiatru. Gandar wczepił się w skałę jak oszalałe zwierzę i wrzeszczał opętańczo, jak gdyby beształ nierówną ścianę urwiska. Znajdował się jednak za daleko, by można było wychwycić sens jego krzyków - o ile nie były go całkowicie pozbawione.

- Nie wiem, co mu jest. Może ukąsił go wąż? - Brodacz podniósł na Conana nerwowy wzrok. - Gandar nieźle zna się na wspinaczce. Zszedł o wiele niżej i zniknął nam z oczu. Później wdrapał się z powrotem, krzycząc, jak w tej chwili. Teraz nie chce ruszyć się z miejsca.

- Zejdę sprawdzić, co się z nim dzieje. Pilnuj, żeby ci głupcy nie spychali na mnie kamieni ani żeby sami na mnie nie spadali. - Conan zdjął buty i miecz, złożył je na ziemi i ruszył boso po nierównych, zwietrzałych kamieniach. - Ty tam, Gandar! - zawołał. - Nie ruszaj się z miejsca! Nie bój się! Schodzę ci na pomoc!

Barbarzyńca zbiegł po zboczach do miejsca, w którym stawało się zbyt strome i odwrócił się, by dalej schodzić twarzą do urwiska. Zbliżając się do nieszczęsnego Vanirczyka, nasłuchiwał uważnie, lecz ten wciąż opętańczo mamrotał w północnym dialekcie, co sprawiało, że nie sposób było rozróżnić poszczególnych słów. W pewnej chwili Cymmerianin dojrzał, iż Gandara ogarnął napad szału. Szorował stopami i drapał paznokciami o skałę, jak gdyby odgrywał pantomimę gorączkowej wspinaczki. Nie posunął się jednak ani o krok w górę. Po kamieniach zaczęła ściekać krew z jego pokaleczonych kolan i dłoni.

Z góry rozległo się wołanie: to jeden z najemników znalazł linę. Żołnierz zręcznie cisnął w dół zbocza rozwijający się kłęb sznura. Ostatnie zwoje spadły Vanirczykowi na plecy.

- Gandar, złap linę! Przytrzymaj się jej i czekaj na mnie! - zawołał Conan.

Vanirczyk nie usłuchał. Wrzasnął z całych sił rozpaczliwie próbując odrzucić linę od siebie, jak gdyby zmagając się z zaciskającym wokół niego jadowitym węzem. W trakcie tej walki z cieniem wytoczył się ze skalnego zagłębienia. Natychmiast zaczął osuwać się w dół urwiska, z każdą chwilą nabierając szybkości. Jego wrzask ucichł wreszcie, gdy przetoczył się przez skalny występ i zniknął Conanowi z oczu.

- Na Croma! - zaczął kląć Cymmerianin, lecz pohamował się i zamienił wyrzeczenia na milczącą modlitwę za konających. Wyprawa na zbocze kosztowała najemnika życie;

Conan liczył, że to zniechęci jego towarzyszy do podobnych wyczynów. Mimo to w śmierci Gandara było coś niesamowitego.

Po powrocie na szczyt urwiska, Cymmerianin rozmawiał przez chwilę z mężczyznami ze swego oddziału. Nie dowiedział się od nich wiele nowego; przeważała opinia, że Gandar zobaczył u podnóża zbocza jakieś straszidło, na widok którego postradał zmysły z przerażenia. Cymmerianinowi nie wystarczało takie wytłumaczenie, lecz w końcu ruszył do obozu w złym humorze.

W czasie, gdy Conan schodził na dół, wartownicy wypatrzyli zbliżających się jeźdźców. Nim Cymmerianin wrócił do ogniska, przy którym zasiadali dowódcy, posłowie dotarli do obozu. Był to baron Stefany we własnej osobie na wspaniałym srebrzystoszarym ogierze, w towarzystwie strudzonej podróżą, odzianej w spodnie Eulalii i pół tuzina zbrojnych buntowników.

- Conanie! Wspaniały obóz! Jakież widok! - Baron wychylił się z siodła, by uścisnąć wyciągniętą dłoń Cymmerianina. - Wiedziałem, że to ważne spotkanie, dlatego zostawiłem Randalfa, by nadzorował przygotowania - zabrałem jednak moją najbardziej zaufaną pomocnicę.

Skinieniem głowy wskazał Eulalię. Dziewczyna uściskała Conana i zasypała go pytaniami. Odpowiadając Eulalii, barbarzyńca przyglądał się baronowi. Odziany w zielony strój do konnej jazdy, szczupły arystokrata nie sprawiał już wrażenia kruchego czy pełnego wahań. Czuł się pewnie w siodle, podobnie jak siedzący na łęku oswojony żbik. Drapieżnik urósł od czasu, gdy Cymmerianin widział po raz pierwszy, jak Stefany bawił się z nim w pałacu. Pręgi objęły już nie tylko ogon kota, lecz sięgnęły jego gibkiego, płowego grzbietu. Nie był on jednak jeszcze dorosły. Podczas powitań zachował spokój, obojętnie śledząc otoczenie nieprzeniknionymi żółtymi ślepiami.

Zjawili się pozostali oficerowie najemników wraz z grupą wojowniczek. Baron zwrócił na siebie ich uwagę zarówno dzięki wyśmienitemu wierzchowcowi, jak i osobliwemu pupilkowi. Drusandra i jej towarzyszki na długo otoczyły ciasnym kręgiem uśmiechniętego szlachcica. Za jego pozwoleniem kobiety dotykały srebrzystej końskiej grzywy i - znacznie ostrożniej - futra dzikiego kota. Stefany zsiadł wreszcie z konia, przywiązał go do palika i podszedł do Cymmerianina.

- Powiedz mi, jak zdołałeś zapewnić sobie pomoc górali? Odczuwam przed nimi lęk, chociaż jestem pierwszym kotyjskim szlachcicem od lat, który nie wjechał tutaj na czele wyprawy karnej.

- Zyskałem ich zaufanie, bo nie jestem waszym rodakiem. - Conan spojrział rzeczowo

na barona. - Obiecali pomóc mi w pogiębieniu Ivora.

- Niemożliwe! - wtręciła się stojąca u boku szlachcica Eulalia. - Spalą Tantuzjum, przez co zwrócą przeciw nam nienawiść wszystkich. Jestem pewna, że ich pomoc zakończy się ogólną rzezią.

- Być może, ale nie zamierzam poprowadzić górali do miasta. - Conan wzruszył ramionami. - Wykorzystam ich do manewrów pozorujących przed głównym uderzeniem.

- Chcesz, żeby napadli na jakąś kotyjską twierdzę?

- Tak. Na Vareth.

- Niezły pomysł - przytaknął baron. - Powinni mieć pełne ręce roboty ze stacjonującymi tam cesarskimi oddziałami.

- Musimy jednak ostrzec wieśniaków, by nie urządzono im jatki jako zakładnikom w rozgrywkach z góralami - wtręciła się Eulalia.

- Nie roześlście ostrzeżenia zbyt otwarcie czy za wcześnie - upomniał Conan. - Wśród buntowników mogą być szpiedzy, a Kotyjczyków trzeba zaskoczyć. Nie chcę, by Harangijczycy zostali zdradzeni i zdziesiątkowani. - Popatrzył baronowi w oczy. - Mam wobec nich inne plany.

Eulalia opowiedziała oficerom najemników o wydarzeniach w stolicy.

- Ivor dowiedział się, że dopiero co zdobyta bezgraniczna władza oznacza świeżą, niemożliwą do kontrolowania opozycję. Lud jest wstrząśnięty jego nagłą ugodą ze Strabonusem, krzywi się na nowe podatki i ograniczenia, a książę bojący się uzbrojenia swych poddanych zrezygnował z planu utworzenia straży włościńskiej. - Szlachcianka uśmiechnęła się cynicznie. - Przedtem żądał od Strabonusa, by wycofano legion z Vareth; obecnie sam błaga stryja, by go wzmocnić. Pokazał swe prawdziwe, szpetne oblicze, wszczynając srogie prześladowania, lecz każda zbrodnia powiększa jedynie szeregi naszych zwolenników. - Dla Conana było jasne, że Eulalia zyskała ostatnio sporo hartu. Strój dziewczyny doskonale nadawał się do konnej jazdy, jej cerę zaś zdobiło słońce, a nie puder, jak podczas balu w pałacu. Była wyraźnie zadowolona z odmiany; wyrazista mimika i zdecydowany ton głosu świadczyły o jej entuzjzmie. - Sprawa buntowników jest równie silna jak dawniej - dokończyła. - Baronowie i kasztelanowie nie chcieli giąć karku przed królem Strabonusem, więc tym bardziej nie będą posłuszni chciwemu książętku.

- A co z czarnoksiężnikiem? - zapytał Vilezza. - Agohoth nie zdołał wziąć w karby wichrzycieli?

- Ivor nie skorzystał jeszcze z jego usług - odpowiedział Stefany, pochylając się. - Chyba książę boi się, że użycie czarów w środku jego prowincji mogłoby przysporzyć nam



jeszcze więcej zwolenników. - Baron zmarszczył brwi. - Obawiam się, że Ivor każe czarownikowi spuścić dla przykładu plagi na ziemię moje lub innych niezadowolonych szlachciców. Musimy szybko uderzyć, by księżę nie osłabił w ten sposób naszych sił.

- Poczekaj chwilę, czy rzeczywiście czas mówić o ostatecznym ataku? - zapytał tym razem Aki Wadsai. - Nie wątpię, że Ivor nie zawaha się napuścić na nas swojego czarnoksiężnika, jeżeli staniemy mu na drodze. Może właśnie na to czeka?

Conan klepnął się w kolano, wstał i podszedł dwa kroki do pozostałych.

- Dość zamartwiania się o Agohotha! Na Croma, sam się nim zajmę! - Powiódł po towarzyszach gniewnym wzrokiem. Nikt nie ośmielił się mu sprzeciwić. Aki Wadsai odpowiedział wpatrującemu się weń Cymmerianinowi nieznacznym skinieniem głowy, jak gdyby zakarbował sobie w pamięci jego przysięgę. Conan wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem. - Pospieszcie się lepiej z ułożeniem planu ataku! Coraz trudniej utrzymać żołnierzy w korbach.

Później, podczas chwilowej przerwy w naradzie, Conan podszedł do monolitów. Najemnicy nie sprawiali wrażenia zmartwionych wiadomością o śmierci Gandara. Czereda wojowników starała się wykopać kamienne kolumny grotami pik, zapewne w przekonaniu, że kryją się pod nimi wielkie skarby. Ich przywódca, Pavlo, stał na szczycie niższego ze skalnych bloków - wszelako wysokości trzech dorosłych mężczyzn - i wydawał polecenia starającej się obalić go za pomocą lin grupie.

- Zostawcie to! - zagrział Conan. - Tak, do was mówię, Argosańczycy! Skończcie te małe figle! - Wszedł pomiędzy rozstępujących się z lękiem najemników. - Pakujcie sakwy, psy. Ruszamy z samego rana!

## XXI

### NAJEŹDŹCY ZE WZGÓRZ

Noc zastała górali w drodze. Nad ich głowami lśniły zimne gwiazdy, ze wszystkich stron rozlegało się szuranie kopyt, zagłuszane pobrzękiwaniem uprzęży i pomrukami w barbarzyńskim języku. Wokół rozbrzmiewał chór męskich głosów, zawodzących pieśni, ulubione przez szczep Harangijczyków od niepamiętnych czasów, gdy - jak twierdziły podania - władał on rozległymi wschodnimi równinami.

Conan kierował swego wierzchowca tyleż wodząc wzrokiem za otaczającymi go jeźdźcami, co kierując się wydawanymi przez nich odgłosami. W głębokiej ciemności był w stanie zaledwie sporadycznie dostrzec zarys obładowanej orężem sylwetki czy odbicie światła gwiazd na skraju tarczy lub spiczastym hełmie. Odgadywał kierunek posuwania się hordy po położeniu konstelacji. Doszedł do dodającego otuchy wniosku, że wodzowie musieli posługiwać się tą samą metodą, bowiem wśród setek harangijskich jeźdźców tylko jeden wiózł zapaloną pochodnię. Cymmerianin dostrzegał ją co jakiś czas, gdy pokonywał szczyty kolejnych wzniesień; światło padało na wysoki, okopcony totem plemienia, wykonany z okutej brązem czaszki i poroża jelenia.

Jeźdźcy mieli za sobą długą drogę: poprzedniego dnia zjechali ze wzgórz na czele kolumny najemników. Conan odłączył się następnie od reszty swej armii i na czele koczowników dotarł jednym z wąwozów na równe, nie zapewniające dostatecznej osłony rolnicze okolice. W ciągu dnia Harangijczycy posuwali się szybko, w ciemnościach zaś przypominali bezkształtnego stwora z mętnych głębin, bezszelestnie grasującego w poszukiwaniu łupu. Conan dwakroć zmieniał konia; ciężar Cymmerianina okazał się za duży dla delikatnych miejscowych wierzchowców. Obecnie jechał na grzbiecie krzepkiego, karego ogiera, z ochotą gotując się do walki.

Conan usłyszał zamieszanie w przodzie kawalkady. Po chwili dostrzegł jego źródło: przez tłum przeciskał się pojedynczy jeździec, kierując się ku totemowi z zatkniętą pochodnią, którą otaczała starszyzna plemienia.

- Wio!

Harangijski wódz obok Cymmerianina strzelił wodzami i skierował konia w stronę totemu, wydając swoim ludziom gestami rozkaz, by trzymali się lewej flanki kolumny. Conan nie zamierzał czekać; popędził konia i podjechał do górali. Jego ogier bez trudu przeciskał się między drobniejszymi wierzchowcami.

- Co się dzieje, Hwagu z Czerwonego Urwiska? Czyżby któryś z twoich zwiadowców natrafił na nieprzyjacielskie posterunki? - zawołał Conan, korzystając ze zdobytej w poprzednich dniach pobieżnej znajomości harangijskiego dialektu.

- Dlaczego pytasz, cudzoziemcze? - odrzekł góral, nie odwracając się.

- Jadę z wami, bo chcę upewnić się, że górskie wilki zaatakują właściwą ofiarę. - Conan umilkł i wyteżył słuch, by złowić sens zdań, wykrzykiwanych przez wodzów plemienia.

- Naprawdę? - odpowiedział Hwag z nie tajonym szyderstwem. - Myślałem, że jesteś zakładnikiem, powierzonym nam dla pewności, iż nie zostaniemy zdradzeni przez twoich kotyjskich przyjaciół.

- Zgadza się, nim również - odrzekł Conan, marszcząc brwi. - Niedługo jednak was zostawię, by przygotować atak buntowników... i zająć się paroma innymi sprawami.

Harangijski obrzucił barbarzyńcę podejrzliwym spojrzeniem. Conan dostrzegł to bez trudu, gdyż obydwaj wjechali w krąg światła pochodni.

- O tym zadecydują moi wodzowie. Nie opuścisz naszej wy- prawy bez ich zgody.

Po tych słowach Hwag odwrócił się, by przysłuchiwać się naradzie starszyny. Po paru chwilach wodzowie zaczęli wykrzykiwać do swoich hetmanów zwięzłe rozkazy. Conan usiłował zorientować się przynajmniej z grubsza, jaka jest ich treść. Nie było to potrzebne, bowiem po chwili rozległo się chóralne skandowanie, błyskawicznie podjęte przez krzyczącego na całe gardło Hwaga i pozostałych górali:

- Viridija! Naprzód!

W rytm dobywającego się z tysiąca gardzieli wołania, konie wojowników zaczęły biec żywiej. Z początku ruszyły kłusem; ogier Conana pod wpływem niepohamowanego instynktu ruszył za swoimi braćmi. Po chwili kłus przy akompaniamencie narastającego łoskotu kopyt i zgiełku krwiożerczych okrzyków przeszedł w galop. Niebawem cała horda cwałowała w zapierającym dech tempie przez porośnięte trawami bezdroże.

Jeździec z totemem szybko został z tyłu. Jego pobratymcy gnali przez oświetloną lodowatym blaskiem gwiazd bezkresną równinę, jak na skrzydłach. Jedyne daleko po bokach przesuwały się w tył ledwie widoczne zarysy majaczących w mroku wyniosłości terenu.

Rytmiczne dudnienie kopyt i miarowe podskakiwanie w twardym, skórzanym siodle wzbudzało dziką nutę w świadomości Cymmerianina. Conan zaczął odczuwać opętańcze, samobójcze uniesienie, wywołane pędem na oślep przez noc w stronę niewidocznego wroga i powierzeniem swego życia bezgranicznej potędze hordy. Daremnie starał się przeniknąć wzrokiem ciemności. Mózg w jego wstrząsanej końskim galopem głowie kreował co chwila

groźne, upiorne kształty, przemieniające się tuż potem w wyrzucane spod kopyt koni połączone murawy i obłoki kurzu. Czuł, jak po obu stronach mijają go zwinniejsze i szybsze wierzchowce Harangijczyków. Omal nie wypadł z siodła w chwili, gdy jego ogier zmylił krok, potknąwszy się przy pokonywaniu płytkiego zagłębienia terenu. Cymmerianin nie wątpił, iż górale wyjdą z opętańczej gonitwy cało; byli urodzonymi jeźdźcami, trzymającymi się na grzbietach swoich koni równie pewnie, jak gdyby byli do nich przyrośnięci.

Po ogierze Conana widać było coraz większe wyczerpanie. Cymmerianin zaczynał już zastanawiać się, jak długo nawet tak zahartowani jeźdźcy jak Harangijczycy zdołają wytrzymać szaleńczy cwał, gdy kłęby duszącego kurzu w przedzie poczęły rzednąć, a z ciemności nocy wyłoniły się niewyraźne kształty. Na tle mętnego pasa nad linią horyzontu widać było ruchliwe ludzkie sylwetki. Po chwili obraz objawił się w całej okazałości.

Nad grzbietami jeźdźców Conan dostrzegł drewnianą palisadę ufortyfikowanego obozowiska kotyjskiego legionu. W świetle coraz liczniejszych pochodni na szczycie szczytu widać było twarze wartowników, wpatrujących się ze zgrozą w lawinę atakujących górali. Zapewne dopiero co obudziły ich przeraźliwe wrzaski zamykających obóz w okrążeniu Harangijczyków, zdające się odbijać od fortyfikacji i czoła nacierającego tłumu niemal namacalne fale dźwięku.

Palisada była jednak wysoka, a jej brama - szczelnie zatrzaśnięta. Pędzący na złamanie karku w stronę celu ataku Conan starał zorientować się, jaki jest plan Harangijczyków. Ponieważ Cymmerianin znajdował się już pośród ostatnich jeźdźców, miał dobry widok na to, jak rozwijał się atak. Pierwsi górale skręcili na boki przed palisadą, zasypując ją w ostatniej chwili gradem włóczni, oszczepów i strzał. Zdołali w ten sposób strącić paru obrońców z szczytu. Po chwili do ogrodzenia dotarła kolejna fala Harangijczyków. Ci miotali przez szczyt palisady liny, zakończone grzęznącymi w drewnie zębatymi ciężarkami. Druga grupa jeźdźców również zawróciła karnie z powrotem, mijana przez nowych napastników.

Conan uświadomił sobie, że liny z kotwiczkami nie miały służyć do wspinaczki; miast tego, dając dowód doskonałego opanowania sztuki jeździeckiej, górale równocześnie zaczęli ciągnąć za sznury, pochylając się nad końskimi grzbietami. Wskutek zgranych szarpnięć drewniana palisada zaczęła ze skrzypieniem i trzeszczeniem pochylać się na zewnątrz. Straciwszy oparcie pod nogami, jeden z wartowników zwałił się w głąb obozu. Inni wczepiali się kurczowo w pochylającą do przodu palisadę.

Kolejni jeźdźcy ciskali liny z kotwiczkami, podczas gdy ich towarzysze włączali się w walkę z kotyjskimi żołnierzami na szczycie okalających bramę strażniczych wieżyczek.

Cięciwy krótkich, grubych łuków Harangijczyków grały jak struny lutni, długie włócznie grzęzły w ciałach obrońców. Conan widział niejednokrotnie, jak górale wyskakiwali z siodeł lub wspinali się po barkach pobratymców, by osiągnąć szczytu szczytu. Żołnierze zrzucali niektórych na dół, lecz innym udawało się dostać na szczyt palisady.

Niepowstrzymany pęd kawalkady jeźdźców przyniósł wreszcie Conana do obwałowania obozu. Cymmerianin stwierdził ze zdumieniem, że ściska w dłoniach topór i miecz, a z jego gardła dobywa się przeraźliwe wycie. Znalazł się tuż przed górującą nad nim palisadą. Z braku przeciwników w zasięgu rąk czuł dziką żądzę rąbania i siekania drewnianych bali.

Nagle dostrzegł, że między wciąż stojącą częścią palisady a odcinkiem obalonym przez Harangijczyków tworzy się szczelina. Wierzchowiec Conana musiał być ogarnięty jeszcze większym bitewnym szałem niż jego jeździec, bowiem bez poganiania skoczył w rozwierającą się przerwę.

Później było tylko szaleństwo: rechwach wrzasków oraz las pik i pochodni, rozstępujących się przed Cymmerianinem. Żaden z żołnierzy nie spodziewał się, że z nieba runie na nich gigantyczny ogier dosiadany przez oszalałego barbarzyńcę. Kary koń zakręcił się wśród powalonych obrońców, tratując i gryząc jak demon z piekielnych czeluści, podczas gdy Conan ciął na lewo i prawo z równie śmiertelnościami skutkiem. Mężczyzna i wierzchowiec przedarli się przez ciżbę Kotyjczyków i zawrócili, by ponowić atak z za ich pleców.

Tymczasem wielki segment palisady runął na ziemię, a wrzeszczący Harangijczycy wdzierali się po jego belkach do wnętrza obozu. Kotyjczycy nie byli w stanie obronić się przed nimi i rozszalałym Cymmerianinem. Zaczęli odstępować na boki, lecz Conan natychmiast ruszył na flankę cofającego się wroga. Pomógł w bezlitosnym spychaniu obrońców w tył, dopóki nie był zmuszony zawrócić, by stanąć do walki z nową falą żołnierzy wylewającą się z gorejących namiotów.

Pozostali przy życiu Kotyjczycy schronili się wreszcie w starej kamiennej twierdzy w głębi obozowiska, przylegającej do okalającej je palisady. Cesarscy żołnierze walczyli z żarciem, słusznie nie spodziewając się miłosierdzia ze strony dzikich górali. Harangijczycy przystąpili do wyważania bramy fortecy balami z przewróconej palisady. Rytmiczne dudnienie taranów dobitnie świadczyło, kto tej nocy zostanie zwyciężcą.

Nadeszła wreszcie pora, gdy na dziedzińcu obozowiska nie pozostał ani jeden żywy Kotyjczyk, chociaż echo bitewnej wrzawy jeszcze nie umilkło. Wielu Harangijczyków zabrało się do skrzętnego łupienia trupów. Conan zaprzestał walki, gdy zdał sobie sprawę

z okrutnego dyszenia udręczonego konia. Zsiadłszy, ujrzał, że pysk zwierzęcia pokrywają płaty różowej piany. Cymmerianin podprowadził wierzchowca do tego poidła, w którym woda zawierała najmniejszą domieszkę świeżej krwi.

Podczas gdy ogier odpoczywał i pil łączywie, barbarzyńca ruszył w stronę górala, prowadzącego bitewną zdobycz w postaci koni pięciu kotyjskich oficerów. Conan wyrwał mężczyźnie wodze najdorodniejszego z wierzchowców. Harangijczyk zaczął protestować, lecz po wymownym, ponurym spojrzeniu Cymmerianina wzruszył ramionami i szybko oddalił się z pozostałymi czterema końmi.

Conan osiodłał wypoczętego wierzchowca, karego ogiera zaś przywiązał do łąku długim sznurem. Gdy wsiadał na konia, w głębi obozowiska rozległo się skrzypienie pękającego drewna i okrzyki uniesienia. Drzwi twierdzy ustąpiły wreszcie przed napastnikami.

Cymmerianin szarpnął wodze i skierował się po zasłanym trupami poboju ku dziurze w palisadzie, za którą półokrąg księżyca wspinał się na wschodnie niebo.

## XXII

### NOCNI JEŹDŹCY

Żaden z Harangijczyków nie starał się zatrzymać Conana jadącego do pobliskiej opustoszałej wioski, plądrowanej przez żadnych łupów najeźdźców. Jeden z górali wzniosł zakrzywiony miecz, salutując Cymmerianinowi jako pierwszemu wojownikowi, który wdarł się w wyłom w palisadzie, lecz poza tym nikt nie zwracał na niego uwagi. W blasku palącej się chaty barbarzyńca wypatrzył kamień milowy na wschodnim trakcie i skierował wierzchowca w tę stronę.

Ze skupiska stajni i szop z boku drogi rozlegały się kobiece krzyki oraz chrapliwe śmiechy i okrzyki Harangijczyków. Conan popatrzył z odrażaną pograżoną w ciemności szopę, po czym zmarszczył brwi i odwrócił wzrok. Musiał przyjąć z kamiennym sercem jeszcze jeden koszmar wojny. Koń nawet nie zwolnił kroku.

Po chwili krzyk powtórzył się. Było w nim coś znajomego, coś, co sprawiło, że włosy na karku Cymmerianina stanęły dęba. Po chwili z ziejącego czernią wejścia do jednej z szop wypadła delikatna postać, a za nią dwie krępe męskie sylwetki. Conan ściągnął wodze kotyjskiego wierzchowca i skręcił, by przeciąć drogę ścigającym.

- Stać! Zaczekać! - zawołał Conan po harangijsku.

Górale nawet nie spojrzeli w jego stronę. Cymmerianin szybko dotarł do Harangijczyków i wjechał pomiędzy nich i ich ofiarę. Natychmiast zeskoczył z konia, zatrzymał się naprzeciw ścigających i krzyknął ponownie:

- Stać! Eulalia! Trzymaj się drogi! - dokończył po kotyjsku.

Harangijczycy zatrzymali się, lecz po chwili jeden z nich ruszył naprzód, klnąc i sięgając po miecz. Conan z szybkością błyskawicy przyskoczył do górala i walnął go w szyję zaciśniętą pięścią. Mężczyzna zachwiał się i osunął na kolano. Jego towarzysz cofnął się ostrożnie.

Przez parę chwil trwał impas. Oszołomiony Harangijczyk usiłował się podnieść, przytrzymując się kaftana i ramienia swojego towarzysza. Zdenerwowany wojownik próbował go odtrącić, bojąc się kolejnego ataku Cymmerianina. Podczas ich szarpaniny Conan ruszył do swoich koni, podniósł ich wodze i odprowadził na bok. Nie spuszczał wzroku z Harangijczyków, dopóki nie znalazł się w bezpiecznej odległości. Dotarł wreszcie do wąskiej drogi z głębokimi koleinami.

- Eulalia! Gdzie się podziałaś, dziewczyno?! - zaczął nawoływać cicho; jego

zachrypnięty od bitewnych okrzyków głos nieprzyjemnie kontrastował z graniem świerszczy.  
- Możesz do mnie podejść; niebezpieczeństwo minęło! - Rozejrzał się po oświetlonych blaskiem księżyca zaroślach po obu stronach drogi, lecz nie dostrzegł w nich żadnego ruchu. - Skąd się tu wzięłaś? Wczorajszego wieczora zostawiłem cię pod opieką całej armii.

Gdzieś w przedzie rozległo się pełne depresji westchnięcie. Po chwili z kępy wysokich chwastów wyłoniła się widmowa postać szczupłej szlachcianki.

- Conanie, musiałam ostrzec chłopów w wiosce!

W głosie Eulalii brzmiała złość, chociaż w blasku księżyca widać było spływające po jej twarzy łzy. Dziewczyna podeszła do Conana i zatrzymała się przed nim niepewnie, skrzyżowawszy ramiona na piersiach. Zdarto z niej jeździecką spódnicę. Spod sięgającej do połowy ud, długiej, wyszywanej koszuli aż po cholewy wysokich butów błyskała biel jej nóg. Conan przyjrzał się uważnie twarzy dziewczyny.

- Stefany wysłał gońca, by ostrzegł waszych sprzymierzeńców.

- Tak, pojechałam z nim. Musiałam się upewnić, że wszystko zostanie właściwie załatwione. - Zmarszczyła czoło z determinacją. - Bałam się, że inaczej górale usypią z głów wieśniaków stertę wyższą od chat.

- Ryzykowałeś własną upartą głową.

Conan zacisnął dłoń na ramieniu Eulalii. Dziewczyna wpierv skrzywiła się, lecz szybko się rozluźniła.

- Może, ale warto było! Wiedz, że Harangijczycy dogonili gońca i zabili go. Uważają wszystkich Kotyjczyków za swoich nieprzyjaciół. Udało mi się wymknąć, ale zajeździłem konia, by dojechać do wioski przed tymi górskimi diabłami. Szukałam wierzchowca na zmianę, kiedy dopadło mnie tamtych dwóch.

Conan poczuł, jak zadygotała.

- Chodź, już za długo tu marudziliśmy - powiedział, oglądając się za siebie. - Mam zadanie do wykonania. - Pociągnął dziewczynę w stronę koni. - Mój kary nawet nie poczuje twojego ciężaru - o ile potrafisz jeździć na oklep. - Powiódł wzrokiem po Eulalii. - Może lepiej usiądź ze mną w siodle. Pewnie zmarzłaś na kość.

Conan wsiadł na kotyjskiego ogiera i posadził Eulalię za sobą. Gdy ruszali, Conan dostrzegł paru Harangijczyków na tle płomieni pożerających chaty, lecz dwaj górale z szopy zniknęli. Nie było też widać żadnych oznak pościgu.

Gdy zabudowania wioski zostały w tyle, minęli ogrodzoną murem willę, przed którą stały przywiązane konie Harangijczyków. Zza najeżonego kolcami ogrodzenia rozlegały się rozpaczliwe wołania; widać było wznoszące się coraz wyżej płomienie. Conan obejrzał się na



Eulalię.

- Ich nie ostrzegłeś?

- Nie. - Twarz dziewczyny przybrała surowy wyraz. - Tu mieszkały rodziny wiernych królowi oficerów i płaszczący się przed nimi chłopcy - narzędzia kotyjskiej tyranii, nie zasługujące na lepszy los.

Chociaż Eulalia powiedziała to zaciętym głosem, siła, z jaką zaciskała dłonie na ramionach Cymmerianina, zdradzała jej rozpacz.

Gdy wyjechali na otwarty teren, Conan pognął wierzchowca szybciej. Prowadzony na uwięzi rumak bojowy odzyskał już część swych nieprzeciętnych sił żywotnych. Bez jeźdźcy, jego zbroi i oręża znów był zdolny do utrzymywania tempa. Trakt był równy i twardy, więc Conan pochylił się w siodle kotyjskiego ogiera, wczepił w jego grzywę i pozwolił koniowi gnać byle dalej od ognia i zamieszania. Eulalia zacisnęła kurczowo ramiona na piersiach Cymmerianina i w milczeniu złożyła głowę na jego obleczonych w kolczugę plecach.

Przez długi czas koń galopował pod obojętną tarczą księżycy. Płaska okolica została z tyłu; przed nimi rozpościerały się rzędy łagodnie falistych, coraz wyższych wzniesień. Na ostatnim z nich daleko w przodzie leżało Tantuzjum. Łagodne, pnące się w górę stoki i bardziej strome zbocza sprawiły, że koń zwolnił do stępa, co pozwoliło jeźdźcom na rozmowę.

- Conanie, cały czas wyciągasz szyję i wyglądasz naprzód.

Wciąż jesteśmy daleko od miasta; kogo spodziewasz się ujrzeć?

- Kogo innego, jeżeli nie wroga? - Cymmerianin popatrzył nad ramieniem na twarz dziewczyny. - Postaraliśmy się, by książę dowiedział się o zbliżaniu Harangijczyków i potraktował go jako główny kierunek naszego uderzenia. Jeżeli Ivor wyprowadzi z miasta poważne siły, by poradzić sobie z tą groźbą, najprawdopodobniej wybierze właśnie tę drogę.

- Rozumiem - odparła Eulalia w zamyśleniu, ciaśniej obejmując pierś Cymmerianina.

- W takim razie narażamy się na niebezpieczeństwo, wybierając ten trakt.

- Niebezpieczeństwo, dzięki któremu możemy sporo zyskać. - Conan przytaknął, przez co jego czarne włosy otarły się o twarz dziewczyny.

- Znaczy to, że dzisiejszy manewr odwracający uwagę i poranne uderzenie zadecydują o losie naszego buntu - rzekła szlachcianka po chwili głębokiego namysłu.

- Owszem. Do rana ludzie barona powinni podjąć ostateczną decyzję - o ile Stefany był ze mną szczery. - Słyszac, że jego towarzyska wciąga gwałtownie powietrze, by zaprotestować, dodał szybko: - Jeżeli nie uda się nam zdobyć miasta, nie zdołamy też utrzymać tu długo oddziałów najemników. Żołnierze z Wolnych Kompanii siadają na koń

tylko wtedy, gdy mają nadzieję na szczodre łupy. Wygląda na to, że los ich sakiewek będzie zależeć w całości od wyniku jutrzejszej walki.

- Jeśli nawet zdobędziemy miasto, będzie to pewnie dopiero początek naszych kłopotów - odpowiedziała po długiej chwili Eulalia. - Skąd wiadomo, że wasi żołdacy nie splądrują Tantuzjum i nie zdepczą swoimi buciarami planów reform? Czy w ogóle czujesz się na siłach mi to obiecać, Conanie z Cymmerii? - Wychyliła się naprzód, by móc zajrzeć mu w twarz. Jej ciepły oddech musnął ucho barbarzyńcy. - Oczywiście, nasi żołnierze będą walczyć z waszymi najemnikami, jeżeli do czegoś podobnego dojdzie.

- Czy wątpisz, że potrafię zapanować nad swoimi wojskami? Zapewniam cię, że nie zamierzam pozwolić im długo marudzić w Tantuzjum. - Na twarzy Cymmerianina pojawił się mars, którego na szczęście dziewczyna nie mogła dostrzec. - Mam inne plany. Zapłaćcie nam tylko zgodnie z umową i nie będziecie musieli bać się zdrady, co do waszych buntowniczych mrzonek zaś - wzruszył ramionami - one również służą moim celom. Być może w nadchodzących miesiącach będę potrzebował waszego królestwa jako sprzymierzeńca... Nie, dziewczyno, na waszej drodze jest niewiele przeszkód, ale za to poważnych: Ivor, jego chciwy wuj Strabonus, ich połączone armie i czarodziejska maskotka, Agohoth.

- Ten ostatni może w pojedynkę wysłać nas wszystkich do grobów.- Eulalia zadygotała.

- Tak, ale pamiętaj: Kitajczycy miłują królewską władzę. Jeżeli zabijemy Ivora i osłabimy jeszcze bardziej Strabonusa, mag pewnie postara się wkraść w łaski jakiegoś innego monarchy i zapomni ze szczeniem o waszej małej prowincji.

- Kto by pomyślał, że mimo starannych przygotowań i długiej walki, nasz los zależy od kogoś takiego jak ty! - Eulalia westchnęła i zamilkła na chwilę, uznała jednak najwidoczniej, że jej uwaga wymaga komentarza. - Jesteś przecież cudzoziemcem i łowcą przygód. Kimś, kto może jutro wyjechać, by nigdy tu nie wrócić. Nie jesteś... szlachetnie urodzony.

- Tak, w moich żyłach nie płynie błękitna krew. Zawsze mi to zarzucano. - Conan pośepnie pokiwał głową. - Nie liczy się to, ile jej przelałem? Że wręcz w niej brodziłem?

Eulalia nie odpowiedziała. W milczeniu przejechali przez szczyt kolejnego wzniesienia. Przed nimi roztoczył się widok na zalany blaskiem księżyca trakt, wijący się między pagórkami i kępami drzew następnej doliny.

- Jechać dalej jest zbyt niebezpiecznie - stwierdził Conan. - Moglibyśmy w każdej chwili zostać zaskoczeni. Musimy zatrzymać się i odczekać.

Na postój wybrał miejsce, gdzie trakt okrężał szerokie zakole lasu. Wjechali po

trzaskających gałązkach w niemal całkowitej ciemności, pod niskim nawisem konary. W przodzie blado majaczyła polana. Zsiadli obydwój, Cymmerianin uwiązał konie, po czym wyjął z juków solidny łuk i garść długich strzał.

- Zaczekaj tu do mojego powrotu. Masz futro, możesz się w nie owinać. Jeżeli podejdziesz dziki zwierz, wskocz na konia. - Odszedł parę kroków, lecz odwrócił się jeszcze. - Gdybyś usłyszała, że wzywam Croma, uciekaj, żebyś nie podzieliła mojego losu.

- Och, Conanie, nie mogę zostać tu sama! - Eulalia chwyciła Conana za ramię, szepcząc z napięciem: - Wychowałam się w mieście, nie w puszczy, jak ty! Za bardzo boję się tego, co może spotkać mnie samą w nocy! Zabierz mnie ze sobą, proszę!

- Dobrze, ale masz być cicho!

Otoczył szlachciankę ramieniem. Wspólnie ruszyli przez pogrążony w ciemności las z powrotem w stronę bielejącej wstęgi drogi. Na trakcie nadal panował spokój. Conan podszedł do skraju drogi i rozejrzał się w obydwie strony. Ścisnął pożyczony łuk między nogami, zgiął go i starannie naciągnął cięciwę. Nałożył na nią strzałę, pozostałe wetknął w ściółkę pod wiekowym drzewem, po czym usiadł na ziemi obok Eulalii.

Noc dłużyła się w nieskończoność. Szlachcianka kilkakrotnie starała się nawiązać rozmowę, lecz Conan uciszał ją. Obydwój wytężali słuch, aż dzwoniło im w uszach, ale słyszeli jedynie sporadyczne potrząskanie gałązek i beztróskie wołania nocnego ptactwa.

Łatwo było zwątpić w celowość czatowania na skraju drogi i przyglądania się, jak pełzną po niej cienie węzlastych konarów. Conan żałował każdej straconej tutaj chwili. Dlaczego miałby tkwić w bezruchu, skoro niebawem na kolejnym polu bitwy miało odbyć się jeszcze jedno losowanie chwały i zguby?

W pewnej chwili poczuł delikatną pieśczoć na tylnej powierzchni uda, tam gdzie nie sięgała kolczuga. Odwróciwszy się, ujrzał tuż obok siebie bladą twarz Eulalii. Nie odrywał od niej wzroku, gdy dziewczyna nachyliła się i złożyła ulotny pocałunek na jego ustach, ocierając się o niego obnażonym udem.

W piersi Conana rozgorzała znajoma namiętność, którą już kiedyś wzbudziła w nim ta sama twarz, to samo miękkie ciało. Powstrzymał ją jednak, jak gdyby ściągał wodze rozbuchanego konia. Czuł, jak krew uderza mu do głowy, jak świat wokół niego zaczyna wirować. Eulalia zachowywała się coraz śmieiej, coraz namiętniej, wsuwając mu pieśczoćliwie dłonie pod zbroję.

Ich miłosne uniesienie przerwał dobiegający w oddali tętent końskich kopyt. Towarzyszyło mu głębsze dudnienie. Przez chwilę łoskot niósł się względnie wyraźnie, po czym nagle przycichł, jak gdyby jeźdźcy skręcili.

- Posłuchaj! - szepnął Conan, odsunął się raptownie od Eulalii i schwycił łuk. - Jest ich co najmniej trzech!

W napięciu utkwiał wzrok w miejscu, gdzie trakt wyłaniał się spomiędzy drzew. Eulalia przykucnęła obok niego.

- Teraz cicho! - rzucił, rozpraszany jej westchnieniami. Po chwili chwycił dziewczynę za kark i przygiął jej głowę do ziemi. - Masz zbyt bladą twarz! Nie podnoś głowy!

Jeźdźcy byli coraz bliżej. Czuć było już drzenie ziemi pod końskimi kopytami. Po chwili wyłonili się spod osłony drzew; było ich czterech, w szarych, pozbawionych ozdób tunikach tantuzjańskich żołnierzy.

- Nie ma z nimi Ivora; eskorta byłaby liczniejsza. - Conan napiął cięciwę, gdy żołnierze parami przejeżdżali obok nich, lecz wycelował łuk dopiero wówczas, gdy w polu widzenia pojawiła się ciemna bryła. - Tak jak myślałem - stwierdził.

Po trakcie toczył się ciągnięty przez dwa siwe konie wóz Agohotha. Czarna jak heban plandeka zwisała nisko z przodu i łopotała po bokach. Conan był niemal pewny, że dostrzegł znajome orle oblicze i ściskające wodze białe dłonie o długich palcach, lecz po chwili poła plandeki odchyliła się, zasłaniając mu widok.

Gdy upiorny pojazd podjechał bliżej, Cymmerianin wymierzył w miejsce, gdzie powinien znajdować się woźnica. W chwili, gdy wóz przejeżdżał na wprost niego, wypuścił strzałę, śledząc jej lot ku czarnemu płótnu.

Pojazd nawet nie zwolnił. Conan zrezygnował z wypuszczenia kolejnej strzały. Przez chwilę wsłuchiwał się w łoskot kół oddalającego się wozu, mijany przez czterech żołnierzy straży tylnej. Na trakcie znów zapanował spokój.

- Trafieś? - zapytała z napięciem Eulalia, położywszy barbarzyńcy dłoń na ramieniu.

- Tak... tak sądzę. - Conan zmarszczył niepewnie brwi. - Pewnie przebiła na wylot plandekę i nikt jej nawet nie zauważył. A może po trzykroć przeklęty woźnica siedzi martwy z wodzami w rękach?

- Oby tak było! - Eulalia spojrzała nerwowo w stronę, gdzie zniknął złowieszczy orszak.

- W każdym razie wiemy, że Ivor wysłał czarnoksiężnika z miasta. Dzięki naszemu podstępowi zyskaliśmy trochę czasu. - Uniósł ku sobie znękaną, wystraszoną twarz dziewczyny i wycisnął pocałunek na jej czole. - Idziemy! Musimy bezzwłocznie ruszać dalej!

## XXIII

### WALKI W MIEŚCIE

Klarowne światło wznoszącego się słońca padało na trakt do Tantuzjum. Gdy niebo na wschodzie zmieniło barwę z bladożółtego na jasnobłękitną, jeźdźcy dojrżeli na widnokręgu gród. Miasto znikało z pola widzenia i wyłaniało się ponownie za każdym zakrętem i wzniesieniem. Stopniowo rozrosło się z niewyraźnej sylwetki, przetykanej jasnymi punktami strażniczych ognisk, w rozległy labirynt dachów i murów-wiekowe gniazdo ludzkich nadziei i niedoli, gotowe na niesioną przez los jeszcze jedną próbę.

Bez trudu można było zauważyć, że dzisiejszy ranek w Tantuzjum nie należał do spokojnych. Zza bladych murów miejskich wznosiły się białe pióropusze dymu, rojowiska przypominających mrówki figurek krzątały się na stokach przed bramami. Mimo tętentu końskich kopyt, coraz wyraźniej słychać było zgiełk okrzyków z mnóstwa gardzieli.

Jadący na czele kolumny Conan i Eulalia minęli wreszcie opiesziałych najemników i obiboków, zrekrutowanych do oblężniczych oddziałów. Większość z nich stanowili chłopcy i pasterze, uzbrojeni w sierpy i siekiery. Ciągłe nowe ich grupy docierały polnymi drogami pod miejskie mury. Eulalia pozdrawiała radośnie z końskiego siodła każdego napotkanego buntownika, lecz towarzyszący jej Cymmerianin zachowywał milczenie. Był tak pochłonięty perspektywą czekającej go walki, że ograniczył się do powitania zdawkowym skinieniem głowy znajomych najemników, jadących za kolumną taborów.

- Na Croma, dlaczego drabiny zostały na końcu? - zawołał, dojechawszy do naprędcy skleconej maszyny oblężniczej z pasowanych na krzyż desek zamontowanej na płaskiej platformie. - Dojedźcie z nimi jak najszybciej pod mury! - zaczął strofować jadącego obok wozu kwatermistrza. - Wszyscy mają wam ustępować z drogi! Jeżeli ktoś nie będzie chciał ustąpić, powołajcie się na mój rozkaz!

Wkrótce końskie kopyta zadudniły po tarasach dawnego obozu. Ziemia na trakcie była opalona i zryta wskutek płomienistej mgły Agohotha. Z szczodrzej użyźnionej popiołami i krwią najemników gleby wyrastały blade źdźbła trawy. Na najniższym tarasie uwiązano już mnóstwo koni; doglądali ich ranni i starzy wojownicy. Na kolejnym formowały się linie najemników i kotyjskich buntowników, czekając na rozkaz ataku na Tantuzjum.

Pavlo i kilku jego towarzyszy przywitało Conana głośnymi okrzykami, lecz w zachowaniu reszty najemnych wojsk trudno było dopatrzeć się entuzjazmu. Cymmerianin zsiadł z konia i przekazał go podwładnemu. Odwrócił się ku Eulalii, lecz kochanek

dziewczyny, Randalf, zakuty w wyśmienitą, szlachecką zbroję zdjął ją już z siodła i obejmował w namiętym uścisku. Na widok czulej sceny barbarzyńca ruszył spieszenie w górę stoku.

Na najwyższym tarasie, wśród rannych, tuż poza zasięgiem strzał z miejskich murów przegrupowywały się oddziały, składające się niemal wyłącznie z najemników. Żołnierze z zaprawionych w bojach kompanii stanowili czołówkę ataku. Conan podszedł do grupy oficerów i odciągnął Zenona na bok.

- Jaki jest przebieg walk? Liczyłem, że dotrę tu wcześniej.

- Kiepsko, Conanie. - Kędzierzawy porucznik rzucił Cymmerianinowi poważne spojrzenie spod uniesionej przyłbicy hełmu. - Usiłowaliśmy o brzasku wziąć miasto z zaskoczenia. Poprowadziliśmy natarcie tędy, ponieważ ostrzał z bram przy wjeździe jest zbyt silny. - Wskazał zataczające łuk białe mury, zdające się wyższe niż w rzeczywistości za sprawą opadającej spod nich skarpy. - Zostaliśmy odparci, Stefany jest ranny. Później bezskutecznie staraliśmy się ostrzelać szczyt murów. Są na tyle wysokie, że pociski obrońców dolatują trzydzieści kroków dalej od naszych. - Obejrzał się na naradzających się półgłosem pozostałych kapitanów. - Kompania Akiego wsparła nas podczas ataku, ale jego ludzie chyba nie przywykli do pieszej walki. Vilezza nie przyłączył się do natarcia.

Słyszac swoje imię, Zingarańczyk odwrócił się od pozostałych oficerów i ruszył z niechętną miną w stronę Conana.

- Myślę, że to twoja kompania powinna poprowadzić szturm, Cymmerianinie. Przecież to był twój pomysł - rozejrzał się po wyczekujących niżej oddziałach - oraz twoich kotyjskich przyjaciół.

- Wystarczy, że będziesz osłaniać moje tyły i nie przesadzisz z ostrożnością - stwierdził krótko Conan, odwrócił się od urażonego Zingarańczyka i spytał Zenona: - Gdzie Stefany?

- Tam, kapitanie.

Conan powiódł wzrokiem za skinieniem głowy swego zastępcy w stronę rzędu mężczyzn, ułożonych w cieniu tarasu. Zostawił porucznika i ruszył w kierunku rannych. W pierwszej chwili wziął za barona żołnierza o zmiażdżonej twarzy, pokrytej skorupą zakrzepłej krwi, lecz dostrzegł z ulgą, że Stefany siedzi trochę dalej na końskiej derce w towarzystwie paru Kotyjczyków. Na trawie leżał przedziurawiony nagolennik wyśmienitej srebrnej zbroi barona i ułamana, skrwawiona strzała. Ranny arystokrata owijał łydkę bandażem z ziołowym balsamem. Na widok Conana podniósł głowę i uśmiechnął się przepaszająco.

- To drobiazg. Nie dość uczyłem się żołnierskiego rzemiosła, ale mam nadzieję, że wkrótce znowu stanę do walki.

- Lepiej nie ryzykuj życiem, baronie. - Conan potrząsnął głową. - Bardziej przydasz się podczas pokoju - o ile kiedykolwiek nastanie on w tej znękannej prowincji. - Zbył machnięciem ręki protesty starszego mężczyzny. - Co z grupami buntowników w mieście?

- Nie zdołali zdobyć bramy, by wpuścić twoje wojska, Conanie. - Stefany spowaźniał i pokręcił głową z zawodem. - Są źle uzbrojeni, a Ivor zdaje sobie sprawę, że ma wrogów również wewnątrz murów. Podniosą bunt, kiedy wędzemy się do miasta, ale nie wcześniej.

Conan rozważył jego słowa, utkwivszy wzrok w leżącym przed nim zboczu. Trawiasty stok był naszpikowany strzałami, jak gdyby wyrosły na nim niezliczone dzikie kwiaty. Było to zatrute ziele: tu i ówdzie wyrastało z leżących w bezruchu ciał wojowników. Nad stokiem górował mur; nad jego skrajem widniały głowy i barki obserwujących wrogie ruchy włóczyków. Na szaniecach stała również grupka łuczników, licytujących się jak najdalszymi strzałami w stronę najemników. Dalej na południe znajdowały się okalające bramę wjazdową bliźniacze wieże, na których także roilo się od obrońców. W tej właśnie chwili z dołu poszybował wystrzelony z katapulty kamień i odbił się od muru bliższej ze strażnic, nie wyrządzając żadnych szkód. Za wieżami wznosiła się bryła cytadeli.

Conan pamiętał z pobytu w Tantuzjum, że pobielony mur wysokości pięciu dorosłych mężczyzn, który miał przed sobą, ułożony z niewielkich kamieni, można łatwo przebić lub podkopać. To oznaczało jednak mozolny trud pod osłoną krytych machin oblężniczych. Obecność czarnoksiężnika wykluczała taką ewentualność; jeżeli oblężenie miało się powieść, miasto musiało zostać zdobyte jeszcze tego dnia, nawet tego ranka!

- Zbiliśmy drabiny oblężnicze zgodnie z twoimi wskazówkami. - Stefany wskazał wciągane na równy taras platformy ze sterzącymi belkami. - Jest ich więcej; ustawiamy je pod murami.

- Dobrze. - Conan otrząsnął się z zamyślenia i schylił po tarczę z godłem barona: kocim łbem na zielonym tle. - Muszę ją pożyczyć. - Odwróciwszy się, wznosił ramię i ruszył w stronę traktu.

- Żołnierze! - zagrzemiał. - Do drabin i za mną!

Najemnicy zaczęli stopniowo gromadzić się wokół Cymmerianina.

- Jeżeli mamy szturmować miasto, najlepiej trzymać się Conana! - krzyknął jakiś wojownik.

Jego towarzysze zareagowali na te słowa z entuzjazmem. W tłumie zbrojnych rozlegały się coraz częstsze wołania: „Conan! Conan nas poprowadzi!”

- Łucznicy, wystąp! Będziecie nas osłaniać! - krzyknął barbarzyńca, mijając grupę oficerów. - Przekażcie rozkaz, że mur ma być ostrzeliwany ze wszystkich stron!

Dotarłszy do pierwszej z platform, Conan osłonił głowę przypasaną do przedramienia tarczą, pochylił się i zaparł plecami o przybitą do poprzecznej belki podstawę drabiny. Napiąwszy potężne mięśnie, zaczął pchać jaw górę. Najemnicy i rebelianci rzucili się, by pomóc mu w przystawianiu drabiny do muru.

Grupy żołnierzy zabrały się z wojowniczymi okrzykami, przechodzącymi stopniowo w rytmiczne skandowanie, do wpychania drabin pod górę. Conan z tuzinem mężczyzn wtoczył platformę przez rozkuszony odcinek skarpy tarasu. Tą samą drogą na górę dostały się pozostałe. Łucznicy podbiegli bliżej murów; niektórzy padali na ziemię, trafieni przez obrońców strzałami i kamieniami. Pozostali zdołali jednak dotrzeć na odległość wystarczającą, by ich pociski dosięgły szczytu szanca. Zwolnili kroku i zaczęli rytmicznie nakładać na cięciwy i wypuszczać w stronę nieprzyjaciół śmiertelne strzały.

Łucznicy na szczycie muru skupili ogień na pchających drabiny mężczyznach, tylko częściowo osłoniętych tarczami i krzyżującymi się deskami. Zbocze było szerokie i strome. Najemnicy często gubili krok i zaprzestawali skandowania, gdy strzały trafiały ich w nogi i pachwiny. Conan z uporem pchał platformę naprzód, czując, że kosztuje go to coraz więcej wysiłku. Kolejni żołnierze padali pod ostrzałem ze szczytu murów, pozostali potykali się o ich ciała.

Niewielu z przebiegających obok najemników przyłączało się do pchających drabiny towarzyszy. Była wśród nich Drusandra, o czym Conan przekonał się, usłyszawszy koło siebie jej głos.

- Pomogę ci, Cymmerianinie, ale nie licz, że mam tyle sił, co ty! - Szturchnąwszy go w łędźwie, dodała: - Jesteś tak rośły, że dobrze nadajesz się na tarczę.

Humor wojowniczy dodawał otuchy mimo trwającej wokół rzezi. Conan od razu poczuł, o ile łatwiej mu pchać platformę.

Cymmerianin dotarł już z najemnikami niemal do podstawy muru, ze wszelkich sił starając się nie dać po sobie poznać, że przejmuje się padającym wokół gradem pocisków. Wyśliznął się w bok i wbił w ziemię podporę platformy mimo sypiących się z góry kamieni i strzał.

- Podnieście ją! Szybciej, szybciej!

Zrobił krok naprzód, chwycił jeden ze sterczących szczebli i dźwignął go w górę. Dwudziestka napierających wraz z nim ramion sprawiła, że szczyt drabiny zatoczył rażno łuk w powietrzu. Najemnicy stłoczyli się, wkładając w pchanie jeszcze więcej wysiłku. Drabina



minęła pion i zaczęła opadać w stronę skośnego muru. Conan zaczął ciągnąć szczebel ku sobie, by się nie przelamała.

Zanim zdołał zebrać się do wspięcia na drabinę, dwóch najemników wchodziło już na górę. Drusandra szykowała się, by ruszyć za nimi, lecz Conan przepchnął się przed nią i oparł stopę na grubo ciosanym drewnie. Zaczął wspinać się tak szybko, że poprzedzający go najemnicy musieli zdwoić tempo. Cymmerianin zajmował na drabinie miejsca za dwóch; czuł, jak ugina się ona pod ciężarem jego i pozostałych wojowników. Miał wrażenie, że belki drżą od uderzeń toporów Kotyjczyków.

Podczas wspinaczki Cymmerianin czuł ześlizgujące się po jego zbroi strzały. Był zdziwiony, że uderzają tak lekko, dopóki nie zdał sobie sprawy, że są to odbijające się od muru pociski, wypuszczane przez najemnych łuczników. Wkrótce przekonał się, że pociski obrońców są o wiele groźniejsze: usłyszał tępy łoskot kamienia, trafiającego w hełm wspinającego się nad nim mężczyzny.

Najemnik i głąz runęli na Conana i posuwających się za nim wojowników. Paru z nich runęło z krzykiem na ziemię. Gdy Cymmerianin uniósł rękę z tarczą ku kolejnemu szczeblowi, strzała wbiła mu się między kolczugę i rękaw jedwabnej koszuli, boleśnie rozorując mu skórę. Wyszarpnął ją i wspinał się dalej, miotając zjadliwe przekleństwa.

Wierzchołek drabiny sterczał na wysokość kiku stóp nad szczyt muru. Gdy Conan dotarł do niego, poprzedzający go najemnik umierał z gardłem przebitym piką jednego z obrońców. Przedśmiertny skurcz mięśni sprawił jednak, że nie rozluźnił zaciśniętych na drzewcu dłoni; wraz z bronią zwałił się w dół. Dwaj kolejni obrońcy zaczęli odpychać pikami drabinę od muru. Czując, że zaczyna zataczać przyprawiający o zawrót głowy łuk, Cymmerianin wyciągnął rękę nad ostatni szczebel i zgruchotał toporem drzewce jednej z włóczni. Drugi z żołnierzy nie zdołał utrzymać w pojedynkę ciężaru i zatoczył się w tył. Drabina opadła z łoskotem. Wstrząs sprawił, że Conan stracił równowagę i runął na wierzchołek murów.

Nim zdołał zerwać się na równe nogi, śmignęła nad nim jakaś postać. Była to Drusandra; w jednej chwili przebiła mieczem obrońcę z piką, przeskoczyła przez niego i zaczęła spychać jego towarzyszy spod skraju muru.

Conan wymamrotał podziękowanie i wzniosł tarczę oraz topór, by odeprzeć dwóch kolejnych obrońców. Zepchnięcie w tył Tantuzjańczyków umożliwiło wdarcie się na mury kolejnym najemnikom.

Szczyt szańca był wystarczająco szeroki, by mogło się na nim mijać dwóch ludzi. Conan wraz z Drusandrą poprowadzili atak na grupę obrońców przed wieżą przy bramie,

wykrzykując obelgi i wyzwania. Ich szarżę zatrzymali wreszcie dwaj szermierze z gwardii pałacowej Ivora; dwaj kolejni wspomagali ich, wysuwając w stronę atakujących długie piki.

Conan nadaremnie wymachiwał toporem; mógł jedynie chronić się przed śmigającymi ku niemu śmiercionośnymi ostrzami. Wreszcie wypuszczona z dołu strzała wbiła się w pachę jednego z szermierzy w szarych pelerynach. Cymmerianin skorzystał z okazji: rąbnął go z całych sił toporem w hełm, po czym kopnął ślaniającego się mężczyznę tak, że ten nadział się na pikę drugiego z obrońców. Barbarzyńca przeskoczył rannego szermierza i zadał nie mogącemu posłużyć się bronią włócznikowi cios z taką siłą, że niemal odrąbał mu głowę.

Oszaloniając z zęcznie fechtująca Drusandrą zdołała tymczasem wbić ostrze w szczelinę pod napierśnikiem drugiego szermierza. Tantuzjańczyk osunął się w agonii przed wojowniczką. Kolejni strażnicy ruszyli na pomoc ostatniemu z żołnierzy, lecz w tym momencie za ich plecami do muru przystawiono drugą drabinę obłąńczącą. Zdezorientowani, zawrócili.

Conan i Drusandrą zepchnęli obrońców z muru wokół drugiej drabiny. Stłoczeni żołnierze nie mogli cofnąć się dalej po wąskim wierzchołku szanca. Tymczasem coraz to nowi najemnicy torowali sobie drogę na dół po schodach i rampach, spychając Tantuzjańczyków w głąb miasta. Kolejne dostawiane drabiny sprawiły, że atakujący zyskali liczebną przewagę i możliwość okrążania grup obrońców. Najemnicy wkrótce dotarli w pobliże wież strażniczych.

Na ulicach w dole rozległa się wrzawa: ze stajni wybiegła grupa mieszczan z pałkami i mieczami. Na widok zielono-srebrnej tarczy walczącego na murach mężczyzny zaczęli wznosić okrzyki: „Stefany! Niech żyje baron Stefany! Precz z Ivorem!”

Tłum buntowników ruszył bezładnie w stronę miejskiej bramy. Rzuciwszy okiem w dół, Conan dojrzał na dziedzińcu przed wierzejami błysk słońca na ostrzach mieczy. Mimo bitewnego zgiełku dobiegał stamtąd szczęk broni.

- Buntownicy są uzbrojeni! - zawołał Cymmerianin do Drusandry.

Wojowniczką właśnie zmusiła do cofnięcia się wymachującego siekierą przeciwnika. Barbarzyńca zawrócił, umożliwiając Ariel i jej towarzyszkom dołączenie do dowódczyni. Rozejrzał się, po czym pobiegł z powrotem po szczycie muru, mijając wspinających się nań napastników. Dopadł Bilhoata, schodzącego właśnie z najwyższego szczebla drabiny.

- Pchnij gońca po barona! - krzyknął. - Może jest w stanie wejść na mury! Muszą go zobaczyć jego zwolennicy! Macie go dobrze osłaniać!

- Dobrze, Conanie. - Chudy jak szczapa dawny rabuś popatrzył z powątpiewaniem na drabinę, niemal w całości zasłoniętą przez plecy wspinających się najemników. - Spróbuję.

Podniósł wzrok, by powiedzieć coś jeszcze, lecz Conana już przy nim nie było. Cymmerianin zawrócił do Ariel i Drusandry, nieustępliwie spychających przeciwników w stronę strażnicy.

- Uważajcie, diablice! - zawołał. - obrońcy wycofują się do wieży!

Istotnie, żołnierze w szarych pelerynach znikali za solidnymi, okutymi spiżem drzwiami pod łukiem na styku murów i ściany strażnicy. Dwaj broniący się przed wojowniczkami mężczyźni zaczęli cofać się szybciej, mając nadzieję schronić się w wieży, nim ich wystraszeni towarzysze zabarykadują drzwi za sobą.

Ku zdumieniu patrzących, Conan skoczył na wąski parapet po zewnętrznej stronie muru i pobiegł po nim, zasłaniając się przed lecącymi z wieży strzałami. Przeskoczył dwukrotnie z taneczną gracją przez miecz, którym okrążony strażnik ciął na wysokości jego kostek. Przy akompaniamencie pełnych podziwu okrzyków spod muru zeskoczył na wolną przestrzeń przed wejściem do wieży i rzucił się w stronę drzwi.

Strażnicy dostrzegli go, gdy wybiegł zza wnęki w murze, i zaczęli ciągnąć masywne drzwi ku sobie. Mimo że był blisko, nie miał szans dotrzeć do nich zanim się zamkną.

Cymmerianin z ogłuszającym wrzaskiem zatrzymał się i cisnął topór. Broń nie trafiła nikogo; ale uwięzła w drewnie między zawiasami w spiżowych okuciach, skutecznie uniemożliwiając zamknięcie drzwi. Jeden ze strażników wyskoczył na zewnątrz, by ją wyrwać. Conan wyszarpnął miecz i zaatakował.

Ze szczytu wieży posypały się strzały, krzesząc iskry na kamiennym szczytce muru. Żadna nie trafiła Cymmerianina, za to jedna z nich pogrzyżyła się w grzbiecie cofającego się przed Drusandrą strażnika. Gdy padał na ziemię, jego osamotniony towarzysz rzucił się do ucieczki. Ariel błyskawicznym ciosem przecięła mu ścięgno nad piętą. Dzięki temu zniknęła ostatnia przeszkoda na drodze wdzierających się coraz liczniej na mur napastników.

Conan tymczasem przebił na wylot strażnika w wejściu do wieży, niemal przyszpilając go do drzwi. Ogarnięty bitewnym szaleńcem Cymmerianin z trudem wyszarpnął broń z ciała przeciwnika. Nagle potężne uderzenie wytrąciło Conanowi miecz z dłoni. Ciśnięty ze szczytu wieży brukowiec spadł o włos przed twarzą barbarzyńcy i rozłupał płyty pod jego stopami. Cymmerianin ryknął, dźwignął głaz na wysokość piersi i rzucił nim w otwór wejścia. Kamień odbił się od ościeżnicy i wpadł do wnętrza. Rozległ się łoskot i krzyki przerażonych strażników.

Wokół Conana zabłysły ostrza jego towarzyszy. Niepowstrzymany napór ciał poniósł go do środka strażnicy.

W mrocznym wnętrzu wieży zapanował ogłuszający zgiełk. Wojownicy miażdżyli

kości przeciwników, siekali ich na kawałki. Na prowadzących na szczyt strażnicy kręconych schodach atakujący natknęli się na zacięty opór. Conan zostawił ich i zaczął przeciskać się na dół. Trafił do pomieszczenia, gdzie znajdowała się nie strzeżona wielka zasuwana, ryglująca bramę.

- Dołączę do ciebie, Cymmerianinie - rozległ się za jego plecami zdyszany głos Drusandry. - Nie mam ochoty wdierać się na szczyt wieży. Nie lubię, jak mi się depta po piętach. - Ruszyła do środka, podążająca za nią Ariel przystanęła, by strzec wejścia.

- Na Croma! Nie powiem, solidny patyk! - Conan popatrzył na rygiel bramy: ociosany kwadratowo pień drzewa, tkwiący poziomo w otworze w muru. Zaciśnął dłonie na przetkniętym pionowo przez dziurę w podstawie pnia kołku i napał z całych sił, lecz wielki bal prawie nie drgnął.

- Pozwól, może mam więcej siły - powiedziała Drusandra.

Ujęła sterczącą ze ściany korbę. Kręcenie nią nie wymagało wysiłku; rygiel natychmiast zaczął wsuwać się do środka wartowni. Conan zarumienił się ze wstydu, lecz poklepał wojowniczkę dobrodusznie po ramieniu.

- Nie rozpowiadaj tego, a nie zdradzę, kto był pierwszy na murach.

- Założę się, że nie masz ochoty zdradzić, w jakiej pozycji tam dotarłeś. - Drusandra mrugnęła. - Aż mnie korci, by o tym opowiedzieć!

Śmiejąc się, wspólnie zaparli się plecami o drągi kołowrotu na środku wartowni. Ciężkie łańcuchy zaczęły przesuwac się z grzechotem. Przez strzelnicę w ścianie widać było, że jedno ze skrzydeł bramy uchyla się na zewnątrz.

Rozległy się krzyki i tętent kopyt; wyczekujący pod bramą jeźdźcy mieli wreszcie okazję do ataku. Conan zszedł na jeszcze niższy poziom strażnicy, zbierając po drodze pół tuzina wojowników. Odciągnął sztabę blokującą wyjście z wieży i uchylił je ostrożnie. Ujrzał falę najemnej konnicy wlewającą się do miasta. Po przeciwnej stronie bramy oddziałek gwardii Ivora porzucał właśnie drugą strażnicę, by przedrzeć się przez nieprzyjaciół na ulicach miasta. Conan wyszedł na ganek dla urzędników celnych.

- Aki! Jedźcie za gwardzistami! - zawołał do jeźdźcy na czele, wskazując uciekinierów. - Deptcie im po piętach i oczyście drogę do cytadeli!

Pustynny jeździec machnął ręką, spiął konia ostrogami i zaczął wykrzykiwać rozkazy dla swoich ludzi.

Conan zostawił Drusandrę, gdy ustawiała swe towarzyszek w bojowy szyk. Cymmerianin zaczął przeciskać się przez gęstniejącą ciżbę żołnierzy, wołając do oficerów, by tworzyli nowe grupy do pchania drabin. Po paru chwilach kilka garstek żołnierzy ruszyło

poza mury, by wciągnąć maszyny oblężnicze przez bramę. Tym razem buntownicy usłuchali polecenia co najmniej równie chętnie jak najemnicy.

Mijając piwiarnię na skraju placu, Conan spotkał Zenona. Porucznik zebrał tuzin mężczyzn z toporami.

- Rozkazałem im właśnie wyrębać drzwi i rozwalić wszystkie beczki z piwem i winem.

Barbarzyńca pokiwał głową, wodząc smętnie wzrokiem po jaskrawych szyldach.

- Tyle dobrego napitku się zmarnuje! - westchnął.

- Conanie! Nie chcesz chyba, żeby podczas ataku na pałac nasi ludzie nie mogli utrzymać się na nogach?

- Tak, święta racja. - Cymmerianin poklepał rudego oficera po ramieniu, nachylił się ku niemu i szepnął porozumiewawczo: - Osobiście lepiej walczę, gdy sobie wypiję, ale nie wszyscy mają dostatecznie mocną głowę. Zrób, co zamierzyłeś!

Ruszywszy dalej, Conan natknął się na czterech najemników Vilezzy, wyważających ławą z oberży drzwi sklepu kupca bławatnego. Podkraść się do rabusiów, wsparł stopę na środku prowizorycznego tarami i pchnął, przewracając dwóch z nich. Zabranym z wartowni korbaczem pogroził dwóm pozostałym.

- Nie było rozkazu plądrowania miasta! - warknął. - Niema na to czasu! Znajdźcie dość łupów w cytadeli!

Wskazał kierunek wyciągniętą bronią. Spokorniali najemnicy natychmiast ruszyli w głąb ulicy. Odwróciwszy się, Cymmerianin ujrzał, że pierwsze drabiny są już wciągane przez bramę.

- Tędy! - krzyknął, machając nad głową tarczą barona i ruszając znajomą drogą w stronę pałacu.

Ulica była jednak stroma i wąska. Wkrótce stłoczyło się na niej tylu zbrojnych mężczyzn, iż niektórzy woleli przedzierać się naprzód bocznymi zaułkami. Te okazały się jednak zatarasowane przez drabiny oblężnicze. Szyk usiłujących je wyminąć oddziałów poszedł w całkowitą rozsypkę. Co gorsza, końskie kopyta ślizgały się po gładkich brukowcach, co stwarzało zagrożenie dla posuwających się obok piechurów.

W pewnym miejscu ulica zakręcała tak ostro, że drabina uwięzła. Trzeba było podnieść ją prawie do pionu, by nie zawadzała o mury starych domostw po obydwóch stronach.

- Żywiej, psy! - krzyczał rozgorączkowany Conan, starając się przyspieszyć natarcie. - Ruszajcie swe wszawe zadki! Niech diabli porwą te dziadowskie zaułki! Łuczniczy, przepuścić

kopijników! Hej, ty, Einar! Ruszaj na zwiad tą ulicą! Zamelduj się do mnie, gdy dotrzemy pod cytadelę!

Po zdawałoby się wielu godzinach mordęgi dołączył do niego Zeno. Na szerokiej, spotniałej twarzy porucznika malowało się z wątpienie.

- O ile pamiętam, Conanie, mury pałacu są wyższe i bardziej strome od miejskich.

- Masz rację, w pobliżu stoją jednak inne budynki. Wiem, bo sam dostałem się w ten sposób do pałacu w noc, gdy zostaliśmy zdradzeni. Drabiny są wystarczająco wysokie.

- Nie widzisz, kapitanie, jak bardzo jesteśmy odsłonięci?! - zawołał gniewnie Zeno do swojego dowódcy, utkwivszy w nim spojrzenie. - Siła naszego ataku rozprasza się w plątaninie miejskich uliczek!

- Zgadza się, będziemy musieli się nieźle napocić, żeby zdobyć cytadelę. - Conan zawrócił na róg zaułka, przywołując kolejną grupę z drabiną. - Pokieruj nimi! Pojadę naprzód, żeby ci hultaje nie władowali się w kłopoty.

Spiął konia ostrogami, pozostawiając za sobą zaczerwienionego, zmartwionego porucznika. Po drodze Cymmerianin natknął się na Akiego i garstkę jeźdźców, kręcących się niezdecydowanie po bocznej uliczce. Ich wierzchowce były zdyszane, część najemników opatrywała rany od szabel.

- Conanie, uważaj! Grupki strażników miejskich nękaają nasze flanki! - Pustynny wódz otarł zakrzywione ostrze i schował je do pochwy przy boku. - Uderzają na nas i po chwili znikają w plątaninie zaułków. Moi ludzie pogubili się w tym zamieszaniu.

- Można zwariować w tej matni! - Conan zaklął gorzko pod nosem.

- W tym szaleństwie jest metoda. Labirynt ulic to lepsza obrona niż miejskie mury! - Aki Wadsai zmarszczył posępnie brwi. - Rozglądaj się na boki, Conanie!

Śniady wojownik ściągnął wodze, wyjechał z ciasnego zaułka i zaczął wydawać komendy swoim podwładnym.

Przeciskając się przez gąszcz konnych najemników, Cymmerianin przypadkowo rzucił wzrokiem w boczną uliczkę wychodzącą na niewielki plac ozdobiony posągiem Strabonusa z utraconymi ramionami i nosem. Conan spostrzegł z zaskoczeniem, że nad placem powiewała chorągiew Vilezzy. Zdumiony ruszył w stronę dzierżącego ją najemnika. Z wyważonych drzwi bogato wyglądającego domostwa wyłaniali się wojownicy objuczeni brzękającymi tobołami, które rzucali na taczkę przed mężczyzną z chorągwią. Conan podszedł do niego i zapytał:

- Co wy wyprawiacie? Nie mówcie, że wypełniacie rozkaz kapitana? - Mężczyzna drgnął i cofnął się o krok. - Łotry! - wrzasnął Cymmerianin do zaskoczonych najemników. -

Precz stąd!! Ruszajcie do walki! - Uderzył z całych sił w drewnianą szkatułę, miażdżąc jej bok. Na bruk posypały się srebrne naczynia i biżuteria. - Pamiętajcie rozkazy?! Możecie szukać łupów dopiero po zdobyciu cytadeli! - Ruszył naprzód, wymyślając tchórzliwie cofającym się przed nim rabusiom. - Łotry! Głupcy!!! Jeżeli będziecie tracić czas na grabież, nigdy nie zdobędziecie miasta! - Obrócił się na pięcie, rzucając jeszcze na odchodnym: - Żołnierze Ivora posiekają was na plasterki!

Ruszył labiryntem zaułków w stronę cytadeli między tłoczącymi się na ulicach najemnikami. Wtedy natrafił na to, czego obawiał się bardziej niż grabieży: pożar. Zrazu wyczuł jedynie w powietrzu ciężki smród spalenizny, lecz wkrótce dotarł do uliczek, wypełnionych burymi, dławiącymi kłębami dymu, przesłaniającego skrawki błękitnego nieba i zarysy pałacowych umocnień. Dym był tak gęsty, że oddziały na czele natarcia musiały się cofnąć.

W jednej z bocznych uliczek w pobliżu pałacu Conan odnalazł Pavla. Najemnik pilnował drabiny, porzuconej przez dławiących się dymem kompanów.

- Co to za zdrada?! - krzyknął Cymmerianin na swojego podwładnego. - Rozkazałem naszym ludziom, żeby nie podpalali miasta. Powariowali czy co...

- Conanie, to nie my wzniesamy pożary. - Oczy krępego mężczyzny łzawiły, zmierzwił sobie wąsy od nieustannego ich przecierania. - Gdy zbliżyliśmy się do pałacu, ludzie Ivora zaczęli miotać z katapult garnce z płonącym olejem na dachy sąsiednich domów!

- Na Mitrę! Ten łotr pali własne miasto! Wysoka cena za odparcie nas! - Wciągnął powietrze w płuca, by rzucić kolejne przekleństwa, lecz zakrztusił się. - Może mu się udać. Zdoła nie dopuścić nas pod zamkowe mury - o ile sam pałac nie stanie w ogniu!

Cofnął się na środek ulicy, zmrużył oczy i utkwiał wzrok w wartowni, zasłanianej co chwila przez kłęby dymu i płomienie. Strażnicy ze szmatami na twarzach biegali w tę i z powrotem po szczycie muru z wiadrami, gasząc tłące się tam ognie. Na wprost przed Cymmerianinem runęła ściana jednego z płonących budynków. Dymiący gruz zaścielił ulicę, prowadzącą pod wysoką bramę.

- Musimy się wycofać - powiedział Conan ruszającemu już w głąb ulicy Pawłowi. - Pożoga może strawić całe miasto.

Ruszyli w dół ulicy, zapchanej teraz jeszcze bardziej przez tłum uciekających przed ogniem mieszczan, targających zawiniątka z dobytkiem. Natarcie całkowicie straciło impet. Niektórzy wojownicy wymykali się zaułkami, inni beczynn timerkwili w miejscu. Conan ujrzał, jak jakiś najemnik wyrывa zrozpaczonej mieszczce zwinięte prześcieradło z brzęczącą zawartością. Grabieżca niedługo nacieszył się łupem; natychmiast trzech buntowników

z Tantuzjum powaliło go na ziemię i zaczęło okładać pięściami.

- Dostyc tego bałaganu! Dołączyć do swoich kompanii! Przekażcie rozkaz, by wycofywać się w uzgodnionym szyku!

Gdy Conan zaprowadzał ład wśród błakających się bez celu najemników, z zasnutej dymem bocznej uliczki dobiegł tętent kopyt. Tłum rozpierchnął się przed szarżującym szwadronem konnicy.

Strażnicy dojechali do cofającej się ludzkiej fali i zaczęli bez różnicy rąbać szablami mieszczan i najemników. Conan zablokował cięcie jednego z jeźdźców maczugą i spróbował chwycić przeciwnika za kostkę, lecz zdołał sięgnąć jedynie do kółka ostrogi. Ostre ząbki wbiły mu się boleśnie w dłoń, a pęd konia powalił go na kolana.

Ze wszystkich stron rozlegał się łoskot kopyt. Ulicę wypełniał gęsty, palący dym. Conan usłyszał za sobą szybkie kroki i odwrócił głowę na tyle szybko, by ujrzeć Zenona z wzniesionym wysoko mieczem. Jego zaciśnięte z gniewu usta przypominały białą kreskę.

Conan rzucił się w bok i przetoczył po bruku. Niepotrzebnie, gdyż miecz zastępcy Cymmerianina zderzył się nad jego głową z bronią nieprzyjaciela. Zeno sparował jeszcze jeden cios i ciął w udo jeźdźca, który wrócił, by zarąbać Conana.

W tym momencie Cymmerianin dojrzał przez dym twarz mężczyzny. Był to książę Ivor we własnej osobie. Jego rysy wykrzywiał ból, wywołany płytką raną od miecza.

Książę zaklął i zawrócił konia, nie mając zamiaru walczyć z dwoma przeciwnikami naraz. W chwilę później dołączył do swoich towarzyszy wycofujących się w głąb uliczki. Poszybowało za nim kilka strzał i włóczni, lecz wszystkie minęły cel.

- Dzięki, Zeno. - Conan podniósł się z bruku. - Wolałbym jednak zginać, wtłoczywszy maczugę w gardło temu oszustowi.

- Pewnie - przytaknął rudy najemnik. - Mam nadzieję, że dostanie gangreny od mojego ciosu i zdechnie - dokończył łamiącym się głosem i poklepał Cymmerianina po ramieniu. - Nie powinniśmy tu marudzić. Jeżeli nie zginiemy podczas któregoś z wypadów Ivora, udusimy się od dymu.

- Racja.

Conan rzucił jeszcze jedno posępne spojrzenie w głąb ulicy, po czym zawrócił w stronę swojego oddziału. Na szczęście miejskie zaułki były na tyle ciasne, że atak sił księcia nie zamienił się w pogrom najemników. Odwrót rozpoczął się na dobre, drużyny zbrojnych wojowników strzegły dostępu z sąsiadujących ulic. Mimo to wycofywanie się przebiegało powoli, gdyż grupy najemników grzęzły w tłumie uciekających mieszkańców Tantuzjum.



Zanim Conan dotarł do placu przed bramą wjazdową, nad miastem rozpostarła się bura opończa dymu. Tu i ówdzie przebijały się przez nią blade, rudawe promienie słońca. Na przylegających do placu uliczkach panował zupełny chaos, bowiem mimo wysiłków Zenona, niektórzy z najemników zdołali dobrać się do zapasów mocnych trunków w oberżach. Pijani wojownicy wytaczali się z bełkotliwymi wrzaskami z wyważonych drzwi mieszkań i sklepów.

Conan zobaczył Tranosa, przyjaciela ze złodziejskich czasów, ciągnącego z łoskotem przez plac wypchany wór. Za nim uformowani w klin strażnicy ruszali właśnie do ataku. Ostrzeżony przez Conana krępy Tranos obejrzał się z lękiem, nie porzucił jednak łupu. Próbował zerwać się do nieco szybszego biegu, lecz z powodu obciążenia szło mu niesporo. W chwilę potem runął martwy na bruk, przeszyty dwoma strzałami. Straż miejska nie zamierzała jednak zetrzeć się z najeźdźcami w bezpośrednim starciu; zamiast tego skryła się za szeregiem budynków po przeciwnej stronie placu.

Conan wzruszył ramionami wobec wstrząsającej sceny i ruszył dalej. Wreszcie pośród kłębiącego się tłumu odnalazł rannego barona. Stefany siedział na koniu, pogrążony w gorączkowej dyskusji z dwoma przywódcami buntowników.

- Pożoga może zrównać miasto z ziemią - twierdził trzeźwo starszy wiekiem rajca. - Pewnie minie wiele dni, zanim ugasną pożary.

- Skoro tak, w całym Tantuzjum ostanie się jedynie pałac! - Baron potrząsnął głową z desperacją. - Byłaby to tragedia dla całej krainy!

- Niech was wszystkich diabły porwą! - przerwał im Conan. - Zastanówcie się! Nie zostało wam nic innego, jak tylko porzucić miasto!

- Tak. Musimy opuścić Tantuzjum w nadziei, że ludzie Ivora ugaszą pożary. - Baron zwrócił się ku niemu z posępną miną. - Zastanawiamy się, ilu buntowników powinniśmy pozostawić. Kapitan Vilezza już odjechał, zabierając większość swoich najemników.

- A pozostali dowódcy? - spytał Conan, marszcząc brwi. - Aki Wadsai i Drusandra na pewno nie uciekli!

- Drusandra jest tam, broni naszej flanki. - Stefany skinął głową, wskazując obłożone budowle z boku placu. - Jej oddział jest jednak zbyt mały, by przebić się dalej... A Aki Wadsai... Myślałem, że wiesz. - Baron nie spuszczał z Cymmerianina poważnego wzroku. - On nie żyje, Conanie. Zmiażdżył go rzucony z dachu głaz.

- Rozumiem.

Conan odwrócił się i powiódł wzrokiem po tłumie. Większość wpatrzonych w niego oczu łzawiła od dymu, a on mimo wyczerpania po bitwie zdawał sobie sprawę, że to dopiero

początek strumienia łez, które poleją się tego dnia.

## XXIV

### ŁOWCY W POTRZASKU

- Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni, iż najlepiej zrobimy, jeśli zreorganizujemy nasze kompanie i ruszymy każdy w swoją stronę, zabierając te nędzne łupy z Tantuzjum. - Krępy Vilezza podniósł się z wyścielanego taboretu i zaczął krążyć wokół wygasłego ogniska.

- Ładne mi łupy! - Drusandra wierciła się niespokojnie na rozgrzanej od słońca skale, nie zdejmując z niej zabandażowanej stopy. - Wraz z towarzyszkami jesteśmy biedniejsze niż przed dotarciem pod Tantuzjum. Gdybyśmy się bardziej przykładaly do łupienia niż do szturmowania... - Z pogardą odwróciła wzrok od Zingarańczyka. - Nie wszyscy okazaliśmy się jednak równie...zapobiegliwi.

- Święta racja. Powinnaś wydać się za kogoś przewidującego - stwierdził z ironicznym uśmiechem Vilezza, lecz Drusandra nie zwracała na niego uwagi.

- Uważam, że przed opuszczeniem płaskowyżu powinniśmy równo rozdzielić łupy - odezwał się bez skrępowania biorący po raz pierwszy udział w naradzie dowódców Zeno rzucając Zingarańczykowi niechętnie spojrzenie. - Moi towarzysze są tego samego zdania.

- Myśl sobie co chcesz, poruczniku, lecz jeśli zachciewa ci się tego, co należy do nas, będziesz musiał walczyć ze mną i całą moją kompanią - zwrócił się do niego wrogo Vilezza. Powiódł wzrokiem po pozostałych dowódcach, szukając ich poparcia, i dorzucił: - Dlaczego niby wszyscy mamy płacić za przegrane bitwy, do których pchnął nas nieudolny generał barbarzyńca i jego zausznicy?

Zeno poderwał się z warknięciem z cedrowej kłody. Pozostali porucznicy powstrzymali go jednak przed rzuceniem się na Zingarańczyka. Wszystko utonęło w gwarze kłótliwych, rozdrażnionych głosów.

Taki nastrój panował od rana. Żołnierze Wolnych Kompanii kręcili się bez zapału po obozie na płaskowyżu Zamanas. Po wyczerpującej jeździe przez cały dzień i noc oraz kolejnym dniu, spędzonym na lizaniu ran, pierwszą reakcją były wzajemne wyrzuty. Nie nękanie pościgiem najemnicy zabrali większość rannych w jedyne znane im w tych stronach schronienie, nie przejmując się złą sławą płaskowyżu. Wspólnie z nimi do obozu dotarł baron Stefany wraz z buntownikami, którzy nie mieli szans zaszyć i ukryć się wśród wiernych królowi Kotyjczyków.

Rebelianci rozlokowali się na wolnej części płaskowyżu. Obozowisko przypominało teraz skupione wokół dwóch strzelistych monolitów koncentryczne kliny. Chociaż jaskrawe

słońce wzniosło się już wysoko w niebo, skracając cienie i opromieniając obydwu zbocza ostrej jak brzytwa grani nad płaskowyżem, w obozie cały czas panowało przygnębienie.

Kłótnię wokół popiołów ogniska uciszył wreszcie Conan. Cymmerianin stanął obok barona i stwierdził donośnym głosem:

- Uspokój się, Zeno. Nie trać sił na awanturę z Vilezzą. Nawet gdybyś obdarł go ze skóry, nie powiedziałby ci, gdzie ukrył swoje łupy. - Cymmerianin powiódł spojrzeniem po tłustym Zingarańczyku. - Bez wątplenia zakopał je gdzieś po drodze z Tantuzjum. Miał na to dość czasu; wyjechał z miasta długo przed nami. W jego słowach jest jednak trochę racji. - Po ostatnim zdaniu wszyscy dowódcy zaczęli uważniej przysłuchiwać się słowom barbarzyńcy. - Nie zdołaliśmy zdobyć miasta nie tylko przez jego łapczywość. - Stwierdzenie Conana wywołało szmer zgody tłumu najemników i niechętny grymas na twarzy Vilezzy. - Tak, ponoszę częściowo winę za klęskę: źle zaplanowałem atak i nie doceniłem bezwzględności księcia. Wiedźcie jednak, bracia, że nie zamierzam zrezygnować z policzenia się z Ivozem - kontynuował. - Nie czas na kłótnie, ale na planowanie kolejnego ataku!

Po tych słowach dyskusja rozgorzała na nowo. Większość najemników gwałtownie protestowała przeciw propozycji barbarzyńcy.

- Conanie z Cymmerii! Dlaczego marny siedzisz bez końca na tym piekielnym płaskowyżu po stracie naszego dowódcy? Nie mamy co liczyć na żołd od kotyjskiego zdrajcy, jeżeli kiedykolwiek miał zamiar go nam wypłacić! - Siwy, czarnoskóry wojownik z kompanii poległego w bitwie Akiego wyraził przenikliwym głosem zdanie wszystkich wojowników; najemnicy przysłuchiwali się jego słowom w milczeniu. - Lada chwila mogą spaść na nas potężne czary! Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy walczyli dalej!

- Wiedz, że chcę bić się także za oplakiwanego przez nas wszystkich Akiego! - stwierdził donośnie Conan, uciszając szmer aprobaty rosnącego tłumu. - I nie tylko za niego; także za innego dzielnego dowódcę, który zginął wskutek kłótni Iwora. Pamiętacie Hundolfa? Padł ofiarą zdrady, podobnie jak wielu naszych towarzyszy! - Rozejrzał się po milczących najemnikach. - Zamierzam walczyć, aż ich pomszczę, nawet gdyby przyszło mi w pojedynkę szturmować pałac Iwora!

Po słowach Cymmerianina dyskusja rozgorzała z uprzednią siłą, a stary wojownik z pustyni wyszedł przed swych towarzyszy i stwierdził dobitnie:

- Skoro zależy ci na zemście, a nie na zapłacie, Conanie, niech ci los sprzyja. Chciałbym przyłączyć się do ciebie, lecz moi najemnicy muszą czymś zapełnić brzuchy. Jeszcze dzisiaj ruszamy na południe.

- Tak, Conanie. Mam nadzieję, że zdołasz stanąć twarzą w twarz ze swoimi wrogami,

a wasza walka zakończy się zwycięstwem sprawiedliwego. - Zaczerwieniony Vilezza uśmiechnął się, niezbyt siląc się na ukrycie niechęci. - Przy okazji, ktokolwiek z twoich ludzi ma dość służby u ciebie, zostanie z radością powitany w mojej kompanii. Zostaniemy tu jeszcze do jutra.

- Za żadne skarby nie przyłączyłbym się do takiej świni! - zawołał Zeno za odchodzącym Zingarańczykiem, po czym zwrócił się do Conana: - Mimo to nie wiem, ilu ludzi zdecyduje się zostać z nami... - Zamilkł na chwilę. - Postaram się ich wybadać.

Doczekawszy się skinienia głowy Cymmerianina, ruszył rażno w stronę namiotów.

- Zamierza utworzyć własną kompanię - stwierdził Stefany.

- Tak. - Cymmerianin przysiadł na kłodzie obok barona ze znużoną, pozornie obojętną miną. - Może zostanie mi dość ludzi na mały oddział harcowników.

- Ja wraz z towarzyszkami zostanę na razie z tobą, Conanie. - Drusandra zsunęła się ze skały i usiadła między barbarzyńcą i arystokratą.

- Jesteście potrzebni naszej sprawie. Przyrzekam, że zorganizuję zaopatrzenie dla wszystkich wojowników, których zdołasz tu zatrzymać - Stefany opuścił wzrok na kruche, ostygłe popioły. - Niewykluczone jednak, że moja rezydencja została zniszczona i że sam będę musiał odpierać ataki Ivora i Strabonusa na moje włości.

- Jeżeli pożoga strawiła Tantuzjum, księżę również znalazł się w gorszym położeniu - odparł Conan.

- Wysłany zeszłej nocy przez Eulalię kurier doniósł mi, że niemal całe miasto ocalało. To zasługa mieszkańców pod wodzą Randalfa; ludzie Ivora nie ruszyli się, by gasić pożary. - Stefany podniósł głowę i uśmiechnął się blado. - Cieszę się, że Tantuzjum nadal stoi - nawet jeśli umacnia to naszych wrogów.

- Kurier nie miał kłopotów z Harangijczykami?

- Nie spotkał na drodze żywej duszy.

- Właśnie, Conanie, coś długo o nich nie słyhać - Drusandra popatrzyła na Cymmerianina, przestając wyciągać źdźbła traw ze splątanych, posiwiałych włosów barona. - Może padli ofiarą czarów.

- A może ciągle łupią wioski w dolinach - czy nawet samo Tantuzjum! - Wzrok arystokraty ponownie spoważniał. - Wiem, że to kłopot dla Ivora, ale i nieszczęście dla ludu...

- Widać jeźdźców! - Przerwał mu krzyk najemnika, pełniącego wartę na niedalekim skraju płaskowyżu. - Wszyscy na pół- nocną stronę! Nadjeżdża duży oddział!

Conan w milczeniu zerwał się z kłody i wyprzedzając wszystkich, pognął w stronę skalnej grzędy na skraju płaskowyżu. Zatrzymawszy się, przez chwilę wodził wzrokiem po

rozłożystych stokach wzgórz w kolorze szafwi. Dostrzegł odbłask słońca na metalu; zaraz potem zorientował się, że wzdłuż zboczy najbliższego rzędu wzniesień, od strony biegnącej po ich wierzchołkach pradawnej drogi do osady Harangijczyków zjeżdża kolumna jeźdźców.

- Wracają górale - rzekł Stefany.

- Górale? Nie, przyjacielu. To kotyjska konnica! - Conan natychmiast zawrócił w stronę obozu. - Zapewne czołówka tropiącego nas legionu. Wątpię, czy w te wzgórza zapuściłyby się mniejsze siły. Policzcie ich dobrze! - Dotarł między namioty i zaczął gromko wykrzykiwać rozkazy: - Żołnierze, do broni! Gotować się do obrony!

Apatia i klótnie wśród Wolnych Kompanii w obliczu zagrożenia natychmiast ustąpiły miejsca działaniu. Buntownicy wraz z najemnikami wdziewali rynsztunek i odszukiwali swoich dowódców. Wkrótce grupy mężczyzn zaczęły sypać na skraju płaskowyżu prowizoryczne szańce. Równocześnie wypróbowywano katapultę o długim ramieniu, uruchamianą ciężarem wielkiego głazu.

Przygotowania do obrony skupiły się w południowo-wschodnim rogu płaskowyżu, gdzie z wyniosłości zbiegała naturalna wąska grzęda. Wbijano tu w ziemię i skalne szczeliny zaostrome kołki, by uniemożliwić szarżę konnicy. W usypanej z kamieni i kłód barykadzie pozostawiono przegrodzony pojedynczą belką odstęp, mający służyć za furtę wypadową. Do obrony pozostałej części skraju płaskowyżu wyznaczono względnie mniejszą liczbę najemników, bowiem wysokie, strome zbocza stanowiły dla atakujących przeszkodę praktycznie nie do pokonania. Część towarzyszek Drusandry rozesłano na czaty wzdłuż grani, lecz natarcie z tej strony również było mniej prawdopodobne niż szturm po skalnej grzędzie.

Podczas ostatnich przygotowań kapitanowie nieraz wychodzili na wysunięty róg płaskowyżu, by ocenić posuwanie się kotyjskich wojsk. Minęło kilka godzin, nim kolumna tysięcy żołnierzy wyłoniła się zza wzgórz. Ariergardę stanowiła konnica, a za nią ze zboczy schodziły równe rzędy piechoty, podobne rojowi owadów o purpurowych pokrywach. Kotyjski legion zatrzymał się na odpoczynek na płaskim terenie u zbiegu strumieni. Kompania jazdy podjechała galopem do podnóża skalnej grzędy; będąc dowodem zainteresowania atakiem od tej właśnie strony. Pozostała część legionu zajmowała dogodną pozycję, by ruszyć do natarcia po szarży konnicy.

- A więc czeka nas walka - zwrócił się Stefany do Drusandry. - Nim Wolne Kompanie zdołały rozproszyć się na cztery strony świata, muszą raz jeszcze razem stanąć do boju. Przyznam, że czuję ulgę.

- Istotnie. - Conan podszedł do starszego mężczyzny i poklepał go po ramieniu. - Na szczęście będziemy walczyć tam, gdzie nam się podoba.

- Widzisz tego mężczyznę w pelerynie na siwym koniu? Przy sztandarze, wraz z innymi oficerami jazdy? - Drusandra wskazała na środek wąwozu. - Gotowa jestem założyć się o mój ą bałkańską klacz, że to Ivor.

Conan zmrużył oczy i utkwiał wzrok w jeźdźcu obok purpurowej chorągwi z dwoma krzyżującymi się skośnie pasami i po wiewającą na wietrze parą rozwidlonych proporców. Rozpoznał go równie łatwo jak Drusandra.

- Tak, to księżę, niech go pioruny biją! Legion musiał dotrzeć do Tantuzjum dzień po naszym odwróceniu.

- Po zażegnaniu rodzinnej sprzeczki Strabonus wspomaga Ivora, jak tylko może. - Stefany osłonił oczy i spojrzał w dół zbocza. - Nie sądzę jednak, by król towarzyszył legionowi.

- Wielka szkoda - stwierdził Conan.

- Cóż takiego żołnierze wciągają na szczyt wzgórza naprzeciwko? - zapytał Stefany. - Jakąś maszyną oblężniczą?

Conan podniósł wzrok na linię horyzontu i poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Wóz o wielkich kołach, praktycznie niesiony przez legionistów w szarych uniformach po nierównym stoku, był pokryty czarną plandeką. W jaskrawym blasku dnia sprawiał wrażenie karawanu. Widać było na nim sylwetkę stojącego mężczyzny.

- Tak, to maszyna oblężnicza - odparł cicho Conan. - Najbardziej śmiertelna, jaką widziałem.

Wiść o pojawieniu się Agohotha rozniosła się wkrótce wśród najemników. Wielu z nich zeszło się nad skraj płaskowyżu obserwować, jak legioniści ściągają wóz na dno wąwozu.

- Czarnoksiężnik! Myślałem, że go zabiłeś, Cymmerianie! - Vilezza nie był w stanie oderwać wzroku od łopoczącego, czarnego płótna. Śniada twarz Zingarańczyka pobladła tak, że skóra zlewała się barwą z białkami oczu.

- Jeżeli nawet, to Agohoth jeszcze o tym nie wie - powiedziała posępnie Drusandra.

- Nie ma co sterczeć tutaj i gapić się beczynnym. Tym bardziej musimy postarać się o skuteczną obronę. - Conan odwrócił się z rezygnacją od formujących szeregów wojsk, zostawiając grupkę oficerów za sobą. - Wracać do roboty, słyszycie! - krzyknął. - Nie szukajcie wymówek, by siedzieć na zadkach i wygrzebywać pchły! Przenieść te kamienie! Żywiej! Inaczej szybko poczujecie, jak ostre są kotyjskie lance!

Przygnębieni najemnicy z ociąganiem wrócili do umacniania obozu.

Wczesnym popołudniem kotyjskie wojsko zajęło już całe dno wąwozu w najszerszej

jego części, przez co przypominało ono porośniętą purpurową koniczyną łąkę, podzieloną na trzy części dwoma strumieniami, wspólnie niknącymi w wąskim wykrocie. Nad hełmy z pióropuszcami i piki rzeszy legionistów wystawały nagie, samotne głowy. Tymczasem szczyt wzgórza zaczęła pokonywać kolumna taborów: rzędy mułów ze zwisającymi u boków okrągłymi koszami. W ramach przygotowań do oblężenia Kotyjczycy wystawili posterunek obserwacyjny na wzgórzu naprzeciw płaskowyżu. Zwiadowcy za pomocą srebrnych zwierciadeł przesyłali na dno wąwozu meldunki o poczynaniach najemników.

- Ilu naliczono nieprzyjaciół?

Conan podszedł do skraju urwiska. Jego ogorzałą twarz pokrywał perlisty pot. Schylił się po bukłak i chlusnął wodą wprost w gardło.

- Wedle ostatnich meldunków, ponad siedem tysięcy - odparł Stefany.

- Hm. Zastanawiam się, dlaczego nie zaczęli jeszcze zabawy. Może czekają na nas? Zaczynam mieć trudności z wyszukaniem jakiegoś zajęcia dla tych obiboków. - Przeniósł wzrok na grupę najemników, dźwigających części naprędce montowanej z kłód katapulty: kwadratową podstawę i ramię z przywiązanymi do końców poprzecznej belki ciężkimi kamieniami. - Ustawcie ją na tej skalnej półce! Ruszajcie się, ale nie przytłuczcie sobie paluchów! - krzyknął.

Cymmerianin rozkazał ustawić katapultę tak, by mierzyła w połać gładkich skał u podnóża płaskowyżu. Tam właśnie znajdował się wóz Agohotha - bez koni, pozornie porzucony bez opieki. Nieco z boku książę i kotyjcki generał siedząc na koniach wydawali polecenia gońcom i podoficerom.

- O to chodzi! - Conan pilnował ładowania katapulty. - Ściągnijcie ramię niżej! Jeszcze niżej, tak, żeby kamienie trafiały jak najdalej! Doskonale! Przywiążcie ramię podwójnymi rzemieniami! Najpierw załadujcie tamten głaz, wypróbujemy zasięg broni!

Najemnicy spełnili polecenie. Cymmerianin przeciął mieczem rzemienie. Ramię pomknęło w górę i głaz przeciął powietrze z przenikliwym świstem. Spadł jednak o wiele za blisko i roztrzaskał się o skalne rumowisko u podstawy zbocza. Kotyjczycy nawet nie zwrócili na niego uwagi. Płonąca żagiew zatoczyła jeszcze krótszy łuk i niegroźnie siejąc iskrami, zniknęła z pola widzenia tuż za skrajem płaskowyżu. Kolejne próby okazały się równie zniechęcające.

- To na nic! - machnął ręką Conan. - Przeciągnij cię katapultę na skarpę, tam powinna się przynajmniej do czegoś przydać. Ruszcie się! - Wyprostował się i powiódł wzrokiem po wąwozie, pocierając podbródek. - Kotyjczycy zatrzymali się poza zasięgiem naszych łuków.

- Szkoda - właśnie pojawił się najlepszy cel - dodała Drusandra.



Istotnie, z mroku panującego pod plandeką wozu wyłoniła się wysoka, chuda postać w ciemnych szatach. Przyglądający się niezgrabnemu, rzucającemu kanciasty cień mężczyźnie najemnicy nie mieli żadnych wątpliwości, że jest to Agohoth. Czarnoksiężnik powoli odszedł od wozu. Czekaający na polecenia słudzy ruszyli za nim, starając się jednak zachować bezpieczny dystans. Oficerowie skierowali konie w stronę kitajskiego maga.

Obserwujący tę scenę Conan miał wrażenie, że zachowanie czarnoksiężnika nieco się zmieniło: sposób, w jaki się poruszał, zdawał się wskazywać na osłabienie lub niepewność. Cymmerianin osłonił dłonią oczy i przyjrzał się uważnie Kitajczykowi.

- Na Mannanana! - zaklął i odwrócił się ku towarzyszom z rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. - Moja strzała wciąż sterczy mu z gardła!

Istotnie, najemnicy obdarzeni najlepszym wzrokiem przyjrawszy się nieco zgiętej postaci maga musieli przyznać Cymmerianinowi rację. Blask słońca odbijał się od drzewca malowanej strzały o jaskrawym upierzeniu, sterczącej skośnie w górę ze styku szyi i barku Agohotha. Mimo śmiertelnej dla zwykłego człowieka rany, czarnoksiężnik zdawał się nie zwracać uwagi na wbity w gardło grot. Zatrzymał się, nieznacznie przechylony na bok, i nierównym ruchem wzniosł dłoń, by sprzeciwić się słowom księcia. Po chwili tak samo spazmatycznym ruchem odwrócił się, by przywołać kilku jeźdźców.

- O co im chodzi? - Drusandra oderwała wzrok od koszmarne widoku czarnoksiężnika. - Chcą wyprowadzić tabory naprzód?

Na to wyglądało. Rzędy objuczonych kosztami mułów zeszły już ze wzgórza; poganiacze na koniach przeprowadzali je teraz przez strumień. Ich właśnie przywołał do siebie Agohoth. Wyciągnął dłoń w stronę szerokiej, gołej połaci skał przed swoim wozem i po chwili pierwsze z mułów dotarły na wskazane miejsce.

Agohoth i książę wspólnie przyglądali się, jak zdejmowano juki z kolejnych par mułów i opróżniano je u podstawy stoku. Zawartość koszy sypała się na skały z metalicznym grzechotem, słyszalnym nawet na szczycie urwiska. Były to turańskie miecze, wysłane przez cesarza Yildiza jako wsparcie dla buntu Ivora.

- Na Croma i Mitrę! - mruknął pod nosem Conan. - Zamierza wywołać wir stali!

- Co takiego? - zapytał z lękiem Vilezza. - Agohoth chce wezwać duchy i uzbroić je w miecze?

- Jeszcze gorzej - zapewnił go Stefany. - Wir stali jest potworniejszy niż...

- Wystarczy ci wiedzieć, że jeżeli Agohothowi nie zabraknie mocy, a my nie znajdziemy sposobu, by go powstrzymać, za parę minut będziemy wyciągać sobie te miecze z brzuchów - przerwał mu Cymmerianin. Odwrócił się do przyglądającego się wraz z nimi

Agohothowi Zenona i polecił: - Niech giermkowie osiodłają wszystkie konie. Może rozkażę frontalny atak.

- Po co mielibyśmy porzucać tak wyśmienitą pozycję? - Porucznik zamrugał z zaskoczenia.

- Jeżeli czarnoksiężnik może rzucić swe zaklęcie aż tutaj - czego się obawiam -atak będzie naszą jedyną szansą na ocalenie. Idź już, przekaż mój rozkaz. - Gdy Zeno oddalił się pośpiesznie, Conan rozejrzał się po towarzyszach. - Na razie powinniśmy spróbować każdej innej metody. Potrzebuję kuszy, kołczanu z bełtami i długiej liny.

Jeden z najemników pośpieszył wypełnić rozkaz Cymmerianina. Tymczasem czarnoksiężnik kontynuował przygotowania w wąwozie. Gdy opróżniono ostatnie kosze, stos mieczy sięgnął wysokości dorosłego mężczyzny. Agohoth stanął naprzeciw niego, kotyjski skryba zaś podniósł zwój tak, by mag mógł odczytać zaklęcia.

Kitajczyk zaczął niepewnie kreślić w powietrzu dłonią czarnoksiężskie znaki. Ze szczytu zbocza nie słychać było jego zaklęć, lecz żołnierze obydwóch armii zdawali sobie sprawę, że szykuje się coś brzemiennego w skutki. Ruch wojsk w wąwozie ustał. Na płaskowyżu zapanowała zupełna cisza; świergotanie ptactwa w rzadkich krzewach nagle zaczęło wydawać się natrętnie hałaśliwe. Cisza zaległa nad pradawnymi monolitami i zwalistą, zębatą granią.

Po paru chwilach na skraj płaskowyżu dotarło dwóch najemników z długim zwojem liny. Conan splótł pętlę, zarzucił ją na krzew jałowca, a drugi koniec sznura przewiązał sobie w pasie.

- Kiedy będę schodzić, popuście ją na całą długość i mocno przywiążcie - powiedział podwładnym. - I pilnujcie jej dobrze - dodał, rzucając spod brwi spojrzenie na Vilezzę, pochłoniętego obserwowaniem sceny w dole.

- Co chcesz osiągnąć? - W utkwionych w niego niebieskich oczach Drusandry tańczyły trwoga i zapalczywość. - Sądzisz, że masz szansę zabić maga?

- Zbocze nie jest dość strome, bym mógł go stąd dosięgnąć. - Cymmerianin wrzucił ramionami. - Zejdę na najniższą półkę i przekonam się, ile jeszcze strzał wytrzyma Agohoth. Może zabiję Ivora albo chociaż Kotyjczyka ze zwojem. Liczę, że przynajmniej im przeszkodzę.

Ubrana w czarny strój Ariel podeszła wdzięcznym krokiem na skraj płaskowyżu i wręczyła Conanowi ciężką kuszę i kołczan. Przejmując broń poczuł, że dziewczyna zaciska swą szczupłą, lecz silną dłoń na jego ręce w geście dodania otuchy. Zaskoczony, popatrzył w jej poważne, ciemnobrązowe oczy. Nie przypominał sobie, by milcząca wojownicza

kiedykolwiek wcześniej spojrzała mu w twarz.

Ariel odwróciła się bez słowa. Conan przewiesił kołczan przez ramię i zaczął schodzić po zboczu, starając się nie myśleć o losie ostatniego człowieka, który się na to odważył.

Cymmerianin opuszczał się po urwisku tyłem, trzymając się liny, przekładanej przez dwóch najemników po kawałku przez pień drzewa. W pewnej chwili do jego uszu dobiegło ciche szczękanie. Obejrzał się przez ramię, lecz musiał zejść poniżej zagłębienia w skalnej ścianie, nim roztoczył się pod nim widok na wąwóz. Gdy pokonał skalną półkę, ujrzał, że sztywno gestykujący Agohoth z wielkim wysiłkiem wstaje z klęczek naprzeciwko Kotyjczyka ze zwojem.

Na pierwszy rzut oka było to niedorzeczne widowisko: niezgrabny ranny czarnoksiężnik rozpaczliwie rzeźbił dłońmi w powietrzu wielkie, monstrualne kształty. Conan pewnie roześmiałby się, gdyby nie widział już kiedyś rezultatu zaklęć maga.

Po chwili żołądek podszedł Cymmerianinowi do gardła, lecz nie za sprawą lęku wysokości. Stos metalu - obiekt czarów Agohotha - zaczął się leniwie poruszać. Sterta mieczy uniosła się powoli jak ożywający nieboszczyk. Od ścian wąwozu odbiło się echo trących o siebie tysięcy stalowych ostrzy.

## XXV

### WIĘKSZE ZŁO

Od tej chwili Conan nie mógł już zignorować narastającego zamieszania i hałasu, wywołanego rzucanym na dnie wąwozu czarem. Z powodu ryzykownego położenia nie mógł wszakże poświęcać mu zbyt wielkiej uwagi. Dwaj najemnicy bez wytchnienia wykładali linę, zbocze zaś stawało się coraz bardziej strome i nierówne, przez co musiał coraz uważniej szukać oparcia dla nóg.

W pewnym momencie przyszło mu opuścić się pod wystającą z urwiska skalną półkę. Przez moment zawisł w powietrzu, bezradnie przebierając nogami. Dopiero po paru chwilach zdołał z ulgą wesprzeć stopy na niemal pionowym zboczu. Opuścił się na kolejną półkę, mając nadzieję, że to już koniec liny, a jego niewidoczni pomocnicy na szczycie urwiska solidnie przywiążą ją do pnia drzewa. Stało się jednak inaczej; gdy znalazł się na występie, musiał owinać na ramieniu wolny odcinek sznura i zaczekać, aż najemnicy skończą ją opuszczać. Wreszcie Cymmerianin splótł koniec liny w pętlę i obwiązał się nią w pasie. Został mu luźny odcinek długości tuzina kroków.

Lina była napięta, dzięki czemu mógł pewnie wspierać stopy na skalnej ścianie, pomimo że występ był zbyt wąski, by mógł utrzymać ciężar barbarzyńcy. Conan rozstawił szeroko nogi i zdjął kuszę. Opuściwszy wzrok na dno wąwozu, zaczął kręcić napinającą cięciwę korbą.

Na pierwszy rzut oka widać było, że nieprzyjaciele są znacznie bliżej. Conan znajdował się znacznie poniżej skraju urwiska, dzięki czemu wrogowie znaleźli się w zasięgu strzału. Nie wątpił, że Kotyjczycy go wypatrzyli, lecz nadal był poza zasięgiem ich łuczników - o ile oficerowie nie rozkazali im wspiąć się na szczyt grzędy pod urwiskiem. Ryzyko to zdawało się jednak znikome w porównaniu z rozgrywającą się w dole sceną.

Stalowy wir rozrósł się niepomiernie. Ruchliwy, lśniący lej o szerokości dziesięciu kroków i trzykroć większej wysokości zwięzał się przed wierzchołkiem. Zwieńczenie niesamowitego zjawiska stanowiła aureola rozmigotanych ostrzy, wirujących tak szybko, że zdawały się półprzezroczyste. Agohoth wykonywał sztywny, spazmatyczny taniec, co chwila wyginając ciało w groteskowy hak. Przerywany ruch leja, znajdującego się już u szczytu grzędy rozsypujących się skał, przebiegał dokładnie w rytm odrażających płasów czarnoksiężnika. Podczas pokonywania stoku podstawa wiru pozostawała równoległa do podłoża, szczyt zaś piął się w górę jak strzelista fontanna.

Tysiące mieczy czyniły o wiele większy hałas niż poprzednia, mniejsza wersja wiru - być może za sprawą nierównego terenu lub z racji trudności, jakie miał ranny mag ze sprawowaniem władzy nad tak gigantycznym zjawiskiem. Zamiast cichego szmeru ocierającej się o siebie stali, odgłos wpełzającego po zboczu wiru przypominał łoskot młyńskich kamieni, doszczętnie burząc panujący w wąwozie odwieczny spokój. Wirujące ostrza krzesaly iskry na skałach, zostawiając za sobą gołą, wypolerowaną ścieżkę. Ku niebu wzbijała się kurzawa żółtawego, kamiennego pyłu. Conan oblał się potem na myśl o masakrze grożącej jego towarzyszom na szczycie płaskowyżu. Wirujące, jak odziana w niezliczone spódnice tancerka, niesamowite zjawisko dotarło już niemal na szczyt skalnego występu - prawie w pół drogi do miejsca, gdzie Cymmerianin wisiał na pionowym zboczu.

Conan skończył naciągać cięciwę kuszy. Przez kilka ostatnich chwil kręcił korbą szybciej niż poprzednio w obawie, że Agoth dostrzeże go i skieruje stalowy wir w jego stronę. Czarnoksiężnik nie odrywał jednak wzroku od posuwającego się nierównymi zrywami naprzód metalowego huraganu. Potworny hałas podskakujących na skałach, roztańczonych ostrzy zagłuszał wszystko. Conan zaparł się pewniej stopami o zbocze i zwalniając korbę, przesunął spust kuszy do przodu, by jego zaczep zahaczył o naciągniętą do granic możliwości cięciwę. Barbarzyńca sięgnął przez ramię po belt, nie odrywając wzroku od płasającego na odkrytej połaci Agoth. Tuż za czarnoksiężnikiem stał pochłonięty bez reszty obserwowaniem widowiska Ivor - równie kuszący cel.

W tym momencie rozległ się jednak nowy, narastający dźwięk: głęboki, basowy pomruk. Conan zrazu nie zwrócił nań uwagi, lecz po chwili zdał sobie sprawę z wibrowania skalnego urwiska pod stopami.

Drżenie gruntu szybko przybierało na sile, przechodząc w gwałtowne dygotanie. Pod wpływem wibracji grube obcasy butów Conana zaczęły przesuwać się po skalnej ścianie w szaleńczym tańcu. Podrygująca, napięta lina wpijała się mu w plecy. Pomruk narastał, dopóki nie zagłuszył go łoskot osypujących się kamieni.

Ze skraju urwiska zaczęły osypywać się wielkie głazy. Niektóre odbijały się z potężną siłą od zbocza obok Cymmerianina - wraz z wirującymi w powietrzu ciałami najemników. W powietrzu rozeszła się kwaśna woń mielonego na proszek kamienia. Kołyszącego się na wprost skał barbarzyńcę zasypał grad drobniejszych odłamków. Sypiący się z góry żwir oślepił Conana, kaleczył jego ramiona i bębnił o hełm.

Cymmerianin otarł oczy z piachu. Mimo dzwonienia w uszach, wciąż słyszał łoskot dygoczącej ziemi i przenikliwe krzyki z dołu.

W wibracjach podłoża zaczęły pojawiać się przerwy, lecz i tak trwało to o wiele

dłużej, niż jakiegokolwiek trzęsienie ziemi, którego Conan doświadczył. Podczas wstrząsów kusza wypadła Cymmerianinowi z rąk i zniknęła w dole, pogrzebana pod lawiną skalnych odłamków.

Wisząc bezradnie na końcu liny i odpychając się dłońmi od nie- spokojnego urwiska, barbarzyńca spojrział w dół przez wirujące kłęby pyłu. Część gładów odbiwszy się od zbocza, runęła między Kotyjczyków, zabijając wielu z nich.

Chociaż wydawało się, że największe nasilenie lawiny minęło, wrzawa na dole narastała dalej w sposób, który nie dawał się usprawiedliwić resztkowym osypywaniem się gładów z urwiska ani wibrowaniem skalnego podłoża. Conan zauważył, że uwaga cofających się w nieładzie przerażonych Kotyjczyków skupiona jest na podnóżu urwiska.

Cymmerianin spojrział prosto w dół. Stalowy wir zniknął, na skalnej grzędzie pod płaskowyżem można było dostrzec jedynie porzrzucone, nieruchome ostrza. Przygarbiony Agohoth stał z rezygnacją obok swego zgruchotanego wozu; a za nim sparaliżowany strachem książę. Krzywizna zbocza i kłęby pyłu zasłaniały Conanowi miejsce, od którego nie mogli oderwać wzroku czarnoksiężnik i jego mocodawca.

Barbarzyńca poczuł kolejne poruszenie litej skały. Olbrzymi, szary kształt wysunął się prostopadle z urwiska. Długi, węzowaty stwór, o nierównej, miejscami lśniącej powierzchni, obrał sobie za cel maga. Z szybkością! Sprawnością zdumiewającą jak na swój ogrom, szara masa owinęła się wokół szarpiącego się daremnie człowieka i poniosła go w stronę zbocza. Agohoth zniknął Cymmerianinowi z pola widzenia; w powietrzu brzmiało jedynie echo jego rozpaczliwego wrzasku.

Spod stóp barbarzyńcy posypały się kamienie, gdy tajemniczy kształt zaatakował ponownie, tym razem porywając spod urwiska trójkę wierzgających Kotyjczyków i muła. Ivor uskoczył przed sięgającym w jego stronę kształtem i rzucił się w panice do ucieczki.

Co to mogło być? Wstrząsany gwałtownymi wibracjami liny, bez przerwy uważając, by nie pogruchotać sobie kości przy obijaniu się o pionowe urwisko, Conan wyciągnął szyję, by wyjrzeć za skalny występ. Z góry dobiegło go przenikliwe, ogłuszające szuranie kamienia o kamień. Podniósł głowę i znieruchomiał, nie mogąc uwierzyć w prawdziwość tego, co ujrzał.

Nad jego głową w zagłębieniu skalnej ściany otworzyło się olbrzymie, żywe oko. Pokrywała je blada, narosła przez niezliczone lata błona. Oko omiatało spojrzeniem dno wąwozu, szukając oddychających jeszcze ofiar. Cymmerianin zrozumiał, że pod nim rozwierała się gigantyczna paszcza, a szarawa masa, którą dwukrotnie ujrzał, to wysuwający się z niej potworny jęzor. Ogarnięty prymitywnym przerażeniem Conan przyglądał się, jak

masywna powieka o kamiennej pokrywie zamyka się i z gadzią szybkością otwiera ponownie.

Do tej pory Cymmerianin wisiał na kołyszącej się i podrygującej linie na wprost monstrualnego oczodołu. Za sprawą nie wyjaśnionej zmiany naprężenia w punkcie zaczepienia liny, opadł nagle o kilka wysokości człowieka w dół, znaczenie poniżej kolejnego skalnego występu. Impet upadku sprawił, że węzeł na jego biodrach rozwiązał się i barbarzyńca zaczął osuwać się po zwisającej luźno linie, ocierając sobie skórę na brzuchu, gdy sznur dostał się pod głównię miecza. Conan nie mogąc chwycić wysuwającej się liny zaczął spadać coraz szybciej.

Nim odpadł od niej zupełnie, węzeł na linie powstrzymał jego zsuwanie. Rozkołysany sznur sprawiał, że na przemian wychylał się poza płaszczyznę urwiska i uderzał boleśnie w skalną ścianę. Nie znajdował się już naprzeciw gigantycznego oka, lecz podczas szaleńczego podrygiwania na końcu liny zdołał dojrzeć coś, co dało mu do myślenia: nierówny występ na skraju płaskowyżu przesunął się wraz z jego resztą w gładki, skoordynowany sposób, jak tułów i łeb gigantycznego zwierza. Prowadząca na jego grzbiet skalna grzęda okazała się w rzeczywistości nieopisanie potężną nogą; kończąca ją stopa spoczęła na daremnie próbujących uciec resztkach kotyjskiej konnicy.

Zabezpieczenie liny na szczycie płaskowyżu w końcu nie wytrzymało. Conan runął w dół. Spadając, zdołał złowić rozgorączkowanym wzrokiem rzeczy wisty kształt i rozmiar potwora. Szeroki, pokryty pancerzem łeb stanowił wierzchołek płaskowyżu Zamanas, a dwa blade monolity na jego środku były w rzeczywistości rogami, a grań potężnymi płytami kostnymi na grzbiecie. Obłe, na poły zagrzebane w skalnym rumowisku boki przechodziły w zad i ogon ginące gdzieś wśród wygładzonych przez upływ wieków kotyjskich wzgórz.

Rozmyślenia nad naturą bestii dobiegły raptownego kresu, gdy Conan runął na dno urwiska.

Utrata przytomności nie mogła trwać długo; za silne było poczucie zagrożenia życia. Odzyskując świadomość, miał wrażenie, że znajduje się w uścisku gigantycznego węża, lecz szybko zorientował się, że przygniotły go jedynie zwoje sznura.

Obolały, posiniaczony, zrzucił z siebie sploty liny i zaczął wygrzebywać się z nagromadzonego na szczycie skalnej grzędy rumowiska żwiru i kamieni. Gdy przerzynał sztyłem oplatany wokół pasa sznur, przeniknął go strach, że płaskowyż za jego plecami może ruszyć z miejsca i rozgnieść go na miazgę. Zorientował się jednak natychmiast, że dygotanie gruntu ustało. Jedynie tu i ówdzie słychać było stukanie osuwających się kamieni. Podniósłszy głowę, Cymmerianin daremnie szukał jaszczurczej paszczy. Jej kształt stał się nierozpoznawalny. Na dobrą sprawę twierdził, że pod płaskowyżem kryje się żywa istota,

wydawało się szaleństwem.

Conan zdał sobie sprawę, że skalna bestia na powrót zasnęła. Z wiekowego snu wytrąciło ją żalosne natręctwo kitajskiego czarnoksiężnika; na pół rozbudzona, zmiotła z siebie drażniące żyjątka, jak krowa omiatająca się ogonem z gzów. Nagromadzone przez stulecia głązy maskowały zarysy znieruchomiałej na powrót istoty tak dobrze, że trudno było uwierzyć w jej istnienie. Conan poczuł pierwszy przyptyw dziwnie kojących, choć przeczących świadectwu zmysłów wątpliwości. Nie mógł zepchnąć w niepamięć tego, co przeżył - a może mógł?

Spojrzał na dno wąwozu. Jak okiem sięgnąć zaścielały je setki kotyjskich trupów. Nie sposób było stwierdzić, ilu kolejnych nie widać, lecz spod wielu z leżących w dolinie dopiero od paru chwil wielkich głązów sączyły się strużki krwi.

Oszołomieni ludzie i pozbawione jeźdźców wierzchowce kręcili się bez celu u podnóża urwiska. Przytomniejsi żołnierze rozbitej armii zbierali się pieszo i na koniach za strumieniem, szykując stanowiska bojowe wokół biegnącego pod górę traktu. Inni prawdopodobnie pierzchli w głąb wąwozu, w stronę wsi Harangijczyków. Przynajmniej na razie w szeregach Kotyjczyków brak było jakichkolwiek oznak ładu i dyscypliny.

Conan dostrzegł, że grupy najemnej konnicy zjeżdżają po skalnej grzędzie z wierzchołka płasko wyżu. Kamienista rampa całkowicie zmieniła swoje położenie; znajdowała się obecnie o wiele bliżej strumienia. Zapowiadała się bitwa między najemnymi kompaniami a niedobitkami kotyjskiego legionu.

Rzuciwszy ostatni raz wzrokiem na piętrzące się z tyłu kamienne urwisko, Cymmerianin ruszył w dół stoku, przeskakując z kamienia na kamień. Stopniowo odzyskał zwykłą pewność siebie; przenikający kończyny ból po upadku ustępował. Niektóre z pokrywających zbocze kamieni osuwały się pod jego nogami, lecz większość głązów była na tyle duża, że mógł pewnie stawiać na nich stopy. Wreszcie dotarł na skraj wąwozu zaścielonego skałami i skrwawionymi trupami w purpurowych uniformach.

Czoło oddziału najemnej konnicy dotarło już do podnóża skalnej grzędy. Najemnicy zjeżdżali po stromym, nierównym zboczku o wiele szybciej, niż nakazywały wymogi bezpieczeństwa. Dowodził nimi Vilezza. Przysadzisty najemnik dosiadał konia, do siodła którego przytroczone były wyładowane łupem skórzane juki.

Wyglądało na to, że kapitana ogarnęła panika. Zingarańczyk popędzał wierzchowca, nie czekając, aż dołączy do niego towarzysze, i nie zwracając uwagi na snujące się wzdłuż brzegu strumienia dziesiątki pieszych Kotyjczyków.

Mimo panującego zamętu, legionieści byli nadal groźni. Z chóralnym krzykiem opadli



Vilezzę, uniemożliwiając jego koniowi dalszą jazdę. Żołnierze wczepili się w wodze i juki Zingarańczyka; każdy niewątpliwie z zamiarem wykorzystania wierzchowca do ucieczki. Chociaż ich działania nie sposób było nazwać skoordynowanym, zdołali ściągnąć najemnika z siodła. Vilezza rozdzielał naprawi i lewo ciosy swoim korbaczem, lecz nie na wiele mu się to zdało. Wkrótce zniknął wśród tłumu Kotyjczyków.

Conan dobył miecza i ruszył w stronę bijatyki, lecz czerwień na wznoszących się i opadających mieczach Kotyjczyków świadczyła, że jest już za późno. Dwaj jadący za Vilezzą najemnicy ściągnęli wodze i bezradnie przyglądali się śmierci swego dowódcy.

Conan zawrócił biegiem, by przeciąć drogę dziesiątkom swoich towarzyszy, różnymi drogami starających dostać się na dół.

- Nie uciekajcie! Słyszycie, psy?! - zawołał, wywijając mieczem nad głową. - Zwycięstwo jest nasze! Za mną, rozgromimy Kotyjczyków!

Straty w szeregach najemników były mniejsze niż wśród ich przeciwników. Żołnierze Wolnych Kompanii zareagowali na widok ocalałego dowódcy najpierw machając dłońmi, a później radosnymi okrzykami. Ucieczka przeszła stopniowo w natarcie. Co chwila kolejni najemnicy przyłączali się do ataku na Kotyjczyków. Wielu legionistów rzucało broń i błagało o miłosierdzie; inni tratowali swoich towarzyszy w rozpaczliwych próbach ucieczki.

Ze szczytu zbocza rozległy się okrzyki bojowe. Mijająca właśnie Conana w towarzystwie swoich wojowniczek Drusandra precyzyjnie się do niego i wyciągnęła dłoń.

- Patrz! Harangijczycy!

Istotnie, w najwyższym punkcie traktu niewysocy jeźdźcy nawiązali walkę z kotyjскими uciekinierami. Właśnie kolejna grupa górali rozpoczęła niepowstrzymaną szarżę w głąb wąwozu, spychając żołnierzy w purpurowych pelerynach nad sam brzeg strumienia. Starannie omijając wzrokiem płaskowyż, Harangijczycy odjechali z powrotem na przełęcz.

- Wrócili z wypraw łupieżczych - powiedziała Drusandra. - Współczuję Kotyjczykom, którzy będą próbowali ukryć się wśród wzgórz.

- Owszem. Myślę, że nam dadzą spokój - przynajmniej dopóki znajdujemy się na tej przeklętej ziemi.

Conan odwrócił się w stronę Drusandry, lecz ta gnała już na koniu w stronę walczących na miecze ludzi w głębi wąwozu. Ariel była wśród walczących; Conan poznał dziewczynę po czarnym stroju i błyskawicznych, celnych pchnięciach. Niewysoka najemniczka trafiła w gąszcz przeciwników, lecz jej umiejętności i bojowy duch sprawiały, że bez większego trudu radziła sobie z przeciwnikami. Ostatni z nich okazał się najzręczniejszy. Był to krzepki mężczyzna z gołą głową, w szarej pelerynie. Walczył z zaciętością, która

zwróciła uwagę Cymmerianina.

Z dreszczem odrazy Conan zorientował się, że jest to Ivor. Książę walczył lepiej, niż wyobrażał sobie Conan. Bezwzględnie ponawiał niemal niemożliwe do odparowania ataki, szermując szablą lekko jak szpicrutą.

Ariel skoczyła zręcznie naprzód i zdołała sięgnąć ostrzem miecza ramienia Nora. Książę niemal nie zwrócił na to uwagi; w tej samej chwili zrobił krok do przodu i trafił przeciwniczkę w hełm tuż nad czołem. Gdy dziewczyna zatoczyła się w tył, arystokrata wbił jej szablę w brzuch. Natychmiast odruchowo wzniosł stopę, by zepchnąć martwe ciało wojowniczkę z ostrza. Dziewczyna osunęła się prosto w ramiona biegnącej jej na pomoc Drusandry, obydwie upadły na ziemię. Conan bez zastanowienia ruszył do ataku.

- Zdrajco! Morderco niewinnych! Kompanie czarowników! - wrzasnął. - Spróbuj mnie pokonać, piekielniku! - Jego krzyki sypały się na arystokratę jak uderzenia młota. - Na srogiego Pana Kurhanów, zginiesz tak samo, jak twój szatański poplecznik!

Widząc, że jego obelgi nie wywierają pożądanego skutku, Conan zamilkł. Bładłe oczy księcia lśniące pod grzywą splątanych, brązowych włosów sprawiały wrażenie pozbawionych życia. Ivor walczył wystarczająco skutecznie, by poradzić sobie z atakami rozszalałego Cymmerianina - lecz jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z otaczającej go rzeczywistości. Niedawne przejścia wtrąciły jego umysł w otchłań szaleństwa. W chwili nadnaturalnej wręcz przenikliwości Conan zdał sobie sprawę, że jego przeciwnikowi zależy wyłącznie na ucieczce jak najdalej od zaczarowanego płaskowyżu.

Postanawiając poddać tę hipotezę próbie, Cymmerianin ustąpił na bok. Gdy Ivor opuścił szablę i zerwał się do biegu, Cymmerianin zamachnął się z całych sił, mierząc ostrzem w kark przeciwnika. Głowa księcia stoczyła się z ramion i wyładowała na piasku, podczas gdy tryskające strugą krwi ciało zrobiło jeszcze kilka kroków.

- Oszalał - stwierdził barbarzyńca, przestępując przez trupa z lekkim dreszczem.

- Owszem, wielu Kotyjczyków oszalało ze strachu - ale czego się wystraszyli? - zapytał Horus. Stary najemnik podszedł bliżej, by obserwować walkę. - Jeden z nich wołał się zabić, niż dać przyprowadzić tu z powrotem. Inni bredząc potwornych jaszczurach i żabach... Nie widziałem niczego podobnego, a ty? - Siwy wojownik utkwiał badawcze spojrzenie w twarzy Cymmerianina, lecz nie znalazł w niej odpowiedzi. - Zgadza się, ziemia strasznie drżała, lecz nie pojmuję, dlaczego Kotyjczycy odchodzą od zmysłów z przerażenia. - Umilkł, nie mogąc poradzić sobie z tym problemem.

- Wzięliśmy ich pewnie całe mnóstwo do niewoli?

Conan rozejrzał się po dnie wąwozu. Grupki zdezorientowanych Kotyjczyków kręciły

się przy strumieniu, wzięte w kleszcze przez górali i najemników.

- Całą rzeszę; pozostałych wybiliśmy - Horus skinął głową z wyraźną satysfakcją.  
-Mamy konie, zapasy, łupy z taborów legionu i paru, jak podejrzewam, wartościowych zakładników.

- Nieprzyjaciel został unicestwiony, nasze straty są małe... Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo.

Conan spojrział ze smutkiem na klęczącą obok zabitej Ariel Drusandrę i dwie inne cicho lamentujące wojowniczkę. Dowódczym podniosła się z ziemi i spojrzała Cymmerianinowi w oczy.

- Straty? Mimo wszystko okazały się za duże, Conanie. - Zmarszczyła brwi i posępnie pokręciła głową. - Zapłaciliśmy za zwycięstwo nazbyt srogą cenę!

Świt następnego dnia wstał bajecznie pogodny. Rozochoczone ptaki wyśpiewywały trele między skałami. Spędzeni pod zbiegającą z płaskowyżu grzędę jeńcy witali poranek bólem w zdrętwiałych kościach i bezmiernym znużeniem. Dla tych z najemników i rebeliantów, którzy nie bali się wrócić do obozu, nastał czas wytężonej krzątania: zwijania namiotów, siodłania koni i ładowania juków na grzbiety mułów.

Nadzwyczaj gadatliwy dziś Conan krążył między grupami najemników, zawierając porozumienia co do żołąd z jednymi, od innych zaś odbierając przysięgi na wierność.

- Wszyscy zgodzili się jechać ze mną-powiedział baronowi, wsiadając na konia. - Ich dawni dowódcy zginęli; nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Jedynie ja mam określone plany. - Wyciągnął ramię ku wciąż jeszcze osnutym cieniem wzgórzom na widnokręgu. - Ruszamy na południowy wschód, by utworzyć niezależne królestwo z pogranicznych ziem prowincji Szemu, Koth i Turanu. Postaramy się zjednoczyć wędrowne bandy stepowych Kozaków i namówić ich do walki z miejscowymi możnowładcami. Wkrótce spotkam się z wodzami Harangijczyków i spróbuję z nimi również zawrzeć przymierze.

Baron siedział w siodle z naburmuszonym kotem na rękach; w nieznanym sposobie zdołał odzyskać leśnego drapieżnika.

- Liczyłem, że będziesz nas osłaniał w drodze do Tantuzjum. Myślę, że mieszkańcy powitają nas z radością, gdy wjedziemy do miasta z głową Iwora. Wolałbym jednak wasze towarzystwo, bo nie ufam góralom.

- Oczywiście, że pójdziemy. - Cyjnnjerianin pokiwał poważnie głową. - Jak inaczej odebraliśmy należną nam zapłatę?

- Niemal o niej zapomniałem. - Stefany uśmiechnął się, udając rezygnację. -

W skarbcu Tantuzjum powinno pozostać co nieco; Ivor pilnie go strzegł.

- Wiem, że kapitan nie zażąda więcej, niż nakazuje przyzwoitość - Drusandra podeszła do barona i oparła dłoń na jego kolanie. - Przy okazji, Conanie: nie musisz targować się o nasz udział. - Mrużąc oczy, zwróciła twarz ku coraz silniej palącemu słońcu. - Zostaniemy w Tantuzjum; Stefany zaproponował nam funkcję gwardii pałacowej.

- Dlaczego nie pojedziecie ze mną na południe? - Conan popatrzył ze zdumieniem na Drusandrę i wsiadając opodal na konie najemniczki. - Mogłybyście pomóc mi stworzyć silne królestwo, dzięki któremu Stefany miałby mniej kłopotów z sąsiadami.

- Z nas wszystkich jedynie Ariel mogłaby ci towarzyszyć, jej jednak nie ma już wśród nas. - Drusandra potrząsnęła głową i westchnęła. - Może to odzywa się w nas kobieca natura, ale wolimy uzdrowić niedomagające królestwo, niż zagarniać cudze ziemie, by utworzyć nowe.

- Będzie mi brakowało twojego towarzystwa, Drusandro. - Conan wzruszył ramionami, mając nadzieję, że nie widać po nim smutku ściskającego mu pierś. - Twój namiot okazał się o wiele bardziej... przytulny od mojego.

Wojowniczką obejrzała się na barona. Stefany czule przeganiał dłonią jej płowe włosy. Drusandra uśmiechnęła się otwarcie.

- Mnie również będzie go brakowało, Conanie, liczę jednak, że w pałacu barona będzie mi lepiej niż w jakimkolwiek namiocie.

- Conanie, kompanie są gotowe do drogi. - Zeno podjechał do grupy przerywając niezręczne milczenie. - Wydałem rozkaz wymarszu.

Conan rozejrzał się po płaskowyżu. Dojrzał, że Bilhoat, Pavlo i inni oficerowie sygnalizują gotowość do jazdy. Czując przyływ energii, Cymmerianin wyszarpnął miecz i wznosił go nad głowę.

- A więc naprzód, Wolne Kompanie! Za mną, po bogactwa i chwałę! - mrugnął okiem do barona i Drusandry, po czym dodał: - Dlaczego mamy być wiecznie złodziejaskami i rzezimieszkami, skoro wielkich rabusiów i bandytów zwie się królami?

Pośród chóralnych wiwatów Cymmerianin spiął konia ostrogami i ruszył naprzód.